RINO CAMMILLERI

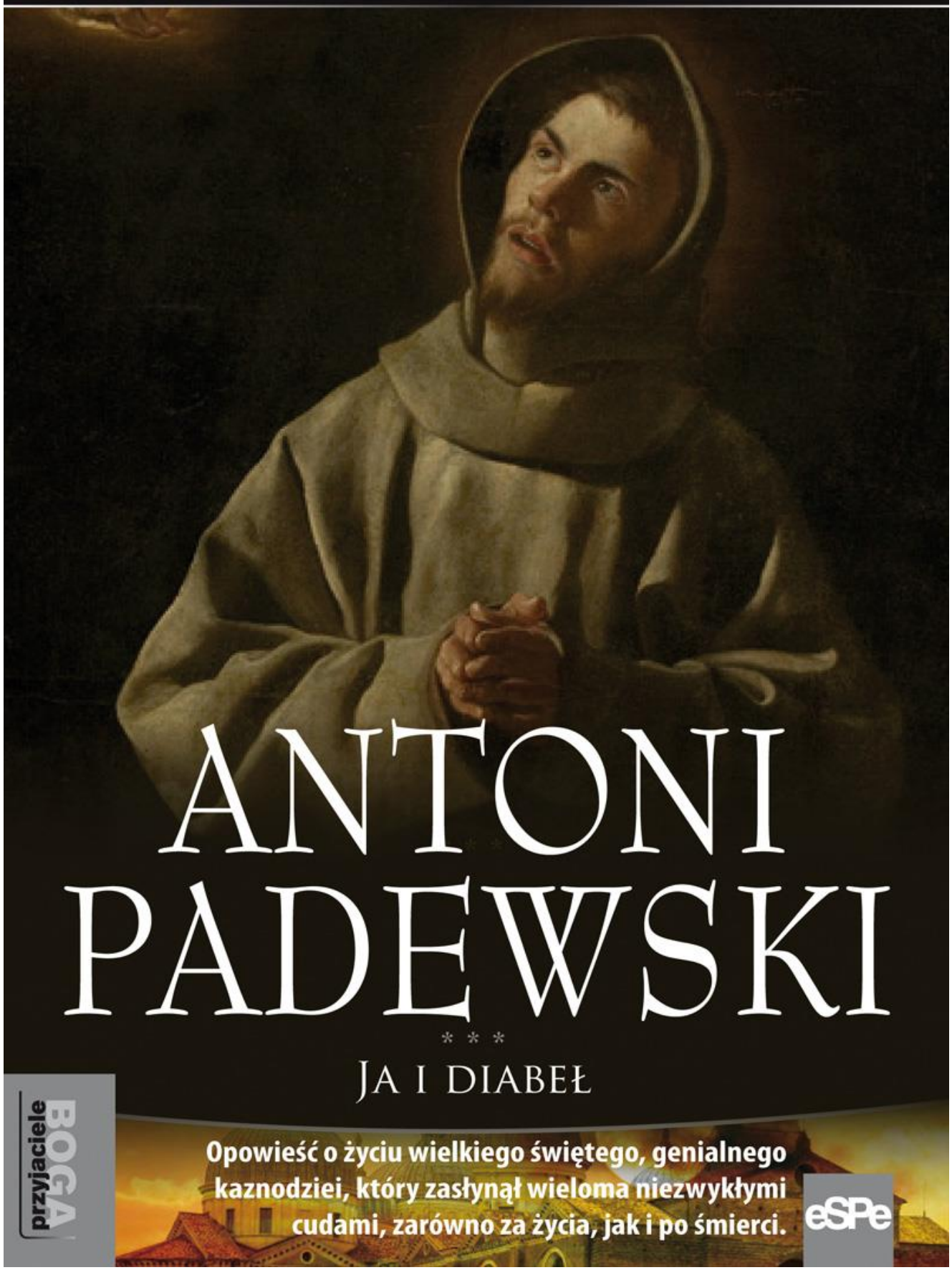

ANTONI PADEWSKI

* * *

JA I DIABEŁ

przyjaciele BOGA

Opowieść o życiu wielkiego świętego, genialnego kaznodziei, który zasłynął wieloma niezwykłymi cudami, zarówno za życia, jak i po śmierci.

eSPe

ANTONI PADEWSKI

* * *

JA I DIABEŁ

PRZEKŁAD
ANNA GABRYSZEWSKA-KONIECZNY

Kraków 2014 eSPe

1.

Ja, Antoni, brat Biedaczyny, spisuję te stronice, które nigdy nie zostaną przez nikogo przeczytane, gdyż spalę je, kiedy dotrę do kresu. Nogi już nazbyt opuchnięte sprawiają mi ból; drapanie, masowanie jest zbyteczne, ciało nic już nie odczuwa, tylko w środku tkwi ból. Boleść dotarła do bioder i czuję, że wciąż narasta. Oddycham z trudem, pali mnie w piersiach. Tak bardzo chce mi się spać, ale są dni, że nie mogę. Jeśli stoję, ból rośnie, duszność również. Siedzę, lecz wciąż muszę zmieniać pozycję z powodu cierpienia. Oczy mi łzawią ze zmęczenia i braku snu. Pochylam się, by pisać, lecz często muszę podnosić głowę, aby złapać oddech. Ja, więzień niemal nieprzerwanego czuwania piszę przy niewielkim płomieniu świecy. Piszę, ponieważ śmiertelne zmęczenie mnie dopadło i wiem, że Przeciwnik krąży wokół mnie, czekając na punkt kulminacyjny mojej słabości.

Umrę za kilka dni, w piątek 13 czerwca Roku Pańskiego 1231.

Nareszcie.

Powoli zaczynam opuszczać moje ciało, to które brat Franciszek nazywał „bratem osiołkiem"; nosiło mnie ono przez niemal czterdzieści lat i doprowadziło aż tutaj. Opuszczam je, aby unieść się w objęcia Boga. Już dawno temu zrozumiałem dokładnie, co miał na myśli apostoł Paweł, kiedy mówił, że nie może doczekać się, kiedy połączy się ze swoim Panem. Tak, jest jeszcze wiele do zrobienia i dzieło, dla którego ukryłem się wśród wielkich ramion tego orzecha nie jest skończone. Ale nie dbam o nic ponad wolę Boga mojego, który wciąż tka arras, a ludzie widzą w nim tylko splątane i niespójne nici. Moje zadanie jest już zakończone, inni będą je kontynuować. Nikt nie jest niezastąpiony i ja również nie jestem nikim innym, jak tylko sługą nieużytecznym. I właśnie dlatego, aby zwalczyć pokusę przypisania sobie rzeczy dobrych, które uczyniłem – wielu, zbyt wielu dla jednego człowieka, co już powinno wystarczyć do postawienia mi tego zarzutu – postanowiłem podsumować tu i teraz moje życie, by przypomnieć sobie, tu i teraz, kim jestem i kim byłem; szczególnie, po to, aby dobrze zapamiętać, że Bóg nawet z kamieni może wzbudzić potomstwo Abrahamowi[1] i jeśli nie Antoni, to ktoś inny zostałby powołany do ratowania ludzkich dusz, umysłów i ciał.

Ty, Przeklęty, odejdź ode mnie; przybyłeś by stoczyć ostatnią bitwę, bo tak jak i ja wiesz doskonale, że niewiele czasu zostało. Wiele razy już cię pokonałem, chowając się za Krzyżem mojego Pana i teraz też krzyczę do ciebie: „*Ecce Crucem Domini, fugite partes adversae!*"[2]. Ja jestem Antoni, brat Biedaczyny, a ty, Przeklęty, nie możesz mną gardzić, z tego względu, że znasz mnie jako grzesznika. Nie ja ci to nakazuję, ponieważ jestem nikim i zawsze o tym wiedziałem, lecz moc Trójcy Świętej, którą dziś przyzywam na ratunek. Ja jestem tylko Antoni, brat Biedaczyny.

Imię, które wybrał mi ojciec, to Ferdynand. Urodziłem się Portugalczykiem, z niezbyt piękną twarzą, ani wysoki, ani dobrze zbudowany. Zawsze nieco otyły, z widoczną nadwagą, nigdy nie miałem nawet włoska na brodzie. Ta osobliwość dawno temu, naraziła mnie kilkakrotnie na ośmieszanie, a moje czarne, kręcone włosy i ciemna karnacja czyniły ze mnie bardziej Saracena, i tylko mój strój mówił wyraźnie, kim jestem. Bóg, w swojej wszechmądrości, obdarzył mnie tym wyglądem nie nieprzyjemnym, ale

też nieatrakcyjnym, właśnie dlatego, abym nie odrywał się od celu, do którego miałem dążyć; abym nie stał się próżny ani też nie miał poczucia niższości; i bym z łatwością skoncentrował się na zadaniu, do którego zostałem powołany.

Mój ojciec, don Martin Vicencio z Bulhões, był rycerzem króla, a moją matką była Maria Teresa Taveira. Przyszedłem na świat 15 sierpnia roku Chrystusowego 1191 lub 1195, dokładnie nie pamiętam. A zresztą, czy to ważne? Bracia ubodzy nie liczą swych lat, jak czynią to ludzie na całym świecie. Tak, urodziłem się w szlacheckiej rodzinie i mój ojciec zawsze mi powtarzał, że pochodzimy w prostej linii z rodu Gotfryda de Bouillon, a ja przez zbyt wiele lat szanowałem te marności. Mój ojciec był z nich dumny, oczywiście. Ja jednak wybrałem życie, w którym duma jest głównym przeciwnikiem. To, co zostawiłem, by podążać za Franciszkiem, to czyste nic. Szpady, honory, wygody, kariera, sukces? Pewnego razu jeden ze współbraci pochwalił mnie za to, że zrezygnowałem z tego wszystkiego, bo wydawało mu się to rzeczą wielką. Odpowiedziałem wtedy, że mogłem urodzić się synem świniopasa; że, o ile mi wiadomo, miałem umrzeć tuż przed chrztem; że szpada mogła przeciąć moje życie, kiedy miałem zaledwie dziesięć lat; że jakakolwiek zmiana losu mogłaby w każdej chwili obrócić w niwecz całe moje bogactwo; że choroba może zniweczyć każdą dobrze zapowiadającą się karierę; że moje życie, krótko mówiąc, mogłoby przeplatać się z bólem i frustracją; i że jedyne możliwe szczęście na tej ziemi polega na doskonałym spełnianiu woli Boga, bo tylko On wie, po co nas stworzył; i wreszcie: że najlepszą rzeczą, jaką mogłem uczynić było dokładnie to, co robiłem wśród ubogich, i oby nieba zechciały, aby chociaż to udało mi się zrobić dobrze.

Bóg pobłogosławił mnie: dzięki Jego łasce urodziłem się w dniu, w którym Maryja Panna została wzięta do Niego i nigdy o tym nie zapomniałem. Jeśli była jakaś okazja do świętowania, to dla mnie zawsze była właśnie ta: doroczna pamiątka wydarzenia, które było moją pierwszą konsekracją, konsekracją, której dokonała moja ziemska matka, powierzając mnie Naszej Pani w katedrze w Lizbonie. Lizbona, miasto, gdzie przyszedłem na świat. Katedra znajdowała się blisko mojego wielkiego, rodzinnego domu i była poświęcona Wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny. Tak więc były to dwa wyraźne znaki powołania, które towarzyszyły moim narodzinom; powołania i zadania, bym stał się heroldem Matki Bożej. Każdy człowiek rodzi się z zadaniem i, co ważne, musi starać się, aby nie sprzeniewierzyć się swemu powołaniu. Wiem teraz, że urodziłem się, aby śpiewać chwałę Maryi i przekonać innych, aby zawierzyli się Jej przewodnictwu i ochronie. I uczyniłem to. Może mogłem czynić to lepiej, może powinienem zacząć wcześniej, ale wynik i skuteczność nie są tak ważne, jak zamiar i rozsądny cel. Nie w mocy człowieka jest jego droga, jak mówi prorok; to Bóg decyduje, to Bóg sprawia, że zostają wydane owoce w odpowiednim czasie i miejscu. To od Boga zależy wszystko. Mój ojciec, mąż waleczny, jak wszyscy ojcowie dumni ze swego fachu, marzył, abym poszedł w jego ślady i co roku 15 sierpnia przypominał mi, że był to dzień bitwy pod Roncisvalle, w której paladyni dobrego króla Karola ulegli Saracenom dowodzonym przez zdrajcę Gano. Mówił także, że sprawa odbicia terenów iberyjskich z rąk muzułmanów nie jest jeszcze zakończona. Wzrastałem więc w atmosferze opowieści o wojnie i czynach, których trzeba dokonać, aby wpędzić czarny naród do otchłani,

z której został wyrzucony z powodu grzechów chrześcijan. Byłem kilkudniowym niemowlęciem, kiedy papież wezwał królów do uczestnictwa w trzeciej krucjacie do Ziemi Świętej. Cesarz Ferdynand Barbarossa, król Francji Filip i król Anglii Ryszard wydali rozkaz uwolnienia Grobu Świętego. Zbrojna pielgrzymka składała się z flot przekazanych z Pizy, Genui, Wenecji przez Giuglielmo, króla Sycylii. O takich rzeczach, z błyskiem w oku, opowiadał mi mój ojciec.

Królestwo Portugalii, którego byłem poddanym, również miało przyłączyć się do walki. Ono samo powstało z ziem chrześcijan wyzwolonych spod muzułmańskiej okupacji. Jeden z rycerzy, którzy przybyli ze swej ojczyzny, by wspomóc króla kastylijskiego, otrzymał w zamian rękę córki władcy oraz ziemię, która rozciąga się do naszej rzeki Tago. Pierwszym księciem Portugalii był więc Henryk di Borgonia.

Ale z biegiem czasu Maurom udało się podbić Lizbonę, Sintrę i Santarę, podczas gdy – co za wstyd! – chrześcijanie walczyli między sobą. Tak, to właśnie z tego powodu było i nadal jest niemożliwe pełne zwycięstwo nad wyznawcami Mahometa. Oczywiście, również między nimi są waśnie i wojny, ale nie dziwi wcale, że błądzący są ofiarami błędów. Dziwi natomiast fakt, że narody chrześcijańskie ulegają tym samym słabościom. O tym, że nie może długo trwać dom podzielony, nikt nie powinien wiedzieć lepiej, niż sami chrześcijanie, powiedział to bowiem sam Chrystus[3]. Być może z tego powodu Biedaczyna wymyślił inny sposób, by odnieść zwycięstwo nad muzułmanami. Tymczasem zniewaga nadeszła w momencie, kiedy syn stanął przeciw matce; hrabia Alfons, syn Henryka, Henriques jak mawia się w moich stronach, powstał przeciw hrabinie Teresie, której zastępami dowodził w roku 1128. Bóg, który w swym miłosierdziu potrafi przemienić zło w dobro, dopuścił do tych smutnych zdarzeń po to, aby dać czas potrzebny na zjednoczenie wojsk chrześcijańskich. I tak osiem lat później Alfons Henriques mógł w końcu skierować zjednoczone wojska przeciwko Maurom, miażdżąc ich w walce pod Ourique. Tam właśnie narodziło się królestwo Portugalii, choć hrabia nie został mianowany jego władcą ani przez papieża, ani przez króla kastylijskiego, do którego hrabstwo portugalskie należało. Były to ciężkie czasy i nie można było zważać na szczegóły. Dużym osiągnięciem był już sam fakt, że udało się uniknąć kolejnej wojny między chrześcijanami. Papież przekonał króla kastylijskiego, żeby miał na uwadze najwyższy cel rekonkwisty i robił dobrą minę do złej gry, poświęcając odległy skrawek chrześcijaństwa, nad którym i tak nie udałoby mu się nigdy skutecznie zapanować. Po długich negocjacjach wysłannik legata papieskiego w Zamorze zwrócił się do Alfonsa I Zdobywcy, który kilka miesięcy wcześniej odzyskał Lizbonę, tytułując go „królem” i w ten sposób rozwiązał wszelkie spory. Przyszedłem na świat za rządów syna Alfonsa I, Sancha, a rekonkwista osiągnęła największy rozmach za panowania syna Sancha, Alfonsa II. Właśnie w jego wojsku służył mój ojciec.

Król ten odebrał Maurom Alcácer, a następnie połączył swoje oddziały z wojskami kastylijskimi, koronując w ten sposób dzieło zapoczątkowane przez swego dziadka. Sojusz ten przyczynił się do wspaniałego zwycięstwa nad muzułmanami pod Las Navas de Tolosa w roku 1212 – największego po dziś dzień.

Ale teraz powrócę do pisania o sobie, gdyż wspomnienia o moich pierwszych w życiu marzeniach zaczynają zwodzić mnie na manowce. Moim drugim i prawdziwym

ojcem był Franciszek, owładnięty obsesją na punkcie ideału rekonkwisty. Bóg powstrzymał go w momencie, gdy szykował się do niesienia krzyża jako rycerz, z szacunkiem i w posłuszeństwie wobec papieża Innocentego III, który z walki przeciw islamowi uczynił najważniejsze zadanie chrześcijaństwa. Poślubiwszy „Panią Biedę", Franciszek nie wycofał się z tego zamiaru i trzykrotnie udał się na Wschód, aby dodać odwagi walczącym chrześcijanom i nawrócić niewiernych. To on wysłał na Wschód pięciu braci, którzy zostali tam zamordowani. Ich przykład sprawił, że postanowiłem podążać jego śladami. Ale Bóg zdecydował inaczej o mnie i o Franciszku. O tym, pomimo wszystko, zaświadczam i wyznaję w momencie, gdy życie moje zbliża się ku końcowi: jestem synem dwóch krzyżowców, cielesnego i duchowego; ja sam naznaczyłem się krzyżem w dniu, w którym zdecydowałem podążać za Franciszkiem, a ten znak, nadając kształt mojej szacie, zdeterminował wszystkie moje wybory. Taka jest wola Boża.

Do chrzcielnicy prowadzili mnie ojcowie i matki chrzestne – najznamienitsi obywatele w całej Lizbonie. Miasto na nowo stało się chrześcijańskie w 1147 roku, kiedy rycerze wracający z krucjat w Ziemi Świętej pomogli zdobywcy w oblężeniu miasta. Niektórzy z tych rycerzy osiedlili się tam i właśnie jednym z nich był mój przodek, od którego pochodzę. Mój król mieszkał w Coimbrze, wybranej na stolicę w czasach, kiedy Lizbona znajdowała się w rękach muzułmanów, ale to Lizbona pozostała miastem najważniejszym, ze względu na jej wyjątkowy port. Klimat był tam łagodny dzięki otaczającym górom, przez środek miasta płynęła rzeka, a z przodu rozciągał się ocean. Zawsze wietrzna pogoda sprawiała, że ani upały, ani zarazy tam nie docierały. Lizbona kusiła muzułmanów również ze względu na znamienitych ludzi, którzy się tam urodzili. Wiedzieli oni, że została założona przez Odyseusza[4] podczas jednej z jego niezwykłych podróży: *Ulix bona* – właśnie przez swoje wspaniałe położenie.

Lecz zaczynam dywagować, moja niedoskonałość pogłębia się; nie, nie oderwiemy się od ziemskich namiętności tak długo, jak długo będziemy obciążeni ciałem. Oczywiście to nic złego kochać ludzi i ziemię swych ojców, ale tylko wtedy, gdy jest się zanurzonym w Bogu, jedynym i prawdziwym Ojcu, jedynej Istocie, która istnieje naprawdę. Także Jego Syn płakał, radował się i kochał; to nie jest złe być ciałem. Tak długo, jak realizuje się plan Tego, który nas stworzył.

Mój ojciec nadał mi imię Ferdynand, ponieważ tak nazywał się jego brat, który był księdzem i kanonikiem w katedrze. Byłem pierworodnym synem sławnego i zacnego dworzanina, miałem otrzymać wykształcenie stosowne do urodzenia, i mój wuj dobrze wiedział, że zaszczyt nauczania mnie miał przypaść w udziale właśnie jemu, nauczycielowi w szkole biskupiej. Tak więc zostałem powierzony wujowi, zaraz po tym, jak mamka odstawiła mnie od piersi i zwróciła matce. Dzięki matce poznałem pierwsze nabożeństwo do Matki Bożej i czułość wobec Niej już nigdy mnie nie opuściła. Mój ojciec podążał zawsze za swoim królem i rzadko go widywałem. Za każdym razem, kiedy wracał, pierwsze co robił, to sprawdzał, czy rosłem na silnego i mężnego chłopca. Ja, ze swej strony, wcale nie zaniedbywałem ćwiczeń z bronią; łuk, lanca, kij, a nade wszystko szpada ciągle mi towarzyszyły. Miarowe uderzenia tych narzędzi służących do obrony i ataku, chociaż tępych i w mniejszych rozmiarach niż dla dorosłych, zaczęły mieszać się

w mojej głowie z klaskaniem w dłonie nauczycieli, którzy uczyli nas w określonym rytmie reguł gramatyki, dialektyki i retoryki, nierzadko wymierzając chłosty za popełnione błędy. Mój ojciec dokładniej śledził szybkość mego ramienia niż postępy w nauce. Oczywiście był dumny, gdy najpierw jako kleryk sylabizowałem, a potem jako ksiądz czytałem łacinę, ale wzrok promieniał mu za każdym razem, kiedy słuchał opowieści o przygodach takich jak ta, która przydarzyła się pewnego wielkanocnego poniedziałku moim kolegom. Otóż bijąc się dla zabawy szpadami, chłopcy tak się zapiekli w bójce, że trzeba było rozdzielić ich siłą, zanim poraniliby się poważnie. Ja jednak odczuwałem inną Moc, która pociągała mnie bardziej niż grupa towarzyszy, bardziej niż opowieści o przygodach, bardziej niż zabawy z bronią i zawody w walce.

Tak, trudno nie uwieść młodego chłopca męskim współzawodnictwem, potrzebą ruchu, przewodnictwa, śmiania się w głos z niczego wraz z towarzyszami. Ja też lubiłem te rzeczy i to jak najbardziej. Jednak zdarzało mi się, ale tylko mnie, odczuwać dziwną błogość, kiedy przechodziłem przed obrazem Matki Bożej, a kiedy wchodziłem do kościoła, ogarniało mnie uczucie nieskończonego spokoju. Czasami, w półmroku kaplicy, czułem dziwnie ściśnięte gardło, tęsknotę w sercu oraz pragnienie, aby tam pozostać. W ciszy, powstrzymując oddech, zadawałem sobie pytanie, czym jest ta pustka, którą odczuwam w sobie i która jest przepełniona niezwykłą ciszą, inną od tej na zewnątrz, pełnej hałasu; ta wewnętrzna cisza była czymś, co pojąłem dopiero po latach, a co wówczas napawało mnie tylko fascynującym przerażeniem. Korzystałem z każdej wolnej chwili, aby pójść do kościoła i móc przebywać w nim tak długo, aż głosy z zewnątrz nie stawały się natarczywe. W kościele jakby czas się zatrzymywał, zapominałem tam o wszystkim i pragnąłem tylko pogrążyć się w tej wzniosłej ciszy; tak, wzniosłej – ja, Antoni, kaznodzieja, ten, który pociąga za sobą tłumy, kapłan, którego papież nazywa „Arką Przymierza", nauczyciel, z którego ust czerpią naukę rzesze studentów, ja, autor książek tak uznawanych, że jeden z braci gotów był wręcz poświecić swe powołanie i zaprzedać duszę, by mieć jedną z nich, ja, Antoni, nie potrafię znaleźć słowa, które godnie opisałoby tę ciszę, wypełniającą mnie w owych chwilach. Wzniosła. I niech to wystarczy.

Pewnego razu i ty przyszedłeś, Przeklęty. Skradałeś się jak zwykle: najpierw przyjemnie, niemal radośnie. Ale rozpoznałem cię po goryczy, jaką zaraz potem poczułem i po uczuciu całkowitej pustki, które zasiałeś w moim sercu. Byłem wtedy małym chłopcem, ale nie miałem żadnych wątpliwości, że to byłeś ty, Potępiony. Wypełniłeś mnie tak wielkim lękiem, że nie byłem w stanie nawet krzyknąć. Na wpół sparaliżowany ze strachu, nie mogłem wezwać tej Mocy, o której uczyła mnie moja matka, ani wypowiedzieć słów, aby wspomogła mnie w nagłej potrzebie. Mechanicznie naznaczyłem palcem znak krzyża na czymś, co znajdowało się najbliżej – na kamieniu, na którym klęczałem. *Ecce Crucem!* I koszmar zniknął tak szybko, jak szybko się pojawił. Kiedy wrócił spokój, podniosłem rękę i zauważyłem, że na kamieniu pozostał delikatnie odciśnięty znak. Czy to ja go uczyniłem, tak zwyczajnie, palcem? Nie, to, co zostało odciśnięte na kamieniu oraz na zawsze w moim umyśle, to Moc, którą przywołałem i która zstąpiła przez ramię do palców.

To wtedy zrozumiałem, czego pragnę i któremu Królowi mam służyć.

Nadal się uczyłem i ćwiczyłem, jak wcześniej, ale moje życie było teraz dla Boga i tylko dla Niego. To właśnie dałem do zrozumienia dziewczynie, która próbowała mnie oczarować, kiedy pewnego dnia oglądałem przez okno zachód słońca w domu ojca. Była to jedna ze służek, kilka lat starsza ode mnie. Wiedziałem, że wcześniej czy później musiało się to wydarzyć, widziałem, jak spoglądała na mnie i jak za każdym razem, kiedy podawała mi talerz, starała się musnąć moją dłoń. Byłem wtedy sam i nagle poczułem, jak ktoś palcami zaczyna pieścić moje włosy. Nie musiałem się odwracać. To musiała być ona. Kontakt z nią wywoływał pewien rodzaj burzy w moim brzuchu i cudowne zawirowanie, o czym później słyszałem w konfesjonałach – zawsze w ten sam sposób opisywali to chłopcy, którzy tak stawali się mężczyznami. Wszyscy moi towarzysze bawili się swoim ciałem i zabawiali się ze służkami w domu i za każdym razem musiałem potem wysłuchiwać ich ekscytujących sprawozdań z tych igraszek. Nierzadko pośród przyjaciół byłem obiektem kpin, nawet ciężkich, ponieważ byłem jedynym, który w takich okolicznościach, zamiast dołączyć swoją historię, milczał. Ale oni nie mogli wiedzieć o tej ciszy, która napełniała mnie w kościele, a ja w żadnym wypadku nie mogłem o tym mówić.

Jej też nic nie powiedziałem, tamtego dnia, ale delikatnie odsunąłem się, patrząc jej w oczy. Powoli dotknąłem swego czoła, piersi i ramion, czyniąc znak krzyża. Zaczerwieniła się, spuściła wzrok i odeszła. Od tej pory starała się mnie unikać i wszystko toczyło się tak, jakby się nic nie wydarzyło. Duch Święty powiedział mi, że została dobrą matką i nigdy więcej nie poszła za złym przykładem swoich przyjaciółek, których marzeniem było powić nieślubne dziecko jakiegoś pana (być może zachęcały je do tego własne matki, aby w ten sposób dziewczęta zapewniły sobie jakiś grosz albo inne korzyści na przyszłość). Biedni ludzie, zwodzeni przez ciebie, Przeklęty. Daremna to ułuda wierzyć w życie dostatnie, zaczynając od grzechu. Budowanie swego bezpieczeństwa nie na poszanowaniu praw Boskich, ale na łamaniu ich, na zamianie godności dzieci Bożych na parę groszy wyrwanych Mamonie, przeświadczenie, że szczęście można osiągnąć, robiąc to, co jest w oczach Boga złe, w rzeczywistości jest źródłem rozgoryczenia i zniechęcenia. Nic nie ma większej wartości, ponad czyste sumienie i łaskę Boga, lecz niewielu od razu zdaje sobie z tego sprawę, a wielu zbyt późno. Są jeszcze tacy, którzy nigdy tego nie dostrzegą, ponieważ to właśnie z powodu powielanych przez długi czas złych uczynków stępiają, czasami nieodwracalnie, swoje sumienie.

Nie było łatwo, muszę to powiedzieć, oprzeć się bliskości tej dziewczyny. Była ona piękna, energiczna i świergotała niczym słowik. Ratowała mnie myśl o tym, co mógłbym stracić na zawsze: wzniosłą ciszę moich pobytów w kościele. W jednej chwili zrozumiałem, z tą samą pewnością, z którą kontempluję ból przeszywający me nogi, że stanąłem wobec wyboru Achillesa. Z jednej strony życie takie, jak prowadzą inni, z drugiej – możliwość pogrążenia się w milczeniu. Przez wieczną chwilę byłem pomiędzy, sam. Wybrałem lepszą część, jak Magdalena siedząca u stóp Jezusa, chociaż w tamtej chwili nie miałem na to pewnych dowodów, które teraz są dla mnie oczywiste. Umierał Ferdynand de Bulhões, syn Marcina, dobrze zapowiadający się rycerz lizboński. Rodził się Antoni.

Jako pierwszy zorientował się mój ojciec, w dniu, kiedy zabrał mnie, aby obejrzeć

swoje lenne gospodarstwa. Nadszedł czas, aby dziedzic zaczął zdawać sobie sprawę, że rycerz powinien być także dobrym zarządcą swych dóbr. I dobrze jest, aby pan jak najczęściej spotykał się ze swymi dzierżawcami, kontrolował, czy wszystko jest w porządku, czy pola dają plony, czy zwierzęta dobrze się chowają, czy prace postępują. Tłumaczył mi, że głos gospodarza nie pozwala robotnikom wylegiwać się, że lenistwo idzie w parze z zaniedbaniem i brakiem zainteresowania, że pracowitsi chłopi są bardziej doceniani i lepiej nagradzani, że gospodarstwo niewłaściwie zarządzane powraca do króla, który przekazuje je komuś godniejszemu. Mówił mi to wszystko, kiedy radośnie, obaj na jednym koniu, zmierzaliśmy w stronę wsi. Siedziałem pomiędzy jego ramionami, co jakiś czas zachęcany do trzymania lejców. Opowiadał i pokazywał mi różne rzeczy, mówiąc: „Ferdynandzie, pamiętaj o tym, pamiętaj o tamtym". Było lato i upały dawały się nam we znaki. Dotarliśmy na skraj pola porośniętego zbożem w samo południe, kiedy słońce prażyło najmocniej. Nikogo nie było wokół. Zboże, nieruchome w upale, zdawało się falować w tle. W ciężkiej ciszy słyszeliśmy jedynie cykady i poruszające się stada wróbli, które przelatywały, wydziobując ziarna zbóż. Było ich tak dużo, że większa część kłosów czerniła się od skrzydeł.

Mój ojciec się wściekł i sądzę, że tylko jego głęboka pobożność uchroniła go przed przeklinaniem. Zeskoczył z konia, krzycząc, abym trzymał uzdy. Rzucił się na ptaki, jak gdyby były one diabelskim wcieleniem Saracenów, chcących zgwałcić poświęcone dziewice chrześcijańskie. Oczywiście ptaki uciekały spod wiru jego ramion, by zaraz powrócić do dziobania. Po jakimś czasie, zdyszany i zlany potem, wrócił do mnie i konia. Złorzeczył, że tym razem popamiętają go, że nie zostawia się tak pola, że on już im pokaże. Wskoczył na siodło i krzyknąwszy do mnie, abym nadal przeganiał wróble, pognał zostawiając za sobą tumany kurzu. I z oddali usłyszałem tylko, że wkrótce wróci. Zostałem sam, ze zbożem i wróblami. Rzuciłem się na pole, wymachując rękami jak mój ojciec i wrzeszcząc na ptaki z takim samym rezultatem. Biedne Boże stworzenia; czy są winne, że podążają za swoją naturą? Jest tyle jedzenia, więc one jedzą. Było ich jednak tak dużo, że obracały w niwecz całoroczną pracę.

Jedynymi budynkami w okolicy były chata z narzędziami i kamienna kaplica. Co jakiś czas musiałem chronić się przed słońcem w cieniu szopy. Jednak bardziej pociągało mnie to drugie miejsce. Miałem ochotę zostawić to bezsensowne zajęcie i zanurzyć się w półcieniu kaplicy, gdzie wiedziałem, że znajdę moją ciszę. Tylko że oznaczało to nieposłuszeństwo ojcu. Bałem się nie tyle jego wściekłości, co bolesnego zdziwienia, bo przecież nigdy nie miał powodu, aby skarżyć się na mnie. Nie, nieposłuszeństwo wobec ojca było grzechem, a nie można szukać dobra, wyrządzając zło. Tak więc ani się spostrzegłem, jak zacząłem błagać wróble, aby w imię Boga przestały. I ku mojemu ogromnemu zdziwieniu zobaczyłem, że olbrzymie stado wróbli zatrzymało się w powietrzu, unosząc się nad kłosami zboża i trzepocząc skrzydłami. Wszystkie główki skierowane były w moją stronę, jakby czekały na rozkazy. Zaskoczony, wydałem polecenie i otworzyłem na oścież drzwi chaty. Powiedziałem, że w cieniu będzie im lepiej i że nie potrwa to długo, a ja w międzyczasie pójdę do kaplicy, poprosić Pana, aby mogły znaleźć obfite pożywienie gdzie indziej. I ptaki wleciały do środka, obsiadając narzędzia, siekiery, bele siana i belki pod sufitem. Patrzyły na mnie w ciszy, kiedy delikatnie

zamykałem drzwi.

Głos ojca zbudził mnie i przerwał ciszę, moją ciszę, w kaplicy. Wyszedłem na zewnątrz i pokazałem mu się. Przybył z chłopami i wszyscy rozglądali się dookoła. Ojciec objął mnie i mocno przytulił. Zrozumiałem, że zmartwił się bardziej tym, że mnie nie zobaczył niż zjedzonym przez wróble ziarnem. Ludzie patrzyli na niego i na mnie, a na ich twarzach można było wyraźnie wyczytać pytanie: gdzie są te niezliczone chmary wróbli, przez które byliśmy narażeni na krzyki i groźby? Ale najbardziej zdziwiony był mój ojciec, który nie omieszkał spytać mnie, jak udało mi się przegonić te bestie. Opowiedziałem mu niepewnie, że nie odleciały, ale jeszcze tu są i siedzą bardzo spokojne w chałupie. Ojciec spojrzał na mnie, unosząc brwi. Nigdy nie kłamałem i on wiedział o tym; poza tym jakiś czas temu przekroczyłem już wiek, w którym łatwo pomylić rzeczywistość z fantazją. Nic nie mówiąc, poszedłem i otworzyłem drzwi chaty. Wszystkie wróble siedziały spokojnie w środku i patrzyły na mnie, jakby czekając na dalsze polecenia. Otworzyłem skrzydła drzwi na oścież i dałem znak, że mogą odlecieć. Pamiętam, jakby to było teraz, wyraz twarzy ojca oraz pozostałych zebranych na widok tysięcy skrzydeł wylatujących niekończącym się strumieniem i oddalających się wielkim łukiem w stronę horyzontu.

Tego dnia ojciec zrozumiał. I jestem pewien, że właśnie dlatego później nie sprzeciwił się mojej prośbie, kiedy nadszedł odpowiedni czas, bym przywdział habit zakonny. Z wyrazu jego twarzy poznałem, że spodziewał się tego i że była to być może dla niego ostatnia, najcięższa bitwa prowadzona pod sztandarami Chrystusa. W gruncie rzeczy okryć się chwałą i honorem walcząc przeciw Saracenom jest stosunkowo łatwo. Trudniej jest walczyć z samym sobą, kiedy Król, któremu ślubowałeś służyć, prosi cię jak Abrahama, byś poświęcił swego dziedzica. Jego pierworodny syn nie podąży śladem chwalebnej tradycji rodu de Bulhões ani nie wyda wnuków, którzy przedłużą ród w kolejnych stuleciach. Don Martin poświęcił swoje życie na walkę z niewiernymi w imię prawdziwej religii. Ale, jak często się zdarza, być może wiara, która kiedyś była dla niego ideą, powoli oddaliła się i została przysłonięta przez obowiązki dnia codziennego, niepostrzeżenie stając się tylko zasadą, przywoływaną w razie potrzeby. Jeśli intencje są słuszne, Pan zwykle prostuje ludzkie drogi, sprawiając, że spotyka nas coś, co nami potrząsa, budzi i skłania nas do zadania sobie, zanim będzie za późno, pytania: czy to, co zrobiłem, czy to, co robię, jest naprawdę dla Boga czy dla mnie? Dobrze – mówi Pan – jeśli naprawdę Mnie kochasz, tak jak mówisz i zawsze mówiłeś, daj Mi to, co masz najcenniejszego; Pan wręcz żąda: oddaj mi to. Mój ojciec przeszedł pomyślnie tę próbę i w zamian otrzymał syna, który nie tylko uhonorował jego imię, ale jeszcze okrył je chwałą; choć, jak sądzę, w tym momencie mój ojciec nie dba już o chwałę, która tak jak i dla mnie nie ma znaczenia. I nie jest to akt pokory, ale jasność widzenia: spróbowałem Boga oraz Jego ciszy i wiem, że reszta, cała reszta, jest niczym.

Tego dnia ja także coś zrozumiałem. Zrozumiałem przede wszystkim, jaki musi być człowiek przed upadkiem. Adam, nasz przodek, panował nad zwierzętami, które zostały stworzone, aby mu służyć. I były mu posłuszne. Odnowiony człowiek, który dzięki wcieleniu Chrystusa powraca do stanu, w jakim był, kiedy wyszedł spod ręki Boga, odzyskuje pierwotną kondycję; i wszystkie stworzenia, wyczuwając to, są mu posłuszne.

Ale nawet człowiek tak mocno utwierdzony w Bogu nie mógłby wydać im polecenia, gdyby nie miało to służyć prawdziwemu dobru. Czy byłem w tym momencie tak głęboko zanurzony w Bogu? Nie, jeszcze nie. Ale to, co się stało, było znakiem, znakiem kierunku, obietnicą oraz zapowiedzią nagrody za to, co miałem zamiar zostawić. Bóg zawsze tak czyni: przemawia poprzez fakty, oczekując, że człowiek zrobi mu miejsce w sercu, aby mógł przemówić do niego bezpośrednio. I tak uczynił także ze mną. We wzniosłej ciszy, w tej ciszy, która nadchodzi, kiedy milkną wszystkie inne głosy.

[1] Zob. Mt 3,9 [przyp. red.].

[2] Oto Krzyż Pana, uciekajcie wrogowie [przyp. red.].

[3] Zob. Mk 3,25 – [przyp. red.].

[4] Odyseusz – z łac. Ulysses, port. Ulisses [przyp. tłum.].

2.

Miałem piętnaście lat, kiedy przywdziałem habit kanoników regularnych w klasztorze Sao Vicente de Fora. Klasztor ten powstał w czasach, kiedy Lizbona znajdowała się jeszcze w rękach muzułmańskich, chociaż już niedługo miało się to zmienić. Wojsko chrześcijańskie otoczyło miasto i król Alfons I wraz z królową Mafaldą di Savoia złożyli śluby, że zbudują klasztor, aby zapewnić sobie zwycięstwo. Nowo wzniesiony kościół został przekazany przeorowi Coimbry, augustianinowi. Kapłani mieli modlić się za dusze poległych chrześcijan i zawierzać ich wstawiennictwu świętego diakona Wincentego, starożytnego męczennika iberyjskiego. Kościół ten był zawsze bardzo drogi królom, gdyż wznoszonym w nim modłom zawdzięczali odzyskanie stolicy.

Ale właśnie ten ścisły, zbyt ścisły, związek z koroną skończył się dla niego ograniczeniem niezależności. Kiedy przybyłem do Sao Vicente de Fora, klasztor był całkowicie podporządkowany królowi Alfonsowi, który obdarzył mnichów licznymi przywilejami i darowiznami, za co żądał wobec siebie bezwzględnego posłuszeństwa. Król miał dostęp do klasztoru jak i kiedy chciał, i to samo prawo przysługiwało wszystkim, którzy przybywali w jego imię, łącznie z ostatnim marszałkiem dworu. Zdarzało się, że handlarze, zwiedzający, rodziny i przyjaciele, a nawet przyjaciółki, wchodzili i wychodzili, kiedy im się podobało. Przeor, który mnie przyjmował nie był złym człowiekiem, ale nabrał złych manier i zaczął zarządzać dobrami zakonu według swojego upodobania. Opat Coimbry, któremu w hierarchii kościelnej przeor podlegał, oczywiście bardzo się uskarżał z tego powodu, ale nie mógł i tak naprawdę nie chciał nic zrobić, aby nie narazić się królowi. Działo się tak dlatego, ponieważ – jak było powszechnie wiadomo – klasztor Sao Vicente de Fora znajdował się pod specjalnym protektoratem króla. Jeśli finanse klasztoru były zagrożone z powodu rozrzutności czy wręcz spekulacji, król pokrywał straty, aby zakonnicy nie zapomnieli, komu zawdzięczają obfite i dostatnie życie. Przeor nie zważał zupełnie na upomnienia i wezwania ze strony władz kościelnych, mając zapewnione przez króla poczucie bezpieczeństwa. Został nawet ekskomunikowany i odwołany, ale pozostał spokojnie na swoim miejscu, bo nawet papież nie mógł nic zrobić przeciwko niemu. Dobrze wiedział, że papież nie mógł przeciwstawić się królowi portugalskiemu, który tak naprawdę stanowił jedyną zaporę przed muzułmanami w tym odległym zakątku chrześcijańskiego świata. I dla tego króla duchowni musieli robić tylko dwie rzeczy: być mu posłuszni i modlić się o dobrobyt jego królestwa.

W samym klasztorze zdania były podzielone. Niektórzy pogodzili się z istniejącą sytuacją i dbali o spokojne życie. Inni, tych było niewielu, nie ukrywali swojego niezadowolenia. Wśród tych ostatnich znajdowałem się ja, który wybrałem życie duchowne, aby zanurzyć się coraz bardziej w ciszy, a zamiast tego znalazłem dużo więcej pokus, niż zostawiłem ich poza klasztornymi murami. Na dodatek byłem synem jednego z najbardziej oddanych zwolenników króla. Ojciec mój dobrze wiedział, po której stronie stałem i z trudem ukrywał swoje zakłopotanie. Z tego powodu zdecydowałem się odejść. Nie chciałem przysparzać ojcu problemów w relacjach z królem. Nie chciałem już więcej

odwiedzin krewnych i przyjaciół, którzy mieli zaledwie cztery kroki do klasztoru i przychodzili, kiedy przyszła im na to ochota. Nie chciałem już dłużej być posłusznym przeorowi w imię uprzejmości oraz dobrych relacji międzyludzkich i przyjmować tych wszystkich, którzy prosili o spotkanie ze mną. Nie chciałem dłużej słuchać lekcji, które nużyły mnie i rozpraszały. Nie chciałem też więcej wiedzieć, co dzieje się w mieście, w moim domu, królestwie, a nawet za granicą. Nie chciałem dłużej się ukrywać, kiedy przeor szukał mnie, aby powierzyć mi zadania poza murami klasztoru. W rzeczywistości chodziło o to, że moje nazwisko otwierało drzwi, do których miałem pukać. I ponadto już nie chciałem słuchać pochlebstw – które czasami stawały się realnym zagrożeniem – szeptanych mi do ucha przez niektórych moich bardzo bliskich towarzyszy, pragnących skłonić mnie do powrotu do domu i do rezygnacji z tego, co dla nich było tylko młodzieńczym kaprysem.

Po dwóch latach poprosiłem o zgodę na przeniesienie do klasztoru w Coimbrze. I otrzymałem ją. Nie wiem, czy przeorowi było przykro z powodu utraty de Bulhões, czy był szczęśliwy, że uwolnił się od kleryka z przeciwnego ugrupowania. Nie stwarzał wielkich trudności, co sprawiło mi ulgę. Rodzina też nie sprzeciwiała się, choć odległość z Lizbony do Coimbry była znaczna. Wydaje mi się, że to ojciec ucinał każdą dyskusję; jego zgoda była natychmiastowa i jednoznaczna. Swojego czasu widział moje dzieło z wróblami. Wiedział, że należałem do Boga.

W opactwie Santa Cruz w Coimbrze znajdowały się groby Alfonsa I i Mafaldy. Klasztor w dawnej stolicy został założony prawie sto lat przed świętym Teotoniuszem, który obdarzył go wspaniale wyposażoną biblioteką. Teksty Ojców Kościoła i najwybitniejsze komentarze teologiczne były tam kopiowane w ogromnej ilości. Kiedy tam przybyłem, sława owych ksiąg docierała do granic królestwa. Wielu tamtejszych kanoników zdobyło doktorat w Paryżu, a sam przełożony był znanym wykładowcą teologii. Ci ludzie byli zbyt znani w świecie chrześcijańskim, aby król mógł przypuszczać, że uda mu się zrobić z nich *coram populo*[5] swoich popleczników. W Santa Cruz studiowało się i żyło regułą, przynajmniej formalnie w bezpiecznej odległości od polityki. Tutaj każda wyraźna próba ingerencji czy zawłaszczenia religii przez koronę, wywołałaby zdecydowane protesty również w innych królestwach, a papież byłby zmuszony do interwencji i wówczas król Alfons oficjalnie znalazłby się w poważnych tarapatach dyplomatycznych. Lepiej było zatem zostawić klasztor w spokoju, zwłaszcza, że nikomu nie przeszkadzał. Nie znaczyło to naturalnie, że opat nie zdawał sobie sprawy z faktu, iż papież był daleko, a król bardzo blisko. Wiedział również doskonale, że zachowanie równowagi między papieżem a królem pociąga za sobą konsekwencje wyboru na korzyść króla, przy czym dla osoby duchownej samo zachowanie tej samej odległości między władzą świecką a kościelną już jest opowiedzeniem się po stronie ziemskiej. Opat zachowywał na zewnątrz postawę bezstronności i wszyscy udawali, że naprawdę tak było. Ale kto umiał patrzeć, widział co innego. Ja również w końcu zrozumiałem, jak naprawdę sprawy wyglądały.

Ale przynajmniej na początku klasztor Santa Cruz wydawał mi się dobrodziejstwem, a ponadto – co dla mnie najważniejsze – znajdował się trzy dni drogi pieszo od Lizbony.

Moja Droga Siostro,

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze i że Twoja przełożona jest dla Ciebie łaskawa. Ja cieszę się dobrym zdrowiem i przeor jest ze mnie zadowolony. Jedzenie jest dobre i pora roku dała nam łaskawą pogodę. Nie było łatwo przyzwyczaić się do nowego rozkładu godzin studiów, który jest tutaj rygorystyczny i surowy, ale ucieszyłem się, kiedy zobaczyłem, że został nam przypisany pewien młodzieniec z Lizbony. Nazywa się Ferdynand i pochodzi ze znamienitego rodu o ugruntowanej pozycji na dworze. Obdarzony jest niezwykłą inteligencją i to dzięki niemu udaje mi się pojąć najtrudniejsze fragmenty. Kiedy dzwoni dzwon, wzywając nas na zajęcia, on już tam jest, czeka w skupieniu. I wychodzi jako ostatni. Sprawia wrażenie, jakby czerpał przyjemność z tego, co innym sprawia trudność. Czasami prosi o pozwolenie, aby mógł zrezygnować z wypoczynku i posiedzieć dłużej w skryptorium. Opuściłby nawet posiłek, gdyby przeor nie zabronił mu tego. Jako jedyny potrafi odpowiedzieć bezbłędnie na pytania nauczyciela i zawsze robi to jako pierwszy. Zazwyczaj osoby takie wzbudzają antypatię, ponieważ, ci którzy się wyróżniają, są często próżni i dumni. Ale nie on, zawsze łagodny i miły, zawsze pogodny i ufny. Również w nabożeństwach, zwłaszcza w nich, prezentuje się w szczególny sposób.

Pewnego razu, kiedy wszedłem do naszego kościoła, bo akurat była moja kolej na mycie podłogi, zastałem go tam klęczącego, z plecami wyprostowanymi i dłońmi idealnie złożonymi do modlitwy. Chociaż moje wejście z wiadrem i miotłą narobiło hałasu, on zdawał się tego nie zauważyć. Wciąż zapatrzony w ołtarz główny, z wyrazem twarzy, którego nie potrafię opisać, pomiędzy zamyśleniem a radością, cały nieruchomy niczym posąg. Obserwowałem go przez długi czas i, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, zauważyłem, że wcale nie zmrużył oczu. Czegoś podobnego nigdy nie widziałem. Zawołałem go cichutko po imieniu. Nie drgnąwszy nawet, odwrócił się w moją stronę i uśmiechnął do mnie, jakby dobrze wiedział, że tam stałem. Zapytał, czy potrzebuję go do sprzątania kościoła, ale wybełkotałem, że nie, nie potrzebuję, przepraszając, że przerwałem mu kontemplację. Odpowiedział, że wcale mu nie przeszkodziłem, potem wstał i wyszedł, żegnając mnie serdecznie i, tak, czule.

Droga Siostro, dzwoni dzwon i dopiero teraz zorientowałem się, że pisałem Ci nie o mnie, ale o moim dziwnym towarzyszu.

Niech Bóg Cię strzeże.

Twój brat Euzebiusz

W Santa Cruz spędziłem około dziewięciu lat i muszę powiedzieć, że niektóre z nich były szczęśliwe. Było to chyba najważniejsze centrum kulturowe w królestwie. Tam nauczyłem się teologii i dialektyki, a przede wszystkim otrzymałem święcenia kapłańskie i był to najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Od wieków wiadomo, że ci, którzy poślubiają ukochaną osobę uważają małżeństwo za podmuch czystej radości, przepełniony obietnicą szczęścia. Nie mówię o tych, którzy zawierają związki małżeńskie ze względów politycznych czy finansowych, ani o tych, którzy zobligowani kontraktami małżeńskimi biorą sobie za żonę kobietę, której nie kochają. Nie, mam na myśli szaleńczo zakochanych, spełniających swe najwyższe pragnienie. Do nich zwracał się nasz Pan Jezus Chrystus, kiedy porównywał Królestwo

niebieskie – nie tylko wejście do niego, ale również pobyt – do uczty weselnej, przyjęcia, najważniejszego święta przygotowanego dla ludzi od zarania dziejów.

I ja tego dnia czułem się tak, jakbym zaślubiał istotę, którą kocham najbardziej, tę, z którą pragnę spędzić każdą chwilę, dzielić każdą myśl i wydawać potomstwo, dzieci Królestwa, tak liczne, jak tylko to możliwe. Dobrze wiem, że u wielu, tak w małżeństwie, jak i w kapłaństwie, początkowa euforia przechodzi w rezygnację i zniechęcenie, i jest dobrze, jeśli nie porzucą obranej drogi. W przeciwnym wypadku zaczyna się cudzołóstwo, zarówno wśród małżonków, jak i kapłanów, a Szatan dobrze się bawi, zasiewając niepokój i cierpienie w stanie, który się wybrało, skłaniając do prób wprowadzenia zmian, łudzenia się, że w innym miejscu, w innej sytuacji, z kimś innym znajdzie się upragnione szczęście. Wiem, o czym mówię, bo sam padłem tego ofiarą. Ale zawsze pojawiało się wezwanie ciszy, tej mojej ciszy, które pozwalało mi pojąć, że nie ma szczęścia poza wolą Bożą. I powtarzałem wtedy, jak Chrystus w Getsemani: nie moja wola niech się stanie. I uciekałem się do umartwiania, ponieważ ty, o Nieposłuszny, tego się boisz.

Ale nie wszystkie te lata były szczęśliwe. Papież, nasz zwierzchnik, zmuszany był wielokrotnie interweniować u władz także przeciw temu opactwu. Tak, ponieważ nie znalazłby się wówczas w tamtych stronach rynek lub sąd, w którym nie można byłoby spotkać mnicha lub księdza gotowego sprzedawać i kupować, kłócić się i zaświadczać, korzystać z adwokatów i prokuratorów w sporach o dobra ziemskie. Gdzież u proroków czy w Ewangelii, w listach Benedykta czy Augustyna można znaleźć tyle hałasu i dyskusji na temat ulotnych rzeczy świata tego? Czyż nie było więc nikogo, kto jak Chrystus chciałby żyć w ubóstwie i rezygnacji ze wszystkiego, by zdobyć niebo? Pragnęli widzieć Chrystusa w Królestwie, ale nie chcieli kontemplować Go ukrzyżowanego. Chcieli panować z Nim, ale równocześnie cieszyć się życiem ziemskim. Zamiar dziwaczny i niemożliwy.

Joao Cesar, przeor Santa Cruz w Coimbrze, do współbrata w Chrystusie don Raymundo Guttierez

Pochwalony!

Skoro zapytujesz mnie o mojego podwładnego Ferdynanda de Bulhões, tego naszego młodzieńca, którego erudycja i niezwykła pamięć tak bardzo Cię poruszyły podczas Twojego pobytu w naszym opactwie, musisz wiedzieć, że nie ma go już z nami. Poprosił o możliwość przyłączenia się do ekscentrycznych naśladowców Franciszka z Asyżu. Niektórzy z nich, pod protektoratem naszej królowej Urraki, osiedlili się w pobliskiej pustelni i Ferdynand był nimi zafascynowany. Przychodzili prosić o jałmużnę również do naszego przybytku i tak ich poznał.

Ale to, co zrobiło na nim szczególne wrażenie, to powrót szczątków braci, którzy udali się, by głosić Chrystusa wśród muzułmanów w Afryce. Zostali tam wysłani przez ich założyciela, który łudził się, że sam zapał wystarczy. Ich męczeństwo wywołało spore oburzenie i jest Wam z pewnością o tym wiadomo; jest Ci również wiadomo, że z mahometanami się nie rozmawia, ponieważ oni rozumieją tylko siłę i podbój. Jak dobrze wiesz, ich nie interesuje apostolstwo, którego nie uznają, tylko uległość; nie przebierają w środkach, aby zdobyć terytoria i niewolników. Owszem, ten, którego nazwali swoim

Prorokiem, z wymyślonej niejasnej mieszaniny Starego i Nowego Testamentu, przyznał nam chrześcijanom i Żydom, których nazwał Ludem Księgi, prawo do życia, ale pod warunkiem, że zmusi nas, abyśmy płacili muzułmanom wysokie haracze i egzystowali w cierpieniu; że nie będziemy mogli budować domów wyższych od ich domów, że nie będziemy mogli dzwonić w kościele ani jeździć na koniu i będziemy musieli wstawać i ustępować miejsca, kiedy któryś z nich będzie chciał wejść lub przejść. Ale zbytecznym jest przypominać o rzeczach, które dobrze znasz.

Ferdynand był jedynym, który na widok zwłok milczał. Jego twarz, widzę ją jakby to było teraz, nawet się rozpromieniła, a oczy niemal błyszczały. Obawiam się, że zawładnęło nim pragnienie męczeństwa, co nie jest specjalnie niezwykłe w szczerych duszach rozpalonych miłością Boga. Usiłowałem rozmawiać z nim, odwieść go, ale muszę Ci wyznać, że tak silnej determinacji jak jego jeszcze nie widziałem. Odpowiadał mi cytując fragmenty pism Ojców, których wiele zna prawie na pamięć. Nie wstydzę się przyznać, że niemal mnie przekonał. Ale ja jestem o wiele starszy od niego i mam wielkie doświadczenie w tych sprawach. Tylko Bóg może znaleźć właściwe słowa wobec kogoś takiego jak on, ponieważ doskonałą znajomość pism świętych ma także Stary Przeciwnik. Nie jest tak, że Ferdynand padł jego ofiarą, naturalnie, ale płonie zapałem i pragnieniem dążenia do świętości. Rzecz to godna najwyższej pochwały u mnicha, ale osobiście ufam bardziej sprawdzonej regule naszego ojca Augustyna – mądrej, pełnej rozsądku i potwierdzonej przez lata praktyki – niż temu naiwnemu entuzjazmowi, jaki żywią żebracy z Asyżu.

Nie ukrywam, że było we mnie również pragnienie, aby nie stracić dobrze zapowiadającego się współbrata, jakim był Ferdynand, którego możliwości i przygotowanie z pewnością przydałyby blasku naszemu zakonowi. Istotnie, liczyłem, że wyślę go do Ciebie do Paryża; u odpowiedniego nauczyciela teologia miałaby w nim przyszłego mistrza. Wiesz, że papież, pan nasz, związał moje opactwo specjalnym przywilejem: nikt nie może odejść stąd bez mojej pisemnej zgody, a ponadto może to uczynić tylko wtedy, jeśli chce przejść do zakonu o bardziej surowej regule. Wiesz również, że między mną i papieżem nie układa się dobrze przez mój wybór, którego on nie uznaje, gdyż stanąłem po stronie króla. Opactwo jest podzielone i muszę być bardzo czujny: nie wstydzę się wyznać Ci, iż chodzę ze sztyletem pod ubraniem, bo nigdy nic nie wiadomo. Ferdynand oczywiście trzyma stronę papieża. Tak czy inaczej, noszę go w sercu. Przypomina mi, jaki sam byłem wiele lat temu, kiedy moje powołanie było pędem ku niebu, a polityka jeszcze nie tknęła mej dłoni, głowy i całej reszty. I to powinien być kolejny powód, dla którego nie mogę się z nim rozstawać.

Ale chcę Ci powiedzieć o tym, co mi przeszkodziło w naleganiu i zmuszaniu Ferdynanda, by wywiązał się z zasady posłuszeństwa wobec mnie, by pozostać z nami. Spędziłem całe dwie noce na studiowaniu jego układu gwiazd. Urodził się w konstelacji Lwa, znaku władców i dobrych przywódców. Jednak pozycja planet i pozostałych gwiazd była doprawdy wyjątkowa. Nie wiem, co go czeka w przyszłości, ale jest pewne, że temu młodzieńcowi zapisany jest na niebie niezwykły los. Jego życie, jak wynika z ustawionych kart, będzie raczej krótkie. Być może, pomyślałem, na końcu jego drogi czeka go prawdziwe męczeństwo, nawet jeśli nie widziałem znaków gwałtownej śmierci. Tak więc

w tym miejscu powiedziałem sobie: kimże ja jestem, by przeciwdziałać planom Najwyższego?

Niech idzie więc Ferdynand swoją drogą. Jeśli kiedyś zorientuje się, że popełnił błąd, drzwi Santa Cruz będą dla niego zawsze otwarte. Innymi słowy, niech służy Panu, postępując zgodnie z Jego planem. Oczywiście, tak po ludzku smutna to myśl, że tam, dokąd się udaje, jego talenty zostaną całkowicie zaprzepaszczone i co gorsza będzie musiał zapomnieć o swoim doskonałym przygotowaniu teologicznym. Jak dobrze wiesz, Franciszek z Asyżu przekonany jest, że litery i nauka wzniecają pychę i praktycznie zabronił swoim uczniom studiować. Ale może zbyt pochopnie go oceniam. Wiem, że ten niedoszły kupiec darzy wielkim szacunkiem teologów i tych, którzy objaśniają słowo Boże, i akceptuje wszystkich w swojej wspólnocie. Ale kiedy ktoś jest niepiśmienny jak on, z czego zdaje się być dumnym, woli, aby tak zostało i by bracia żyli tylko modlitwą i pobożnością.

Podsumowując, nie ukrywam, że Ferdynand został wręcz rzucony tam, dokąd się udaje. Ale, powtarzam, nie mogę sprzeciwiać się woli Boga, jeśli o tym mowa. Wyraziłem oczywiście swoje ubolewanie, ale nie pozostawiłem go bez mojego błogosławieństwa. W końcu talenty, które płoną na ołtarzu woli Bożej są niczym kadzidło i złoto, które cenimy po ludzku, daremnie przekuwając je w kandelabry i kielichy. Z całego serca życzę sobie, abym nie musiał śpiewać De Profundis *nad jego zwłokami.*

Bywaj zdrów.

Oczywiście, z powodu moich nóg mógłbym prosić o wstawiennictwo świętego Kwintyna. Kiedy byłem we Francji, dowiedziałem się, że ten biskup rzymski został ścięty i wrzucony do rzeki Sommy dawno, dawno temu. Po ponad pięćdziesięciu latach jego ciało zostało przypadkiem wyłowione i okazało się, że zachowało się w nienaruszonym stanie. Jego grób znajduje się w Noyon. Mówi się, że tam cierpiący na wodobrzusze odzyskują zdrowie. W Vermandois chorzy ważą się podczas nowenny, aby sprawdzić, czy dostąpili łaski. Nazywają to „przeciwwagą": jeśli waga wskazuje za każdym razem coraz mniej, to znaczy, że święty działa.

Czuję nieustanny przeszywający ból. Ale to na pewno ty, Przeklęty, każesz mi myśleć o sobie i moim cierpieniu tak, jakbym uwolniony dzięki interwencji świętej duszy mógł jeszcze biegać po drogach, głosząc słowo Boże. Podpowiadasz mi dobro, abym stracił z oczu coś ważniejszego – wolę Bożą. Ale ja nie jestem sam, wiedz o tym. I nie złamię złożonego przyrzeczenia, że nigdy nie będę o nic prosił dla siebie. Twoje wstrętne towarzystwo, o Odrzucony, było dla mnie uciążliwe niczym kąsanie bąka i kleszcza jeszcze w czasach Santa Cruz. Czułem twój fetor owego razu, kiedy miałem opiekować się naszym biednym współbratem, który stał się odrażający dla wszystkich z twojego powodu. Tak go osaczyłeś, że zachorował i nikt nie był w stanie opanować go w chwilach wybuchu złości. Wiedziałem, że to nie była jego wina; znałem go dobrze, kiedyś był dobrym człowiekiem, ale później z dnia na dzień, stał się twoją ofiarą, za pozwoleniem Bożym. Błagałem Pana za tym nieszczęśnikiem, który wzbudzał we mnie litość. Drżał z gorączki. Zdjąłem płaszcz i okryłem go nim. Dokładnie w tym momencie ty odszedłeś, a on zasnął spokojnie. Bóg wysłuchał mojej prośby, tak jak wysłuchał mnie kilka dni później.

Zamiatałem akurat podwórze, a posłuszeństwo nakazywało stawić się na wieczornej mszy. Zamiatałem jednak nadal, a jednocześnie uważnie nasłuchiwałem chwili podniesienia. Kiedy usłyszałem dzwonek, który zapowiada wstąpienie Chrystusa w hostię, uklęknąłem. I wielce wzruszony ujrzałem, jak otwierają się mury kościoła. Błogosławię Cię, Panie, Boże mój i wszystko moje, że nie pozwoliłeś, abym pozostał oddzielony od Ciebie, nawet jeśli Twoja miłość do mnie jest silniejsza niż moja do Ciebie. Silniejsza od murów.

W owych dniach wypadała na mnie kolej służby przy bramie i jako pierwszy ujrzałem ich. Przyszli we dwóch, bardzo młodzi, brudni i wyczerpani z głodu. Mieli brody, a choć ich krótkie włosy nosiły ślady strzyżenia, widać było wyraźnie, że obcinali je sobie nawzajem, kto wie czym, aby tylko jakoś radzić sobie z wszami. Okryci surowym szarym płótnem przewiązanym sznurkiem przyszli z prośbą o kawałek chleba.

Wiedziałem, kim byli, gdyż w opactwie mówiono o nich od dawna. Królowa Urraka poznała ich założyciela, Franciszka Bernardone, który przybył złożyć hołd królowi i prosić o zgodę na posłanie kilku swoich braci do Portugalii. Była nim zafascynowana. Podarowano mu kawałek ziemi z gajem oliwnym nieopodal stolicy. I tak przywędrowało kilku braci z Włoch, którzy wybudowali pustelnię i mały kościółek, wszystko z drewna i błota, i poświęcili je świętemu Antoniemu z pustyni. Ludzie zaczęli nazywać to miejsce San Antonio dos Olivais i dziwili się, że pomimo surowości budowli i ubogiego otoczenia królowa bardzo często udawała się tam z wizytą i spędzała wiele godzin na rozmowach z tymi obszarpańcami w stroju w kształcie krzyża.

Byli zupełnie inni od wszystkich pozostałych mnichów i szybko zdobywali zaufanie zarówno ludu, jak i władców. Nie mieszkali w wielkich klasztorach, przypominali te „lilie polne", o których mówi Ewangelia. Pamiętam, że ta myśl uderzyła mnie od razu. Dlaczego Zbawiciel mówił o „polu", a nie o ogrodzie czy o pustyni? Przecież te kwiaty też tam rosną. Teraz wiem, że na pustyni kwitną pustelnie, a w ogrodach klasztory. Ale jest o wiele bardziej heroicznie, a więc zasłużenie, móc rozkwitnąć na otwartym polu, w świecie, który łatwo może zniszczyć podwójny wdzięk kwiatu, piękno świętego życia i zapach dobrego imienia.

Kiedy otworzyłem im okienko, natychmiast uderzyło mnie szczęście na ich twarzach. Wpuściłem ich i wielu moich współbraci zebrało się zaciekawionych. Przyjrzałem się i jednym, i drugim. Ci pierwsi porządnie ogoleni, uczesani, ubrani, schludni, a tamci śmierdzący i schorowani. Ale na twarzach tych pierwszych widać było zmarszczki od ciągłego dumania, od codziennych zajęć, od myślenia o tym, co już zostało zrobione i co jeszcze trzeba zrobić, tu i ówdzie malowała się troska i zły humor, a nawet wręcz nuda. Ci drudzy zdawali się być leciutcy niczym powietrze, niemal nieświadomi w swojej radości. W poczuciu spokoju, który od nich promieniał poczułem *bonus odor Christi*[6], gdy tymczasem w Santa Cruz najpełniej mogłem chłonąć jedynie powagę, wiedzę i wagę stanu.

Otrzymawszy jałmużnę, zaczęli się oddalać. Pobiegłem wtedy za nimi i zawołałem. Zatrzymali się, odwrócili i spojrzeli na mnie. Zdumieli się, gdy złapawszy oddech, powiedziałem im tylko, że mogą wrócić, kiedy tylko będą chcieli. Moje skrępowanie musiało być widoczne, gdyż ja sam nie wiedziałem dobrze, czego od nich chciałem

i dlaczego włożyłem tyle zaangażowania w zaproszenie, które brzmiało jak zwykła grzeczność. Odpowiedzieli, że tak, że chętnie wrócą i pożegnali mnie słowami: *Pokój i dobro*. Istotnie, wracali wielokrotnie, a ja przy pożegnaniach odkryłem w sobie niepokój, czy ich jeszcze zobaczę. Otrzymałem od przeora zgodę na przedłużenie mojej służby przy drzwiach, ale inne zadania nie pozwalały mi przebywać z tymi braćmi tak długo, jakbym chciał.

Osiągnęli taką prostotę duszy i życia codziennego, że zakłócali mój spokój. Prawie nic nie wiedzieli o pismach i komentarzach Ojców Kościoła, a jednak ich wiedza o Bogu była równa mojej. Wystarczał im spektakl codziennego dnia stworzenia, by pojąć Stwórcę w bezpośredniości zrozumienia, która dociera od razu do serca, bez przechodzenia przez głowę, gdzie rzeczywiście może zaplątać się w błędnym kole logiki, co nierzadko i mnie się zdarzało i potem musiałem spędzić wiele nocy na modlitwie, aby się odnaleźć. Nie potrafili inaczej i powiedziałbym nawet, że nie wiedzieli po prostu nic; nie interesowała ich polityka, a nawet wydarzenia w Kościele. Przychodzili jak ptaki z nieba i właśnie jak lilie polne, dbając tylko o to, aby każdego dnia być godnymi w obliczu swego Pana.

Spośród współczesnych wydarzeń jedyną rzeczą, jaka przykuwała ich uwagę, było to, co mówił i zarządzał ich ojciec Franciszek. Pewnego dnia powiedzieli mi, że Franciszek udał się na Wschód, ponieważ jego troską stało się nawrócenie heretyków muzułmańskich.

Ten prawdziwy i rzeczywisty dopust Boży był istotnie wielką tajemnicą: pojawił się nagle, w przeciągu niecałych stu lat stworzył potężne imperium, które zabrało chrześcijańskiemu światu połowę jego terytorium i coraz szybciej i gwałtowniej oblegał pozostałą część. Cała chrześcijańska Afryka i Święte Miejsca zostały utracone; ziemia, która widziała dzieła Cypriana, Tertuliana, a nawet ojca naszego Augustyna, czyli najpotężniejszych umysłów chrześcijaństwa, teraz była muzułmańska. Franciszek nigdy się z tym nie pogodził i już raz udał się nawracać niewiernych, ale musiał przerwać swoją podróż. Teraz posyłał swoich pięciu synów do Maroka. Mieli wyjechać z Portugalii.

Przybyli z Włoch i zatrzymali się u nas na jedną noc. Rozmawiałem z nimi. Pochodzili z Umbrii i Toskanii. Nazywali się: Bernardo z Calvi, Piotr z San Gemini, Akursjusz, Otton i Adiut, którego pochodzenia nie pamiętam. Powiedzieli, że Witalis, szósty, zachorował po drodze i musiał się zatrzymać. Z całą pewnością był między nimi ten, który sprawiał, że ich zamiary były czystym szaleństwem. Mówili, że są posłuszni Franciszkowi, który wykonywał polecenia Pana. Opowiadali z niepokojącą prostotą, jakby wyprawa na ziemie Saracenów była najzwyklejszą rzeczą na świecie. Zaiste, było w nich naturalne posłuszeństwo. Gdyby kler chrześcijański był posłuszny przełożonym z taką samą dosłownością i doskonałością, granice chrześcijaństwa byłyby zupełnie gdzie indziej. Bracia przybyli jak zwykle pieszo. Mieli przy sobie tylko kartę z regułą, którą podyktował im Franciszek oraz książeczkę z modlitwami codziennymi; o resztę miała zadbać Opatrzność.

Na pożegnanie uścisnąłem ich. Wiedziałem, że nie zobaczę ich już więcej na tym świecie. Patrząc za nimi, kiedy oddalali się radośni, odkryłem ze zdumieniem, że im zazdroszczę.

Śledziłem ich wyprawę, zdobywając informacje od moich współbraci, ponieważ do

Santa Cruz wiadomości docierały szybko. Królowa Urraka przyjęła ich i pomogła, zapewniając podróż statkiem. W zamian poprosiła o proroctwo dotyczące reszty życia, jaka jej została. Wyobrażam sobie zdziwienie pięciu włoskich braci, gdy byli traktowani przez kogoś jak święci. Ale Urraka wiedziała, że Bóg niczego nie odmawia temu, kto gotów jest oddać za Niego życie. Oni poprosili o jedną noc na modlitwę, a następnie odpowiedzieli królowej, aby była gotowa, bo odejdzie zaraz po nich, ale dopiero wtedy, gdy ich ciała wrócą do Coimbry.

To wielka łaska – jak mówi Pismo – móc policzyć swoje dni, łaska, o którą od tamtej pory nie przestawałem prosić naszego Pana. Tej łaski dostąpiła ta święta kobieta oraz pięciu synów tego, którego nazywali Biedaczyną.

Wyjechali z Alenquer, gdzie zostali przyjęci przez siostrę króla, księżniczkę Sanchę, osobę wielkiej wiary. Wysiedli w Sewilli, pośród Saracenów, i od razu zaczęli głosić słowo Boże. Kadi[7] wcisnął się między rozwścieczonych ludzi a tych, którzy dla niego byli tylko biednymi szaleńcami. Wśród krzyków dzikiego tłumu skazał ich na śmierć, ale po namyśle doszedł do wniosku, że w tym momencie popsucie stosunków z chrześcijańskimi królami nie byłoby wskazane. Wiedząc, że chcieli jechać do Maroka, ograniczył się do wysłania ich tam z dekretem o wydaleniu.

W Afryce powtórzyły się te same sceny. Tyle, że tam mieszkał infant don Pedro, brat naszego króla Alfonsa. W przeciwieństwie do naszego władcy, zawarł kontrakt z niewiernymi i oddał im swoje wojsko na służbę. Handel ma tylko jednego boga – Mamonę, z powodu której wielu ludzi zapomina o różnicach religijnych; dotyczy to zarówno chrześcijan, jak i muzułmanów. Ci drudzy są jednak mniej winni, ponieważ nie mają papieża, który ich prowadzi, gdziekolwiek by byli; mają tylko swoją Księgę, którą interpretują dosłownie i według swoich potrzeb, czyli w praktyce – każdy, jak chce. Don Pedro i kalif Maroka żyli według zasad religii – każdy swojej – ale za opłatą jeden korzystał z wojskowej pomocy drugiego do prowadzenia swych lokalnych wojenek. Królowie chrześcijańscy czerpali korzyści z takiej sytuacji, by zapewnić sobie kontakty z królem afrykańskim, zaś kupcy chrześcijańscy bardzo chętnie korzystali z obecności muzułmańskiej ochrony zbrojnej w tych stronach i wszyscy byli zadowoleni. Poza Prawdą.

Jakże wielkie zdziwienie musiał wywołać na ulicach tego królestwa spektakl pięciu głosicieli Chrystusa, którzy gardzili nawet życiem, by świadczyć o niej, o Prawdzie, wśród pysznych muzułmanów, obojętnych kupców, niewolników chrześcijańskich, Żydów zmuszonych do ubierania się na żółto, żołnierzy don Pedro oraz wszystkich ludzi dbających – z potrzeby serca albo z wyrachowania – nade wszystko o zdrowie i swoje brzuchy. Na terenach islamskich zabroniona była tylko jedna rzecz: Chrystus. A ci szaleńcy rozpowiadali o Nim na wszystkie strony świata. Zostali aresztowani i tylko dzięki wstawiennictwu don Pedro uniknęli ścięcia. Książę przedłożył swoje zatargi z bratem ponad wiarę, ale z całą pewnością musiały gryźć go wyrzuty sumienia. Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu nawet wówczas go szukał i zmuszał do podjęcia wyboru.

Don Pedro stracił braci z oczu, kiedy usiłował odesłać ich do Portugalii. Udało im się wrócić do stolicy Maroka i tam na nowo rozpoczęli głoszenie kazań. Książę znowu

musiał interweniować, zapewniając kalifa, że zaciągnie ich do swej armii, by służyli religii. Jeden z wracających z Portugalii żołnierzy chrześcijańskich zatrzymał się w naszym klasztorze i opowiadał, że pewnego razu podczas marszu przez pustynię żołnierze don Pedra zgubili się i zostali bez wody. Wówczas Bernardo ukląkł i zaczął się modlić i zaraz potem ze skały wypłynął strumień czystej wody. Ale pięciu braci – tak pragnęli być nazywani – nie pojechało do Maroka, by służyć jako kapelani pod wodzą don Pedra. Pewnego dnia zaczęli głosić o Chrystusie na ulicy, wiedząc, że miał tamtędy przejeżdżać kalif. To właśnie Bernardo wskoczył na jeden z wozów, aby było go lepiej słychać. Chociaż nie znali sztuki przemawiania jak biskupi, ich prostota poruszała nawet najbardziej zatwardziałe serca. Tego dnia przywódca mahometan był w drodze do grobów swoich poprzedników i nie mógł znowu stracić twarzy wobec swoich poddanych; on, który posiadał również tytuł strażnika ich wiary. Tym razem pięciu braci zostało zaciągniętych przed sąd, przed filozofów i uczonych muzułmańskich. Nawet w tych okolicznościach głosili prawdę o Chrystusie.

Skończyło się tak, jak musiało się skończyć. Rozebrano ich i wychłostano, a następnie posypano rany solą i związanych prowadzono ulicami. Pozostali na łasce tłumu do wieczora. Następnego dnia kalif nakazał przyprowadzić ich przed swe oblicze i nakazał po raz ostatni, by odwołali wszystko, co mówili. Oczywiście nic nie wskórał. Wówczas osobiście roztrzaskał im głowy zakrzywionym mieczem. Zwłoki przeciągnięto ulicami i tylko dzięki denarom don Pedro udało się je odzyskać. Tym gestem don Pedro dokonał ostatecznego wyboru chrześcijaństwa. Ponieważ ściągnął na siebie gniew kalifa, został zmuszony do natychmiastowego opuszczenia kraju. Jego nawrócenie tych pięciu braci musiało okupić męczeńską śmiercią. Don Pedro dotarł do Galicji, a ciała męczenników posłał do Coimbry, gdzie trumny zostały przyjęte z należnymi honorami przez cały dwór.

Wiadomość o tych wydarzeniach dotarła najpierw do Franciszka. Przekazano mi, że wstał, obrócił się w stronę Wschodu, rozpostarł ramiona i pobłogosławił Alanquer. Dowiedziałem się także o widzeniu, jakie miała księżniczka Sancha dokładnie w tym samym momencie, kiedy pięciu braci oddawało swoją duszę Bogu: widziała ich z mieczem w dłoni. Relikwie męczenników zostały przeniesione w wielkiej procesji właśnie do Santa Cruz, gdzie pochowaliśmy ich wśród grobowców królewskich. Życzył sobie tego don Pedro. Gest ten uczynił go w oczach ludu wybawcą relikwii i być może miał go ochronić przed zemstą brata.

[5] wobec ludu [przyp. red.].

[6] dobrą woń Chrystusa [przyp. red.].

[7] Sędzia muzułmański [przyp. red.].

3.

Od tej pory miałem tylko jeden cel: podążać za nimi. Z tą myślą budziłem się rano, towarzyszyła mi ona przez cały dzień, wracała w nocy, kiedy wstawałem na nabożeństwo i była przy mnie, kiedy wracałem na posłanie.

Rozmyślałem o tym, co słyszałem o krucjacie dziecięcej, która miała miejsce około dziesięciu lat wcześniej. Tych pięciu franciszkanów jawiło mi się właśnie w taki sposób: jak dzieci, jak te święte Niewiniątka, które przelały krew, by otworzyć drogę Niewinnemu.

Ale jako kanonik nie mogłem oczywiście wyjechać do Afryki. Nasza reguła przewidywała tylko studiowanie i służbę Bogu. Nie było więc innego wyjścia jak zmienić szaty i przyłączyć się do tych z Olivais. Z drugiej strony, nie byłem pierwszym, którego nieodparcie pociągało całkowite ubóstwo. „Epidemia" franciszkańskiego ideału już się rozprzestrzeniła i trudno byłoby zliczyć młodych, którzy przywdziali zgrzebny strój oraz tych, którzy, by móc to uczynić, odchodzili od swoich zgromadzeń. Ale czy ta niezwykła fascynacja, którą czułem była wolą Bożą? Skąd brały się moje obawy związane z męczeństwem? Musiałem dowiedzieć się, czy to, co mąciło mój spokój, było umiłowaniem nieba, czy zwykłą chęcią przyspieszenia czasu, by skończyć jak najszybciej z ziemskim życiem, które mi ciążyło, zostawić w końcu za sobą regułę, wymogi cierpliwości, akceptacji swojego bliźniego, znoszenia nieporozumień, czasami nudę; zostawić za sobą trud studiowania, kary, czuwania, posty, choroby i przejść od razu do błogosławionej wieczności, by móc kontemplować twarzą w twarz mojego Stwórcę. Tak, jeśli pragnienie to wychodziło ode mnie, z mego biednego człowieczeństwa zranionego grzechem Adama, to na końcu tej drogi nie znajdę szczęścia niebiańskiego, ale naganę i bolesne oczekiwanie w czyśćcu. Mogłeś to ty, Potępieńcu, kusić mnie do samobójstwa, gdyż jest to śmierć pożądana nie jako świadectwo oczekiwane przez Chrystusa, ale jako uwolnienie się od egzystencji pełnej cierpienia.

Pewnego dnia podczas odprawiania mszy miałem oczy zamknięte w wewnętrznej modlitwie. Zobaczyłem wtedy śmierć jednego z braci z Olivais. Był to jeden z tych, którzy przychodzili po chleb. Leżał na ziemi, a pozostali zebrani wokół niego odmawiali modlitwę za zmarłych. Coś niewidocznego niczym dym unosiło się z jego ciała i przyjęło kształt ptaka, który wzniósł się w powietrzu w stronę nieba i zniknął. Wiedziałem, że była to jego dusza i przekonałem się, że miałem rację: życie tych braci było doprawdy szybką drogą do szczęścia wiecznego. Ostatecznie wątpliwości rozwiały się, kiedy skierowałem modlitwy w tamtą stronę, aby mieć dokładną jasność. Kiedy tak nalegałem, po kilku dniach ujrzałem ubraną w worek postać, która mnie wzywała. Nie mogłem się mylić. To był Franciszek, dokładnie taki, jak opisali mi go bracia z Olivais.

Była to pierwsza rzecz, jaką opowiedziałem dwóm braciom, którzy przychodzili po chleb, gdy tylko otworzyłem im drzwi. Najpierw okazali zdumienie, które po chwili przerodziło się w szaloną radość. Spytałem, kiedy będą mogli mnie przyjąć? Odpowiedzieli, że ich prowincjał przebywa zazwyczaj w Santiago, ale przyjechał do Portugalii ze względu na przeniesienie relikwii pięciu męczenników. Obiecali, że będą z nim rozmawiać, jak tylko uda się im go spotkać. Prostota była duszą ich reguły. Tak,

mogłem przyjść już następnego dnia; wstąpienie do ich zgromadzenia nie przewidywało żadnych ceremonii. O wiele trudniej będzie wyjść stąd, gdzie teraz się znajdowałem.

Istotnie, przeor nie chciał nawet o tym słyszeć. Dopiero gdy pokazałem mu się w habicie franciszkańskim, poprosił o kilka dni do namysłu. Ja także wykorzystałem je na modlitwę, aby Pan go oświecił. Na koniec zwolnił mnie i moje odejście zostało obwieszczone pozostałym kanonikom. Jednemu z nich nie udało się powstrzymać sarkazmu: życzył mi dobrej podróży, dodając, że tam dokąd szedłem z całą pewnością zostanę świętym. W pierwszym odruchu chciałem udzielić mu ciętej riposty, tak by ostatnie słowo należało do mnie. Ale takie teatralne odejście z Santa Cruz z gniewem nie było oczywiście najlepszym wejściem do Olivais. A zresztą ten współbrat miał trochę racji w tym, że czuł się dotknięty: ponieważ moim wyborem sugerowałem, że wśród augustianów nie można było zostać świętym. A wcale tak nie było; tyle że jakiekolwiek tłumaczenie się z mojej strony sceptyków utwierdziłoby w sceptycyzmie, a życzliwych w życzliwości. Nie, ćwiczenie w miłości bliźniego stało się dla mnie naturalnym odruchem, przyzwyczajeniem nabytym przez umartwianie dzień po dniu naturalnej skłonności do dumy i panowanie nad językiem. Ostre słowa spływały teraz po mnie, wzbudzając tylko litość dla tego, kto je wypowiedział. Widząc, jak daleki był wciąż ten współbrat od uzyskania wewnętrznego spokoju, jakże mogłem czuć się zraniony? Szczerze odpowiedziałem, że gdy ja zostanę świętym, on będzie szczęśliwy, słysząc o tym.

Gdy tylko dotarłem do zakonu Świętego Antoniego z Olivais, bracia przyjęli mnie pocałunkiem pokoju i rzekli, że są szczęśliwi, iż mają w końcu kapłana między sobą i nie będą musieli więcej prosić któregoś z okolicznych księży o łaskę, by przybył do nich odprawić mszę. Nie zawsze udawało im się znaleźć osobę dysponującą czasem, więc sami musieli szukać kościoła. W efekcie zakon był prawie zawsze pusty, bo bracia albo żebrali, albo szukali kapłana lub kościoła. Często na wspólną modlitwę pozostawała im tylko noc, a wówczas trzeba było prosić jeszcze o świece.

Przekazali mi chatę, która od tej pory była moją celą. Kiedy podzieliłem chleb między braci, powiedziałem, że chciałbym przyjąć nowe imię w tej wspólnocie. Wiedziałem, że żaden ze zwolenników Franciszka nigdy tego nie robił. Skrajna prostota ich reguły nie przewidywała niczego podobnego, ale pragnąłem narodzić się ponownie tego dnia, pośród nich. Odpowiedzieli, że owszem, ich reguła nie przewiduje takiego przypadku, ale też nie zabrania. Zapytali więc jak chciałem się odtąd nazywać? Przyznaję, że poczułem się nieswój, ponieważ nie pomyślałem o tym wcześniej. Przez całą drogę myślałem o porzuceniu mojego starego życia, a w żaden sposób nie zastanowiłem się nad nowym. Rozejrzałem się dokoła i wypowiedziałem pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy: Antoni. Tak nazywało się to miejsce i było to imię wielkiego świętego. Jeśli im to pasuje, będę Antonim, Antonim z Lizbony. Najmłodszy z braci bez zbędnych słów przyniósł wodę i pokropił nią moją twarz. *Chrzczę cię Antoni* – wygłosił i wszyscy zaczęliśmy się śmiać w doskonałej radości. Był to od czasu święceń kapłańskich najpiękniejszy dzień w moim życiu, aż do tej chwili.

Tamtej nocy nie mogłem spać. Nie byłem przyzwyczajony do chodzenia boso ani do leżenia na słomianej macie na gołej ziemi. Na górze było zimno, zimniej niż w Santa

Cruz, a oprócz tego nie było ścian z cegły, które ochroniłyby mnie. Stare okrycie, dziurawe i śmierdzące, jedno z tych, jakich używało się dla koni, to było wszystko, co zakon mógł mi zaoferować. Oczywiście, w opactwie nie oszczędzałem się w czuwaniu, postach i dyscyplinie, ale jadło się tam mięso, ryby i ser, piło się wino i piwo. Przeor zmuszał do odpowiedniego odżywiania się tych, którzy według niego usiłowali przesadzać w umartwianiu się, bo nie chciał w opactwie chorych. Słusznie rozumował: niektóre źle pojęte formy poszukiwania doskonałości często kończyły się przysporzeniem ciężaru całej wspólnocie; chory stawał się mniej dyspozycyjnym kapłanem i oznaczał więcej obowiązków dla innych. Lecz tam, w Olivais, rezygnacja ze wszystkiego była obowiązkiem, a jedynym pewnym posiłkiem była woda. W takiej chwili powróciłeś, Przeklęty, który zawsze kręcisz się wokół biednych synów Ewy, aby osaczyć ich w chwili, kiedy są najsłabsi i najmniej pewni siebie. Poczułem twój cuchnący oddech, kiedy do mojego serca wkradł się niepokój. Wezwałem na pomoc Lwa Judy i jego Krzyż. Kiedy do mej duszy powrócił spokój, na dworze już świtało. Był to pierwszy świt brata Antoniego z Olivais.

Bracia świętego Antoniego z Olivais do brata ministra prowincjała Jana w Civita Castellana

Pokój i dobro!

Piszemy do Ciebie ten list, aby poinformować Cię, że nasza wspólnota przyjęła nowego brata, Antoniego z Lizbony. Odszedł on od kanoników w opactwie Santa Cruz w Coimbrze, aby wstąpić między synów Franciszka. Był wielce zdeterminowany, aby zmienić swoje prawdziwe imię, Ferdynand, nawet jeśli ani nasza, ani żadna inna reguła tego nie nakazuje. Uznaliśmy jego prośbę za słuszną i zaakceptowaliśmy ją, o czym Cię informujemy. Wierzymy, że nie uczyniliśmy nic złego, ale jeśli pomyliliśmy się w interpretacji woli naszego wspólnego ojca Franciszka, prosimy, abyś nas poprawił.

Antoni od razu przyzwyczaił się do naszego życia i wręcz wnosi do niego jeszcze więcej radości niż mieliśmy, co wydawało nam się rzeczą niemożliwą, gdyż sądziliśmy, że nasze dni były już wystarczająco przepełnione radością. Jest kapłanem, wyświęconym kanonikiem. Jak wiesz, dotąd nie ma wielu konsekrowanych księży spośród synów naszego wspólnego ojca Franciszka, możesz więc sobie tylko wyobrazić naszą radość z faktu, że otrzymaliśmy jednego. Ale Antoni przedstawił nam swą dokładną ideę: chce jechać do Maroka, naśladując Bernarda, Adiuta i pozostałych, którzy zostali zamordowani. My nie możemy podjąć żadnej inicjatywy związanej z podróżą bez Twojej zgody. Nie musimy Ci opisywać jak bardzo to dla nas przykre, nie tylko z powodu utraty cennego i dopiero co nabytego brata, ale również dlatego, że pozostaniemy bez celebranta i spowiednika, i stałoby się tak, jakby zgaszono radość chwilę potem, gdy się rozpaliła; i, na koniec, dlatego, że Antoni poszedłby na pewną śmierć.

Ale nie chcemy, abyś poświęcał zbyt wiele Twojego czasu na czytanie w tym liście rzeczy zbędnych. Jeśli udzielisz pozwolenia, musiałby odpłynąć przed końcem lata, ponieważ, jak wiadomo, statek nie odpłynie przy złej pogodzie. To oznaczałoby skrócenie jego okresu nowicjatu. Papież Honoriusz, nasz pan, nie zatwierdził jeszcze kanonicznie reguły, którą Franciszek nam nadał, ale wiemy, że zalecał przynajmniej rok próby dla postulantów, chcących wstąpić do naszej wspólnoty. Sądzimy, że można ominąć

tę przeszkodę, mając na uwadze, że Antoni przybył z zakonu. On już wypełnił swój okres nowicjatu w Santa Cruz i przez wiele lat służył według reguły Augustyna, która jest o wiele bardziej złożona niż nasza. Jeśli wyrazisz zgodę, moglibyśmy wprowadzić go do nas ze zwyczajną prostotą.

Prosimy, abyś przekazał Twoją odpowiedź bratu Uguccione, który doręczył Ci niniejszy list.

Pokój i dobro!

Jako towarzysza przydzielono mi Filipa, brata z Kastylii. Uzyskałem również pozwolenie na wejście na pokład. Według zaleceń Franciszka bracia mieli podróżować przynajmniej po dwóch, jak apostołowie, których nasz Pan posłał do różnych miast w Izraelu. Wyjechaliśmy z Lizbony, a moja rodzina zadbała o naszą podróż statkiem. Wszyscy płakali, ale nikt nie próbował odwieść mnie od wyjazdu. Zresztą, już dawno zrozumieli, że nie należałem do nich. Ojciec mnie pobłogosławił i jako ostatni zszedł z pomostu, kiedy statek się oddalał. Obróciłem twarz w stronę dziobu statku i od tej pory patrzyłem już tylko przed siebie.

Brat Filip Kastylijczyk do braci z Sao Antonio z Olivais

Pokój i dobro!

Przekazuję tę kartkę kupcowi z Portugalii, który zgodził się przekazać ją Wam w dogodny dla niego sposób. Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy, ja i Antoni, i jak nazywa się to miasteczko marokańskie, w którym gości nas dobra żona kupca, któremu dałem list. Od wielu dni Antoni ma gorączkę, ludzie mówią, że to od tutejszych komarów, nigdy nie widziałem ich tak dużych i tak wygłodniałych. Zostawiają na ciele wielkie plamy, spuchnięte i zaczerwienione, ja sam mam ich mnóstwo i w nocy nie mogę wypocząć. Powietrze jest tutaj morowe i duszne. Jeśli przykryję się cały, nie mogę wytrzymać z gorąca i duchoty, kiedy się odkryję, nadlatują te nikczemne bestie i gryzą. Ale przynajmniej nie zachorowałem. Antoni, który jest delikatniejszy, wygląda niczym szkielet. Jest żółty na twarzy i cały drży. Nie jest w stanie nawet wstać, aby się napić i muszę we wszystkim mu pomagać. Biedny braciszek, przyjechał tu taki pełen energii, żarliwy. Nawet nie otworzył ust, ten, który chciał przemawiać na placach wśród tłumów. Ja, chociaż nie potrafię przemawiać, podążałem za nim ożywiony radością, że mogę ofiarować swe życie za naszego Pana, ale teraz nie mogę robić nic innego, jak dbać o niego, nie mogę zostawić go nawet na chwilę. Bardzo boję się o jego życie i nie wiem, co dalej robić. Powinniśmy wrócić? Nie śmiem podejmować żadnych działań, zresztą nawet nie wiem co robić, zważywszy na kondycję Antoniego.

Módlcie się za nami.

Filip miał rację. Wola Boża nade wszystko. Tak, aż do tych dni byłem przekonany, że ta wola kierowała mnie do Maroka. Ale zmieniła się. A może nie zmieniła się, tylko tak właśnie miało być: miałem przyjechać do Maroka i przegrać. Jeśli ktoś oddaje się Bogu, On nim potrząsa i uderza, jak robi się ze zbożem, by oddzielić je od plew; prowadzi go przez ogień i wodę, i znowu przez ogień i wodę, by go ukształtować, by uczynić z niego dzieło sztuki, które miał w zamyśle od samego początku. Człowiecze, mówisz, że nie pragniesz niczego innego, jak tylko spełniać wolę Bożą; że jesteś gotowy oddać za Niego życie, ale czy jesteś tak samo gotowy wypełniać ją, tę wolę, i dać je, to życie, *jak*

On tego chce? Jeśli Jego wolą jest, abyś upadł, abyś szedł tam, dokąd On cię posyła i zaprzestał w jednej chwili dzieła, abyś nie doprowadził do końca tego, co na początku zostało ci przykazane, cóż możesz uczynić? Nazwałeś się sługą nieużytecznym, dziwisz się, kiedy odkryjesz, że naprawdę nim jesteś?

To Filip otworzył mi umysł. Chociaż w Olivais robiłem wszystko, co możliwe, aby wprawiać się w pokorze, chociaż za każdym razem używałem prostego języka, by nie obciążać pozostałych moim wykształceniem, chociaż przywykłem do najmniejszych potrzeb, to jednak coś z mojej dumy pozostało i nie zauważyłem, z jaką pobłażliwością traktowałem innych, zwłaszcza Filipa, najprostszego i najpokorniejszego z ludzi. Tyle, że jego pokora była naturalna, pochodziła ze świadomości, że był zwykłym człowiekiem, bez wykształcenia, nisko urodzonym. Moja pokora natomiast była wysiłkiem. Ja nie *byłem* pokorny, ja się tylko *starałem*. Dlatego Filip pojmuje wolę Bożą przede mną. Bóg jest prosty i prości są pierwszymi, którzy Go pojmują. Tak, to ja nie zrozumiałem.

W *delirium* gorączki, kiedy wydawało mi się, że Bóg zatkał swe uszy, zapytałem niczym Chrystus na krzyżu czemu mnie opuścił. I wydarzyła się rzecz najgorsza z możliwych: podporządkowujesz całe swe życie służbie Bogu, przenosisz rzeczy do miejsca, z którego nie ma powrotu i potem, co najpiękniejsze, czujesz się sam. Oczywiście, z drogi Bożej można zejść w dowolnym momencie, można wybrać inną drogę. Mogłem przecież zawrócić: do Santa Cruz, do Olivais, nawet do domu mojego ojca. Albo zrobić po swojemu: pozostać w Afryce, znaleźć tu nowe życie, wstydząc się po przegranej pokazać tym, których zostawiłem. A co z rozczarowaniem, wyrzutami sumienia, powracającymi myślami, zgryzotą, frustracją, poczuciem porażki – kiedy o tym zapomnę?

Czemu Bóg tak postępował? Czemu łudził mnie, potrząsając przed nosem marchewką, jak robi się z osłami, a potem zniknął, bez uprzedzenia, wyjaśnienia, pocałunku na pożegnanie? To moja wina? Gdzie popełniłem błąd? Nie, nie pomyliłem się w niczym i zbytecznym było torturowanie się myślami w poszukiwaniu błędnego kroku. A nawet gdybym pomylił się w czymś, moja wiara była dobra i mocna, wiedziałem to, byłem tego pewien. Bóg wie, z czego jesteśmy stworzeni. Czemu więc nie przybył na ratunek mojej słabości? Gdzie był, gdzie był? Czemu się nie odzywał?

W takich chwilach naszła mnie przerażająca świadomość i zrozumiałem, jak silna może być nienawiść niektórych ludzi wobec Niego. Tych, którzy nie poddają się takiemu życiu, jakie zostało im darowane bez pytania ich o zgodę, które nie układa się zgodnie z ich wolą, lecz zgodnie z wolą Stwórcy. Tych, dla których nie liczy się szczęście wieczne, niejasno obiecane i nigdy dokładnie nie opisane, ponieważ – jak mówi Apostoł – jest ono niewymowne i ponad wszelkie zrozumienie. Tych, którzy nie ufając Bożym obietnicom, bo dla nich są to tylko słowa księży, wybierają przyjemności tego świata, odrzucając szczęście po śmierci. Tych, którzy przygwożdżeni do życia innego niż to, o którym marzyli, wyzywają Boga od Złego Złodzieja i zadusiliby Chrystusa własnymi rękami, gdyby tylko mogli. Ty, Przeklęty, w takich chwilach zwątpienia tańczyłeś wokół mnie i przelewałeś na mnie swoją rozpacz.

Tak więc to pokora Filipa uratowała mnie i pomogła uciec. Filip przypomniał mi o tym, co powinienem zawsze wiedzieć: że w sytuacji skrajnego osłabienia, w której ty,

Morderco, snujesz swoje napawające lękiem wywody, nie mogę zapomnieć o błogosławieństwie pokory. Wolą Boga w tym momencie była właśnie ta próba.

Trzeba zacisnąć zęby i czekać. Jak powiedział święty prorok Hiob: „Bóg dał i Bóg wziął". Człowiek nie posiada niczego na własność, nawet życia. Niech będzie więc błogosławione imię Boga, cokolwiek ustanowi i zarządzi, Amen. Amen. Z głębi wezwałam Pana i oddałem się w Jego ręce.

I spokój wrócił do mnie.

Wielu później pytało mnie, dlaczego tak znaczną część moich kazań stanowiły odniesienia do *Księgi Hioba* i czemu, skoro posiadałem ogromną, często dla nich wręcz niepojętą wiedzę o całym Piśmie, w mych przemówieniach prawie zawsze wracałem do tych fragmentów. To jest właśnie powód.

Teraz, kiedy znajduję się na tym drzewie, pisząc szybko przy świetle dogasającej świecy, od czasu do czasu muszę rozcierać dłonie, aby zapomnieć o bólu, kiedy czasami nachodzi mnie ten najostrzejszy, w nogach. W podobnych sytuacjach nie mogę rozpraszać się myślami, które niemal natychmiast pojawiają się w mojej głowie i zmuszam się, by je odpędzić. Wtedy pojawia się chęć pokuty, która ratuje mnie z tego niebezpieczeństwa i jest zapowiedzią zadośćuczynienia w innym życiu. Wiem, że mam mało czasu i muszę skupić się na ostatecznej walce z tobą, Zły Duchu, który usiłujesz odwrócić moją uwagę od dalszego kontemplowania wzniosłości postępowania Boga wobec mnie. Teraz jest ono dla mnie przejrzyste oraz doskonałe i widzę je w sposób wyraźny, czego ja, biedny głupiec, nie doświadczyłem w czasie tych dni w Afryce. Przepraszam, tysiąckrotnie przepraszam, Panie mój, że wątpiłem nawet przez chwilę w Twoją obecność i w Twoją miłość. Ja, nędzny, niczym bezrozumne zwierzę stałem w Twojej obecności i śmiałem prosić o wyjaśnienie tego, co wydawało mi się Twoją nieobecnością. Gdybym tylko ze spokojem i ufnością poczekał, aż dokonają się dni Twoich wymagań, nie zamartwiałbym się tak bardzo, zadając sobie wciąż nowe kary i nadaremnie męcząc ducha. Ale tu i teraz przepraszam za moją głupotę i nędzę. Zachowałem się jak te dzieci, które ojciec zostawia na chwilę oparte o mur, niepewne na swych małych nóżkach, odchodzi parę kroków dalej i otwiera ramiona, wołając je, by nauczyły się stawiać pierwsze kroki. Dzieci płaczą i rozpaczają, bo to pierwszy raz, kiedy nie są podtrzymywane, nie rozumieją sytuacji i krzyczą. Ale tak musi być, gdyż muszą stać się mocnymi ludźmi. W ten sposób ja, przy całej mej mądrości, postępowałem z Tobą, Ojcze, jak smarkacz i teraz dziękuję Ci, że nie odpowiedziałeś na moje kaprysy.

Ale dopiero na Sycylii zacząłem naprawdę pojmować; dopiero tam zacząłem stawać się mężczyzną w Twoich oczach. Istotnie, czy jakakolwiek, choćby najbardziej gwałtowna burza jest w stanie zawrócić statek płynący na południe i skierować go na wschód? Oczywiście, przewrotna natura powoduje czasami podobne zawirowania, ale to, co mi się wydarzyło było rzeczywiście niesłychane.

Zimą Roku Pańskiego 1221 gorączka mnie opuściła. Nie potrafię powiedzieć, czy za sprawą zimna czy łagodniejszego powietrza. Nie wiem nawet czy to dzięki troskliwej opiece Filipa czy Opatrzności. Wiem tylko, że nielicznym udaje się uciec tej chorobie, która mnie dopadła. Byłem tak osłabiony, że zgodziłem się z moim towarzyszem, że trzeba powrócić. Upokorzenie z powodu powrotu z pustymi rękami, zaakceptowane

i ofiarowane Panu, warte było jednego stopnia na schodach do raju. Wiosną znaleźliśmy uczynnego kapitana, który z czystej litości wziął nas na pokład i pożeglowaliśmy w stronę domu. Mieliśmy opłynąć wybrzeże Iberii i płynąć dalej przez ocean w kierunku Palos. Tymczasem sztorm porwał nas w swój wir i przez wiele dni i nocy byliśmy w jego władaniu. Mogliśmy zatonąć lub zostać wyrzuconymi gdziekolwiek: w Gibraltarze, Granadzie, na Balearach, Sardynii czy wręcz Malcie albo na którejś z wysepek otaczających Sycylię.

Ale nie na południowym wybrzeżu samej Sycylii, o nie. Wylądowaliśmy w okolicach Messyny, niedaleko cieśniny, która oddziela wielką wyspę od lądu. Dlaczego właśnie tam? Bo to Opatrzność prowadziła nawałnicę, jak uczyniła to swego czasu w przypadku apostoła Pawła. To ty, Wyklęty, wiem o tym, wywołujesz burze, ale nawet ty sam nie możesz uczynić nic innego, jak tylko być narzędziem Pana. My, którzy Go kochamy, poddajemy się chętnie Jego woli i otrzymamy za to nagrodę; ty, Nieposłuszny, jesteś także podległy, ale będziesz miał z tego tylko nieskończoną mękę.

W Messynie znaleźliśmy zakon braci Franciszka; tak, właśnie tam.

Vasco Gallego y Roblez, kapitan na morzu, do opata Ricardo di Nuestra Señora de Villaverde

Pozdrawiam Cię.

Przesyłam Ci te sto funtów wosku, abyś zapalał je przed obrazem Maryi, jedną świecę dziennie, aż się skończą. Uczynisz to, abym mógł wypełnić śluby, jakie złożyłem Panience, która uratowała życie moje, moich ludzi, statek, który został mi powierzony i ładunek, który zawierał.

Przyjacielu mój, byliśmy kompanami od dzieciństwa, dopóki nasze drogi się nie rozeszły. Znasz mnie i wiesz, że nie boję się niczego. Zostałem majtkiem w wieku dwunastu lat, a dzisiaj mam już prawie pięćdziesiąt, nie mam rodziny i całe moje życie spędziłem na morzu. Ale czegoś takiego nigdy nie widziałem. Burza nadeszła niespodziewanie o tej porze roku i porwała nas w szaleńczy rejs. Jak otworzysz mapę, zrozumiesz o czym mówię. Wyjechaliśmy z Maroka, a dotarliśmy do Messyny, gdzie dotarliśmy bez zadrapania, dzięki temu samemu wiatrowi, który przegnał nas drogą morską, dla człowieka niepojętą.

Wziąłem na pokład za darmo dwóch braci, którzy podążają za Franciszkiem z Umbrii. Kastylijczyka i Portugalczyka. Ten ostatni był wycieńczony przez jedną z tych afrykańskich chorób, które zazwyczaj kończą się śmiercią. Jestem przekonany, że ręka Boża była nad nimi i że tylko ich obecność na pokładzie sprawiła cud i nas uratowała. Siedzieli skuleni w kącie, kiedy dopadły nas ciemność i wrzask na statku. Statek zdawał się wspinać aż do chmur, a potem spadał w otchłań i znowu szedł w górę, by natychmiast spaść, a mężczyźni trzymali się belki, sini z przerażenia i od wymiotów.

Dotarłem do nich na czworaka i krzyknąłem, aby się modlili, bo jesteśmy straceni. Portugalczyk spojrzał mi w oczy i zapytał, skąd we mnie taki lęk przed śmiercią, we mnie, który noszę na szyi łańcuszek z zawieszonym wizerunkiem Wniebowziętej. Zaskoczony jego spokojem odpowiedziałem, że to normalne bać się śmierci, że wszyscy się boimy. Zapytał, czy statek był mój i powiedziałem, że nie, że zostałem tylko opłacony, aby nim kierować. Zapytał, czy mam rodziców, rodzeństwo, żonę i dzieci, i odpowiedziałem, że jestem sam na świecie. Zapytał, czy jestem bogaty i zdrowy, i odrzekłem mu, że żyję

z pensji, jeśli ją dostanę, że zaczynam się starzeć i że coraz gorzej ze mną. Zapytał mnie wtedy, czemu tak kurczowo trzymam się życia, które jest niepewne i nieustabilizowane. Czego obawiałem się zostawić, ja, który nie miałem praktycznie niczego? Picie wina w knajpach, opłacane kobiety, gry w kości i hulanki? Jeśli jestem chrześcijaninem, czyż nie powinienem mieć nadziei, że szybko uwolnię się od niesatysfakcjonującego życia, aby iść na spotkanie szczęśliwej wieczności? Zrozumiałem do czego zmierzał i powiedziałem mu to. Nie, nie byłem gotowy; w gruncie rzeczy zmarnowałem życie i nigdy nie przejmowałem się tym, aby zasłużyć sobie na raj. Powiedział, że jest księdzem i, jeśli chcę, mogę się wyspowiadać. Zrobiłem to, a po mnie przyszła kolej na wszystkich moich marynarzy. Na koniec, zwracając się do swojego współbrata, wstał i pobłogosławił nas.

Wówczas, nie pamiętam dobrze, czy stało się to dokładnie w tym momencie, czy chwilę później, niebo z czarnego stało się szare i błyskawice ustały, fale powoli uciszyły się i chmury zaczęły się rozchodzić. Tylko wiatr wiał mocno i statek płynął z wyprostowanym dziobem, jakby ktoś prowadził go po sznurku. W pewnym momencie ktoś krzyknął na całe gardło, że widać ląd i wszyscy rzuciliśmy się na dziób. Tak, to był ląd, w końcu, a niebo rozpogodziło się tak szybko, że nigdy wcześniej w moim morskim życiu czegoś takiego nie widziałem. Po raz pierwszy w życiu płakałem i wcale nie powstrzymywałem łez. Zobaczyłem, że inni też płakali. Wśród załogi znajdowali się mężczyźni łamani przez wszelkie doświadczenia, ludzie, którzy na galerach wiosłowali zakuci w łańcuchy i tacy, którzy nie raz spotkali piratów. Płakali wszyscy, na kolanach; niektórzy bili się w piersi, inni walili głową w belki. Jeden rzucił się całować stopy owych dwóch braci i nie było sposobu, aby go odciągnąć.

Portugalczyk przykazał, aby iść podziękować Madonnie, jak tylko dopłyniemy, i mówię Ci, że nawet gdyby kazał wrócić boso i ze sznurem na szyi do naszych ziem, uczynilibyśmy to, choćby miało nas kosztować to miesiące wyrzeczeń. Złóż więc tę świecę przed Naszą Panią i pamiętaj o tym bracie – nazywa się Antoni z Lizbony – gdyż jestem pewien, że jeszcze o nim usłyszysz.

Pozdrawiam Cię.

Bóg chciał doprowadzić mnie do Messyny, gdzie znajdował się zakon współbraci – najwłaściwsze miejsce, abym mógł się zatrzymać i pójść dalej tam, gdzie wiodła mnie Opatrzność. Wiedziałem ponadto, że na Zielone Świątki zapowiedziane było generalne zgromadzenie synów Franciszka z Asyżu. Miałem wystarczająco dużo czasu, aby wrócić do sił i wziąć w nim udział. Zbieg okoliczności przypadkowy czy szczęśliwy? Nie, tak powiedziałyby niedowiarki, które nie chcą uznać działania Boga. Zaprawdę zdarzają się zbiegi okoliczności, ale istnieje również pewność, która porządkuje przypadki, by z nich wyłonić w pełni racjonalny obraz.

Pan miał dla mnie w zanadrzu plan, który dopiero teraz jestem w stanie pojąć w całości. Najpierw jednak musiałem żyć wiarą, ślepą ufnością, tak jak mówi Pismo: sprawiedliwi żyć będą wiarą. Porażka w Afryce była potrzebna, aby ostatni raz potrząsnąć moim biednym pniem, by strącić ostatnie uschnięte liście i aby po przycięciu był on gotowy do zdrowego wzrastania na drodze Boga, aby był smukły i nie obciążony tym, co pozostawało z mojego ograniczonego ludzkiego postrzegania.

W czasie kiedy byłem w Messynie, dbałem tylko o to, aby powrócić do sił,

przewidując długą drogę, jaką miałem podjąć z pozostałymi braćmi. Ruszył się istotnie cały zakon, tak jak wyruszyło pozostałych pięć tysięcy synów Franciszka rozsianych po całej ziemi. Zajęło nam około miesiąca, zanim dotarliśmy na miejsce zgromadzenia – małą równinę zwaną Porcjunkulą, u stóp góry Subasio. Przybyliśmy na krótko przed ostatnim dniem maja, a więc datą rozpoczęcia kapituły. Była piękna pogoda, ciepło – dar Boga, zważywszy, że wszyscy poślubieni Pani Biedzie mieli spać na zwykłych matach. Wielu wybudowało prowizoryczne chaty, pokrywając je co najwyżej liściastymi gałęziami lub wiklinowymi matami, ale większość spała pod gołym niebem, na macie albo bezpośrednio na ziemi.

Wszyscy czekali, aby zobaczyć Franciszka, naszego wspólnego ojca i brata – jak wolał, by go nazywano. Wszyscy mówili o nim, że był za morzem i spotkał samego sułtana. Opowiadano, że surowo zganił krzyżowców za to, że nie zaatakowali Damietty w dniu przez niego wskazanym, za co zapłacili dużymi stratami. Twierdzili, że sułtan był pod wielkim wrażeniem sługi Bożego, który bez uszczerbku przeszedł próbę wiary w jego obecności i że odesłał go, nie czyniąc mu nic złego, mimo iż sam nie chciał wyrzec się swojej fałszywej religii. Przyznaję, że zrobiło to na mnie wrażenie: jakże zatwardziałe muszą być serca i umysły Saracenów, skoro nawet Franciszek nie zdołał ich poruszyć? Franciszek był człowiekiem, którego słowo i przykład dosłownie zmieniały oblicze chrześcijaństwa, tak że nawet koronowane głowy pochylały się przed nim. Nawet osobistość tak potężna jak papież Innocenty, który łamał dumę najpotężniejszych świata, ukląkł, by ucałować jego stopy. Franciszek, o którego czynach podawano sobie wiadomości z ust do ust, niczym legendę, otrzymał od przywódcy niewiernych zgodę na to, by wraz z bratem Illuminatem z Rieti móc pomodlić się przy Świętym Grobie oraz zapewnienie, że wróci stamtąd do Włoch cały i zdrowy.

Wiedziałem, że Biedaczyna założył swoje zgromadzenie właśnie tu, niedaleko, w kościele świętej Maryi Anielskiej i że chciał, aby tutaj zbierali się jego bracia dwa razy w roku: na św. Michała i w Zielone Świątki. Podczas tych kapituł generalnych, jak je nazywano, podejmowano najważniejsze decyzje: ci, którzy wcześniej mieli określone zadania do wykonania, zachowywali je, wybierano przełożonych; ogólnie rzecz ujmując, nasza bardzo szybko powiększająca się wspólnota organizowała się. Tyle że w obecnej sytuacji dla braci z najodleglejszych zakątków było niemożliwe przestrzeganie dwóch terminów w ciągu roku. Rzeczywiście, chociaż ta pierwsza kapituła, w której uczestniczyłem, była – jak mi mówiono – najliczniejszą z dotychczasowych, brakowało całej prowincji iberyjskiej. Poza mną i Filipem.

Widziałem mnóstwo ludzi nadciągających z okolicy, także z miasta Asyż, Spoleto, z Perugii. Wszyscy przynosili jadło na tę – jak ją nazwano – kapitułę „szałasów". Ujęła mnie miłość ludzi, bogatych i biednych, do nas, braci żebraczych. Dostarczano nam chleb, mięso, owoce, nawet ciasto. W niektórych koszach znajdowały się prawdziwe specjały, a zapach tych pokarmów oszałamiał nas wszystkich, którzy przywykliśmy żywić się resztkami i tym, co udało się zdobyć. Ale zobowiązani byliśmy do posłuszeństwa i jedzenia wszystkiego, co przyniesiono, gdyż była to łaska Boga, a także by nie urazić szczodrobliwości tak wielu dobrych ludzi.

Kiedy kapituła dobiegła końca, nie zostaliśmy zwolnieni, ale musieliśmy zostać

jeszcze przez dwa dni, aby spożyć całe to dobrodziejstwo od Boga, które zostało nam przekazane przez ludzi. Jedzcie to, co wam zostanie dane – jak powiedział Zbawiciel do swoich uczniów – bowiem robotnik zasługuje na swoją zapłatę. I kiedy rozmnożył chleb i ryby dla pięciu tysięcy, tylu, ilu nas też było, nakazał zebrać wszystko, co zostało, aby nic się nie zmarnowało dla tych wszystkich, którzy jedzą i piją, nie dziękując Bogu, który chce, byśmy prosili Go każdego dnia o chleb powszedni.

4.

W końcu zobaczyłem go. Był mojego wzrostu, a więc niewielki. Poorane policzki, oczy błyszczące, na wpół przymknięte na skutek choroby, której, jak mówią, nabawił się na Wschodzie. Ja widziałem też coś jeszcze: objawy nieregularnej gorączki czterodniowej, tej samej, która skróciła do minimum mój pobyt w Maroku. Nie otworzył wcale ust, ale obok niego siedział brat Eliasz z Asyżu, jego wikary, który mówił w jego imieniu. Co jakiś czas Franciszek pociągał go za habit i szeptał mu coś na ucho. Tak, był wyraźnie chory, byłem tego pewien. Współbrat co jakiś czas pochylał się nad nim, słuchał wskazówek, by następnie prostując się, ogłosić nam polecenia Franciszka.

Jedną z ostatnich próśb była ta, by bracia spróbowali ponownie udać się na tereny germańskie. Spytałem jednego z braci, co znaczy „spróbowali ponownie". Opowiedział mi historię, która byłaby śmieszna i groteskowa, gdyby nie dramatyczne wydarzenia. Ty, Potępieńcu, maczałeś w tym swój spiczasty ogon i na pewno słychać by było twój piekielny śmiech, gdybyś był w stanie się śmiać; ale ty z definicji jesteś Smutkiem, Lękiem i Przerażeniem i radość jest dla ciebie niemożliwa. Potrafisz tylko wyrządzać szkody i za każdym razem, kiedy Bóg pozwoli ci odnieść sukces, twoje nędzne spustoszenie tylko staje się większe.

I wtedy zrozumiałem: garstka braci pod wodzą Jana z Penny, udała się już wcześniej na tereny niemieckie. Mieli ze sobą jak zwykle tylko entuzjazm. Wszyscy Włosi znali tylko jedno tamtejsze słowo, oznaczające potwierdzenie, które w tamtych stronach oznacza także: „ja". Natrafili na takich, którzy z pewnością nie byli mądrzejsi od nich. Gdy tylko przeczuli, że bracia zamierzali głosić o Bogu, wzięli ich za heretyków katarskich. W rzeczywistości dla ludzi z tamtych stron wszyscy, którzy przybywali z Italii byli Lombardczykami, gdyż z tych terenów przyjeżdżali handlarze i rzemieślnicy. Wiedząc, że chwast herezji wił się wśród tkaczy i sukienników z Lombardii, spytali owych braci, czy nie są przypadkiem katarami. W odpowiedzi usłyszeli: „ja, ja". Nie zadali sobie najmniejszego wysiłku, by wypytać dokładniej, tylko pojmali ich, rozebrali i wychłostali. Następnie zamknęli w więzieniu, potem postawili pod pręgierzem, a na koniec wypędzili kopniakami. Bracia wrócili, o tak, szczęśliwi, że zostali upokorzeni w imię Chrystusa, ale z pustymi rękami. Teraz Franciszek, nauczony doświadczeniem, pytał, czy ktoś czuł się na siłach, aby ponowić próbę. Podniosły się dziesiątki, dziesiątki rąk.

Kiedy znaleźli się chętni, w co nikt nie wątpił, należało przygotować szczegóły wyjazdu, może wybierając mniej naiwnych, może zaopatrując ich w list żelazny wystawiony przez jednego z głównych kardynałów-protektorów. Najbardziej znany znajdował się wśród nich. To on otworzył kapitułę uroczystą mszą, a następnie przewodniczył obradom. Nazywał się Ranieri Capoccio. Otoczony był duchownymi i opatami cieszącymi się wielką sławą. Już wówczas synowie Franciszka stanowili rzeczywistość respektowaną w Kościele, byli bardzo szanowani przez papieża, ale również – wiedziałem o tym – dyskretnie obserwowani, ponieważ w tamtych czasach zwykły zapał kończył się nierzadko po prostu herezją i buntem. Odniesienie do rzekomej czystości pierwszych chrześcijan, do ich prostoty życia, ich entuzjazmu przez wiele lat

było potężną dźwignią, która oddzielona od posłuszeństwa nieuchronnie prowadziła do błędów i masakry.

Tak, masakry, ponieważ nawet mniej religijni książęta nie mogli pozwolić, aby zostały podważone fundamenty porządku chrześcijańskiego, któremu zawdzięczali stabilizację i dobrobyt swojego ludu. Zbyt wielu przez źle pojętego ducha ubóstwa ewangelicznego przestało pracować, karmić swoje dzieci i troszczyć się o dobro wspólne, będące wspólnym dziełem. Zbyt wielu interpretowało na swój własny sposób słowa Pana naszego i oddawało się praktykom samobiczowania lub usiłowało przekonać innych, by przekształcili świat w klasztor o określonych regułach, olbrzymie więzienie, gdzie nawet grzech powszedni miał być zakazany przez prawo. Katarzy, najbardziej zorganizowani i groźni, gloryfikowali nawet śmierć i samobójstwo: *Si pregnans non potes salvari*[8] mówili do swoich kobiet, zniechęcając je do rodzenia dzieci.

Ta niebezpieczna sekta osiedliła się na najbogatszych terenach chrześcijańskich: Langwedocji, Prowansji, Lombardii, gdzie kontrast między wielkim bogactwem jednych i skrajną nędzą drugich był wyraźny. Wystarczył brak żywności, aby miasta wypełniły się zubożałymi chłopami, którzy od razu napotykali na tych szatanów, a ci przygarniali ich, wskazując im dobra biskupów oraz klasztorów i podburzając przeciwko pasterzom, którzy według nich sprzeniewierzali się zasadzie ubóstwa nauczanej przez Chrystusa. Następnie, już omotani i zaślepieni, stopniowo dowiadywali się, że cała doktryna chrześcijańska nie miała nic wspólnego z Ewangelią. Katarzy uważali się za jedynych, którzy znają odpowiedź na pytanie nurtujące każdego człowieka, zwłaszcza chrześcijanina: skoro Bóg jest dobry, dlaczego istnieje zło i niesprawiedliwość? To proste – mówili – zło tkwi w materii, w ciele stworzonym przez innego boga, który jest zły; tak więc przed tym bogiem musimy ustrzec ludzi, nie rodząc ich więcej. Ci, którzy już się narodzili powinni rozluźnić wszelkie więzy, i rodzinne, i te wynikające z posłuszeństwa; niech przestaną uprawiać ziemię, uczestniczyć we mszy, bronić granic, bo i tak wszystko jest bezużyteczne; mało tego, jest szkodliwe, ponieważ uniemożliwia ludzkości powrót do dobrego Boga.

Skutkiem tego zła jest samo stworzenie. Prawda natomiast jest odwrotna: w *Księdze Rodzaju* powtórzone jest sześć razy, że Bóg był zadowolony z tego, co uczynił, widząc, że „było to dobre". Lecz Staremu Przeciwnikowi, temu, który dzieli, udało się wzbudzić nienawiść do życia i materii, która jest mu potrzebna, oddzielić w ludzkich umysłach Stwórcę od dzieła stworzenia, przypisując je sobie.

Jako że doktryna ta jest trudna i nie można jej odsłonić przed wszystkimi od razu, wtajemniczenie odbywa się stopniowo, krok po kroku, od prostych wyznawców do „braci", następnie „wierzących" i wreszcie „doskonałych", jak nazywają między sobą tych, którzy osiągnęli najwyższy stopień w sekcie. Wielu przestaje podejmować jakiekolwiek działania dla dobra wspólnoty, do której należą: odrzucają posłuszeństwo, prawo, a nawet zdrowy rozsądek i moralność. W ten sposób stają się wywrotowcami, nierzadko uciekającymi się do zabijania tych, którzy starają się im przeciwstawić, ponieważ są przekonani, że to, co chrześcijanie nazywają grzechem jest tylko wymysłem księży.

Przeciwko tym, którzy nienawidzą ciała, materii i całego stworzenia, Franciszek

„eksplodował” w hymnie tak wzruszającym wdzięcznością dla Stwórcy, że nie było brata, który nie nauczyłby się go na pamięć. Utwór ten krążył wśród nas jako *Pieśń stworzenia*.

Tam, pośród obecnych prałatów, zobaczyłem duchownego w czarno-białym stroju. Dowiedziałem się, że był to Hiszpan Dominik de Guzman. Był znany. Założył zakon żebraczy, podobny do zakonu Franciszka, ale zwrócony bardziej ku studiowaniu i głoszeniu słowa niż prostocie ewangelicznej.

Znałem historię tego człowieka: towarzyszył pewnemu inkwizytorowi benedyktyńskiemu na terenie Francji i doświadczył wiele ataków ze strony katarów. Założył rodzinę duchową, by przeciwstawić wyrzeczenie wyrzeczeniu, słowo słowu i pokazać oszukanym ludziom prawdziwe oblicze chrześcijaństwa; to, którego niestety większość biskupów nie była już w stanie objaśnić czy zaświadczyć własnym przykładem z powodu zaangażowania w politykę – czy to z własnych pobudek, czy też z powodów wynikających z posłuszeństwa. Żaden z władców nie zaakceptowałby bowiem na swej ziemi biskupa niższego rangą i utrudniałby mu życie. I często zdarzało się, że ludzie pozbawieni zasad i świętości siłą rzeczy stawali się strażnikami wiary owczarni. W publicznych dysputach przeciw katarom, agresywnym i uzbrojonym w swe doktryny, prawie zawsze przedstawiani byli jakby czas heretyków dobiegł końca. Ci wątpliwej kondycji pasterze nierzadko słabo znali się na teologii i jej zawiłościach, stając się łatwym celem ataków dla tych, którzy pokazywali prostemu ludowi ich bogate rezydencje, w których żyli i ich częste biesiady z możnymi.

Dominik, Hiszpan, zrozumiał, że w obliczu takiej herezji potrzeba było czegoś innego, czegoś, czego nie byli w stanie dać biskupi. Widziałem, jak wymienił uścisk z Franciszkiem, zanim zwrócili się do nas z krótkim napomnieniem.

Nasz ojciec i brat zaczął mówić prostymi słowami, cytując jeden z psalmów, ten, który mówi „błogosławiony niech będzie Bóg, Pan mój, który zaprawia ręce moje do walki”[9]. Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu: Bóg powołał tych dwóch mężczyzn, by stawili czoła trudnym czasom, które nadeszły. A ja byłem szczęśliwy, że zostałem powołany, by znaleźć się między nimi.

Kiedy brat Eliasz zapytał, kto z zebranych udałby się do Germanii, nie zgłosiłem się. Oczywiście, nadawałem się jak najbardziej na tę misję, byłem wykształcony, a ponadto byłem kapłanem. Co prawda nie znałem niemieckiego, ale świetnie władałem łaciną. Nawet gdybyśmy z moją grupą zostali zatrzymani przez jakiś patrol wojskowy trzymający straż przy bramach miasta, strażnicy poznaliby po mojej gładkiej mowie i nędznym stroju, że nie byliśmy heretykami, którzy zakorzeniają się zwłaszcza wśród rzemieślników i nauczają w prostym języku. Zaprowadziliby nas do biskupa i wszystko by się wyjaśniło.

Ale nie podniosłem ręki. Doświadczenie z Afryki nauczyło mnie czekać, aż wola Boża objawi mi się w jasny i jednoznaczny sposób. Nauczyło mnie, by nie ingerować w nakazy Boskie. Tak, zanim zostałem franciszkaninem, zanim wyjechałem do Maroka, modliłem się o oświecenie. Ale moje pragnienie było tak silne, że nie potrafiłem odróżnić, czy modliłem się o to, by stała się wola Boga, czy też moja. Modliłem się bardziej, by być wysłuchanym niż by usłyszeć, bardziej o to, by otrzymać to natchnienie, którego pragnąłem, niż by poznać i robić to, co Bóg miał w zamyśle. Poczułem ten podmuch. Bóg

posłużył się nim, by udzielić mi ważnej lekcji. Teraz to zrozumiałem. Teraz, gdyby Bóg chciał mnie posłać do Niemiec, mógłby unieść ziemię, na której siedziałem, by wskazać mnie bratu Eliaszowi bez najmniejszej wątpliwości.

Wśród wybranych braci znaleźli się Cezary ze Spiry, Tomasz z Celano i Giordano z Giano. Pierwszy z nich urodził się w Germanii, pozostali umieli czytać i pisać. Tak oto Bóg posłużył się przezornością Franciszka, wynikającą z jego doświadczenia. Ja nie byłem potrzebny.

Po zakończonej kapitule i przyznaniu poszczególnych stanowisk każdy udał się do swojego przełożonego, który został mu przydzielony, aby z posłuszeństwem poddać się pod jego zwierzchnictwo. Tylko ja nie wiedziałem dokąd iść. Prowincjała iberyjskiego nie było, nic szczególnego nie łączyło mnie też z towarzyszami z Sycylii, z którymi przybyłem. Pozostałem na swoim miejscu, czekając na wolę niebios. Objawiła się ona wkrótce pod postacią brata Gracjana, prowincjała Emilii-Romanii. Podszedł do mnie pewnym krokiem i zapytał, czy jestem kapłanem. Nie wiem, skąd się dowiedział, czy może podszedł w ciemno, niemniej odpowiedziałem, że tak, jestem kapłanem i jestem do jego całkowitej dyspozycji. I stało się tak, że za zgodą brata Eliasza znalazłem się w eremie Montepaolo.

Uściskałem brata Filipa, który został wybrany przez braci ze Sieny. Nigdy więcej już go nie widziałem.

Montepaolo było miejscem na odludziu, niedaleko miasta Forli. Poszedłem tam z innymi sześcioma braćmi i po kilku dniach marszu dotarliśmy do celu. Najpierw szliśmy w pobliżu źródeł, z których bierze początek rzeka docierająca do Rzymu, następnie przeszliśmy Apeniny i zeszliśmy wzdłuż rzeki, która nazywa się Savio.

Przeszedłem długą drogę z mojej Lizbony – pomyślałem. Poddałem się Boskiemu wiatrowi i oddałem swoje życie pod jego rozkazy, udając się w miejsca nieznane. Tak na przykład las, gdzie znajdowała się pustelnia, do której zostałem przydzielony, znajdował się tak daleko od jakiegokolwiek zamieszkałego miejsca, że bez kapłana, który mógłby odprawić mszę, żadna grupa wiernych nie mogłaby tam przebywać. Klasztor wznosił się na samym szczycie, na łysej polanie. Niektóre cele zostały wydrążone w skale. Jedna z nich przypadła mnie. Żyliśmy jak mnisi: wstawaliśmy przed świtem, by odmówić jutrznię, a potem po kolei pozostałe godzinki aż do komplety. Panowała cisza, poza tymi chwilami, kiedy musieliśmy porozumiewać się, by wypełnić różnorodne zadania przydzielone nam na zmianę.

Dobrze, Pan chciał, abym był mnichem, a więc nim zostałem. Wykonywać doskonale to, co się robi tu i teraz, aż do kolejnego polecenia, to jest to, czego Bóg oczekuje od każdego, kogo powołuje, by był mu poddany. Zmierzam do tego, by powiedzieć, iż jest to najlepsza droga i to wystarczy, by zostać świętym. Zbyt wielu ludzi padło twoją ofiarą, o Przeklęty, gdy wzbudzałeś w nich niepokój i pragnienie zmiany miejsca. W obliczu panujących trudności, przy zrzędliwej żonie, trudnym przełożonym, gdy pojawia się problem, od którego nie jesteśmy w stanie się uwolnić, pierwsza myśl, jaka przychodzi nam do głowy zawsze zaczyna się tak samo: „gdybym”. Gdybym nie był tu a tam, gdybym dokonał innego wyboru, gdybym był z inną kobietą, gdybym miał lepszego zwierzchnika. Takie myślenie, jeśli nie pokonamy go modlitwą, może

doprowadzić nas, dzień po dniu, daleko, do zdrady, a nawet do zabójstwa. I to jest ten bodziec, którym ty, Kłamco, zaczynasz wykorzeniać z pamięci, a potem z serca, wezwanie ewangeliczne, by nie martwić się dniem kolejnym, bo dzień dzisiejszy ma dość swoich trosk.

Ja byłem kapłanem, który zdecydował się rozkwitać tam, gdzie Bóg chciał, jak lilie na polu. Teraz zaś najwyraźniej Pan chciał, abym kwitł w zamkniętym ogrodzie; cóż, chciałbym skupić się na tym, zamykając się tam możliwie jak najlepiej. Jeden z moich współbraci uzyskał zgodę, by zamieszkać w grocie, którą odkrył w lesie nieopodal. Powiedział, że miał taką potrzebę, by czynić pokutę za to, jakie życie prowadził wcześniej, zanim przywdział na siebie strój zakonny. Po jakimś czasie zapytałem go, czy jego pragnienie spełniło się. Zrozumiał, co miałem na myśli i chętnie ustąpił mi miejsca. Wyczytałem w jego twarzy, o czym pomyślał: że ja także miałem za sobą burzliwą przeszłość do odpokutowania. Zostawiłem go z tą myślą. Od tego dnia, poza obowiązkami wobec wspólnoty, to był mój dom.

Mało było do jedzenia w Montepaolo, a ja jadłem jeszcze mniej. Spało się niewiele, a ja spałem jeszcze mniej. Było dużo pracy, a ja pracowałem jeszcze więcej. Współbracia przychodzili i przyglądali mi się z troską, ponieważ widzieli, że słabłem i nie zawsze mój uśmiech wystarczał, by ich uspokoić.

Aż do dnia, w którym po biciu dzwonów na wspólną modlitwę na próżno czekali mojego przybycia.

Nigdy nie zdarzyło się, abym się spóźnił, więc niewiele myśląc, pobiegli mnie szukać. Słusznie postąpili, gdyż później opowiadali, że znaleźli mnie zemdlałego na ścieżce. Mało tego, byłem potłuczony i zakrwawiony, z zadrapaniami na całym ciele i powyrywanymi kępkami włosów. Wszystko to z powodu upadku, o którym jednak nie udawało mi się ich przekonać. Ale nie czułem się na siłach opowiedzieć tego, co wydarzyło się naprawdę: że w grocie, kiedy modliłem się klęcząc, nadszedłeś ty, Zły.

To nie był pierwszy raz, kiedy mnie odwiedzałeś, tam w środku. Najpierw tworzyłeś obrazy, czasem przerażające, czasem lubieżne, czasem bardzo realne. Ale te szmery w mojej głowie od dawna nie powodowały niczego zdrożnego, gdyż jakakolwiek iluzja, jakakolwiek myśl w najmniejszym stopniu sprzeczne z prawem Bożym, wywoływały tylko większą pokutę. Przeszedłeś więc z umysłu do ucha oraz oka i zacząłeś wręcz przyjmować kształt Chrystusa Błogosławionego. Cudownie było doświadczyć, jak wzbudzasz we mnie czujność. Przepędziłem cię znakiem krzyża. Najświętsza Panienka usłyszawszy głos Gabriela najpierw zaniepokoiła się. Później jednak rajskie wizje zalewają strach i pozostawiają słodki spokój. Ty postępujesz inaczej. Przy tobie radość szybko ustępuje goryczy.

Po nieudanej próbie z kuszeniem i urojeniami spróbowałeś posiąść mnie, atakując fizycznie. Ubranie podarło się na mnie samo, moja skóra rozrywała się, kamienie i gałęzie latały we wszystkich kierunkach i odbijały się od ścian jaskini, bijąc mnie. Niewidoczna dłoń złapała mnie za szyję i rzuciła na ziemię. Nagle znalazłem się w powietrzu. Zostałem wzniesiony tak wysoko, że uderzyłem w sklepienie, a potem gwałtownie rzucony o ziemię. Nie wiem, jak długo trwała ta udręka, wiem tylko, że zorientowałem się, że wykrzykuję moje imię, imię świętego z pustyni, który pokonał cię wiele razy. Usłyszałem

wtedy przeraźliwy krzyk wydobywający się jakby z wielu zrozpaczonych gardeł. I natychmiast wszystko zgasło, ustępując miejsca dźwiękowi dzwonu klasztornego, który w ciszy wzywał na modlitwę. Resztką sił wyczołgałem się na zewnątrz, by odpowiedzieć na to wezwanie.

I przebudziłem się wśród przerażonych twarzy moich braci. Byłem nagi i całkowicie wysmarowany łajnem. Podnieśli mnie, opatrzyli rany i zszyli habit. Powiedzieli, że znaleźli mnie leżącego w nawozie i że przestraszyli się nie tylko z powodu mojego stanu, ale również dlatego, że usłyszeli nad swoimi głowami jakiś piskliwy śmiech, który ich zmroził. Unieśli głowy i ujrzeli, wysoko na niebie, chmurę, która nagle przybrała kształt obsceniczny, niczym para kochanków w wyuzdanym uścisku, a potem rozpłynęła się.

Ale tego dnia zrozumiałem, że lepiej oszczędzać siły, by poświęcić je na służbę braciom. Trwając nadal na ćwiczeniach pokutnych wcześniej czy później stałbym się nieprzydatny komukolwiek, a być może stałbym się ciężarem dla i tak biednej już wspólnoty. Dlatego poprosiłem o zgodę, bym mógł zostać pomywaczem.

Brat Gracjan, minister Romanii, do brata Eliasza

Pokój i dobro!

Piszę do Ciebie, aby poinformować Cię o wielkim szczęściu, jakie Pan zechciał podarować naszej prowincji i o niezwykłych wydarzeniach, przez które ono się objawiło. Lecz pozwól, że zacznę od początku.

Jak wiesz, w naszym klasztorze w Forli kilku naszych braci przygotowywało się do stanu kapłaństwa, gdyż nasze zgromadzenie nie obfituje w kleryków. Po skończeniu odpowiedniego kursu ustaliłem z biskupem Ricciardello Belmontim dzień przystąpienia do święceń. Biskup poprosił mnie, abym nieco poczekał, jako że kilku synów Dominika de Guzman kończyło właśnie przygotowania w tym samym celu i byłoby wygodniej wyświęcić wszystkich razem. Zdecydowaliśmy tak i w wyznaczonym dniu wszyscy nasi, również ci z Montepaolo, zostali zwołani na ceremonię w katedrze. Ale w czasie homilii zaszło nieporozumienie. Byłem pewien, że jeden z braci Dominika dostąpi zaszczytu wygłoszenia słowa, zostałem o tym zapewniony. Oni natomiast byli przekonani, że to jeden z nas miał przemówić. Podsumowując w skrócie: nikt się nie przygotował i nikt, ani od nas, ani od nich, nie śmiał otworzyć ust. Istotnie, zgromadzeni byli tam wszyscy: władze, wysocy urzędnicy, biskup i cała kapituła. Nie znalazł się nikt, kto odważyłby się improwizować, szczególnie w obecności słuchaczy należących do innej rodziny duchownej. Mało tego, bracia od Dominika nie ruszali się, czekając, że wypadnie na któregoś z moich księży.

Poddałem się i zwróciłem do Antoniego, jednego z braci z Montepaolo. Był jedynym kapłanem wśród nas i kilka razy, tak by się nie zorientował, że go słucham, słyszałem, jak mówił do siebie po łacinie. Wysłałem go pod przymusem posłuszeństwa: było już późno, ludzie zaczęli się niepokoić, obawiałem się, że stracę cierpliwość i zabraknie mi miłosierdzia dla ludzi Dominika. Dobrze więc, w tym momencie wydarzyło się coś, co napełniło nas zdumieniem. Któż by przypuszczał, że wśród braci mniejszych znajduje się tak wspaniały mówca? Nic o nim nie wiedziałem, oprócz tego, że był Portugalczykiem i że ja sam przyprowadziłem go do Montepaolo zaledwie trzy miesiące

temu. Jego kazanie zaparło dech w piersiach wszystkich zebranych. Rzecz niezwykła, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem ani nie słyszałem. Wiesz, że synowie Dominika uczą się głosić kazania, zgłębiają wszystkie sztuki przemawiania: retorykę, logikę, dialektykę i apologetykę. Ale nic z tego nie pojawiło się w słowach Antoniego, który oczarował katedrę odwołując się do Pism i życia świętych.

Zaczął od fragmentu pisma Apostoła, w którym mowa o tym, że Chrystus stał się posłuszny aż do śmierci – właściwy wybór dla braci mających złożyć śluby. Cytował z pamięci całe fragmenty z pism i przekładał je na konkretne przykłady, podobieństwa, konstruując prawie kręgi koncentryczne, które stopniowo powiększają się. Kiedy mówił o roślinach, gwiazdach i zwierzętach, opisywał je szczegółowo, z ich zaletami i cechami, następnie przechodził do odpowiedniego środowiska, stamtąd do całego stworzenia i na koniec do znaczenia moralnego, które z tego wynikało. To prawda, cztery etapy lektury sakralnej: dosłowny, alegoryczny, moralny i anagogiczny nie są nowością, ale nikt nigdy nie zastosował ich tak trafnie i bez uprzedniego przygotowania jak on to uczynił. Wybacz, że pozwalam sobie na takie słowa, ale to urodzony mówca, obdarzony ponadto pierwszorzędnym przygotowaniem teologicznym. Mówił w sposób przystępny dla każdego, a wśród słuchaczy znajdowały się osoby z każdego stanu i klasy. Wszyscy byli zachwyceni i długa, oszałamiająca cisza nastąpiła po końcowym Amen. *Mieliśmy światło pod korcem i nie wiedzieliśmy o tym, dopóki Bóg nie zechciał zdjąć przykrywki.*

Być może jestem zbyt zuchwały w tym stwierdzeniu i oczywiście słusznym jest, by poczekać na odpowiedź Twoją i Franciszka; ale pozwól mi powiedzieć, że w końcu nasza wspólnota ma mówcę, wielkiego mówcę. Tak, powinieneś był go usłyszeć: wyobraź sobie, że widzisz Franciszka doskonale wykształconego i zdolnego do przemawiania; takim jest Antoni z Lizbony. Jego sposób przemawiania wyraża dokładnie ducha naszej reguły, jeśli tak mogę powiedzieć. Także dlatego, że nie mam wątpliwości, iż to właśnie nasza reguła, krótko mówiąc, stanie się tą prawdziwą i właściwą.

Zapomniałem: przeor dominikanów do tej pory sądzi, że chciałem sobie zadrwić z niego.

Brat Eliasz, usta Franciszka, do brata Antoniego w Montepaolo

Pokój i dobro!

Nasz brat Franciszek dowiedział się, że umiesz przemawiać i że znasz pisma przez ich studiowanie. Dobrze, za radą i propozycją Twojego ministra prowincjalnego, nakazuje Ci, byś pozostawił wszelkie inne powinności i odtąd oddał się głoszeniu słowa Bożego. Pamiętaj jednak, aby nie zaniedbywać modlitwy i by nie stracić pokory.

Przyjmij nasze pozdrowienia.

Brat Gracjan, który przyszedł do mnie z listem, powiedział mi, że w liście skierowanym do niego były przytoczone słowa Franciszka. Nasz ojciec i brat wyraził zadowolenie, że nareszcie również wśród jego braci będzie biskup. Dowiedziałem się od moich współbraci, że Franciszek zawsze wyrażał się w taki sposób, z żartobliwym humorem i oczywiście prostotą.

Chodziło mu o kaznodzieję, ponieważ tylko biskupi, jak wiadomo, mają prawo do głoszenia kazań; tylko oni oraz ci, którzy oficjalnie zostali przez nich powołani. W świecie aż nazbyt pełnym analfabetów ten, kto przemawia bez studiowania lub bez

zgody nawet, gdy jego doktryna została uznana za nieskazitelną, jest zdecydowanie heretykiem. Bo w rzeczywistości tylko nieposłuszni heretycy pozwalają sobie na publiczne rozgłaszanie tego, czego nie znają lub znają częściowo, z błędami i w zniekształceniu. Lepiej nie wiedzieć nic o Chrystusie niż widzieć Jego obraz przedstawiany fałszywie. On powiedział, że przyszedł, by rzucić ogień na ziemię, ale ogień źle rozpalony przynosi tylko katastrofę. Poganin, bałwochwalca, niewierny nie mogą zaprzepaścić dusz chrześcijan, a heretyk – tak. Istotnie, wyraźne kłamstwo można łatwo rozpoznać. Szatan Oszczerca tak nie postępuje. On jako Kłamca i Morderca miesza prawdę i kłamstwo, aby zatracić i duszę, i ciało. Zbawicielowi i Mistrzowi wystarczyło tylko kilka słów, aby obalić saduceuszy, których nauka jest po prostu śmieszna; nie wierzyli nawet w życie wieczne, daremne było więc marnowanie jakichkolwiek argumentów dla nich. Ale Pan skierował cały swój gniew właśnie na faryzeuszy, ponieważ ich szkoła była najbliżej prawdy. Tak blisko, że łatwo było oszukać dobrych i zrobić z nich dzieci Gehenny jako swoje. Herezja stanowi więc największe zagrożenie dla duszy i także dla ciała, gdyż myśl i język ranią bardziej niż miecz. Nigdy nie było herezji, która nie przekształciła się w zaburzenie naturalnego porządku ustalonego przez Boga. Katarzy, na przykład, gdyby nie zostali w porę zatrzymani doprowadziliby do wyginięcia gatunku ludzkiego. W Montepaolo nie wiedziałem jeszcze, że właśnie ich niebezpieczna działalność miała na długi czas stać się główną troską mojego życia.

Zacząłem dostrzegać Boży zamysł wobec mnie i dziękować za błąd afrykański, który nauczył mnie być uległym narzędziem w Jego rękach. Zrozumiałem, że moim powołaniem nie było takie męczeństwo, ale inny jego rodzaj – stanie się młotem na heretyków. Niech błogosławione będą pokora, posłuszeństwo i reguła, która je narzuca. Nikt lepiej od Boga nie zna talentów, bo przecież On sam obdarza nimi człowieka. Nikt też lepiej od Niego nie wie, kiedy nadejdzie odpowiedni moment i miejsce, aby talenty mogły się ujawnić. Człowiek powinien zatroszczyć się jedynie o to, aby być gotowym w każdej chwili, a to przychodzi przez ćwiczenie cnót; cnoty zdobywa się zaś przez praktykę, umartwianie i modlitwę. Tylko o to został poproszony człowiek. Resztę czyni Bóg. Spójrzcie na przykład mój, Franciszka oraz na cuda, które zdarzyły się, bo Biedaczyna pozwolił Niebu działać przez swoje pośrednictwo.

Błagam Cię, Panie Jezu, urzeknij mnie miłością do Ciebie i bliźniego, abym mógł kochać Cię całym moim sercem i całą duszą, całą moją mocą i całym umysłem; mocno, abym nie odszedł od Ciebie; mądrze, abym nie dał się oszukać; delikatnie, abym nie dał się zwabić i omamić przez inne miłości. Ty, który powiedziałeś: „będziesz miłował Pana Boga swego", powiedziałeś „swego", bo wiesz, że bardziej kochamy to, co nasze niż innych. Spraw wiec, abym kochał moich braci, jak siebie samego, z Twoją pomocą. Ty, który jesteś błogosławiony na wieki wieków. Amen.

Teraz, kiedy zostałem generalnym kaznodzieją zakonu, zobowiązanym, by iść głosić gdziekolwiek mnie poproszą, moje życie codzienne musiało się zmienić. Nie mogłem już więcej pozwolić sobie na zamiatanie, zmywanie talerzy, dzwonienie w dzwony. Cały mój czas musiałem poświęcić nowemu zadaniu, bym mógł je wypełnić perfekcyjnie. Musiałem się przygotować, minęło bowiem zbyt dużo czasu, od kiedy po raz ostatni otworzyłem książkę. Zacząłem pisać i zbierać notatki, które zawsze nosiłem

przy sobie. Miałem często przemieszczać się, by przemawiać w kościołach, pałacach, na otwartych przestrzeniach, za każdym razem przed innym audytorium i dla różnych stanów. Czasami były to osoby religijne, innym razem laicy, a jeszcze innym – prałaci. Coraz częściej udzielałem też prawdziwych lekcji nowicjuszom.

Nie potrzebowałem dużo czasu, aby zorientować się, że jeden kaznodzieja nie wystarcza; wspólnota franciszkańska przeobrażała się w wielki zakon, który rozprzestrzeniał się wśród narodów i zbyt często sam zapał nie wystarczał, by sprostać nowym wymaganiom. Dominikanie nie mogli sami nieść ciężaru studiów i sporów; a jak wynikało z doświadczenia jedynym lekarstwem na nieokiełznanych katarów był przykład braci żebrzących. Przykład, ale również słowo. Franciszek wcześniej czy później będzie musiał pogodzić się z tym, że trzeba studiować, będą musieli zrobić to przynajmniej niektórzy z jego synów, ale stanie się to wtedy, kiedy Bóg zechce.

Gdybym był trochę bardziej pyszny być może mógłbym przetrzeć sobie szlaki w zakonie, bo nie brakowało mi zdolności narzucania swojej wizji ani pewności, gdy miałem rację, zwłaszcza, że naprawdę ją miałem. Może powinienem był pozbawić Franciszka jego pozycji i zająć jego miejsce. Ale to również byłby diabelski zamysł, taki, który doprowadził do ruiny niejeden zakon – byłem świadkiem takiej sytuacji w Sao Vicente de Fora. Nie, nawet o tym nie myślałem. Wola Boża, kiedy i jak On będzie chciał, zawsze była u mnie na pierwszym miejscu, nawet przed dobrem zakonu, a przede wszystkim na pierwszym miejscu przed moim własnym zdaniem.

Do brata Antoniego, mojego biskupa, brat Franciszek
Pozdrawiam Cię.

Uważam to za dobre, iż nauczasz teologii naszych braci, o ile studia nie zgaszą w nich ducha świętej modlitwy i pobożności, jak zapisane zostało w Regule.

Bądź zdrów.

Czytałem ten list raz, drugi, dziesiąty. Był suchy i surowy, niemal gniewny. Często opisywano mi charakter Biedaczyny jako radosny i czuły, choć nie pozbawiony stanowczości i autorytetu, gdy było to potrzebne. Franciszek służył dawniej w wojsku i krążyły o nim różne legendy. Szczególnie wśród jego braci, którzy mieli do nich zrozumiały szacunek. Z opowieści wyłaniała się osobowość czasami delikatna, innym razem porywcza, czasem wręcz surowa. Pewnego dnia spotkałem brata Jana z Florencji. Był to mężczyzna potężny o rękach stwardniałych niczym skała. Powiedział mi w zaufaniu, że Franciszek powierzył mu jedno zadanie: spoliczkować braci, którzy rozsiewają oszczerstwa. Istotnie, Franciszek nie znosił oszczerstw za plecami współbraci czy zwierzchników. Przyznałem mu całkowitą rację. Wiedziałem dobrze, jak wielkie szkody może wyrządzić ten chwast, gdy wyrośnie w klasztorze. Ale brat Jan wyznał mi swoje zakłopotanie. Zanim przywdział habit zarabiał na życie jako bokser na zawodach. Jego cios mógł zabić człowieka. Franciszek dobrze wiedział o tym, jednak jego awersja do rozgłaszających plotki musiała być zdecydowanie dużo silniejsza niż lęk o życie braci. Z drugiej strony wystarczyło tylko, aby Jan wziął winnego za kaptur albo uniósł go nad ziemią, trzymając za sznur i strach robił swoje.

W tym liście widać było wyraźnie, jak niechętnie Franciszek przyjmował nową sytuację. Ale widać było również, że pomimo zwięzłości chciał wyjaśnić mi

jednoznacznie swoją myśl. Przywołanie Reguły mówiło wszystko: było w niej zapisane, że „Pan mówił prostymi słowami na ziemi”. Franciszek w tych kilku linijkach wyraził mi cały swój szacunek. „Mój biskupie”... To wielki zaszczyt i byłem tym głęboko poruszony. Udało mu się w kilku zdaniach powiedzieć mi to, co było naprawdę ważne dla niego, że mimo obaw pokładał we mnie całkowitą ufność. Zrozumiałem to i on wiedział, że ja zrozumiem.

[8] Rodząc, nie możesz się zbawić [przyp. tłum.].

[9] Zob. Ps 144,1 [przyp. tłum.].

5.

Rupert baliw do Mikołaja, stolnika z Rimini
Pozdrowienia!

Jako, że zwróciłeś się do mnie z prośbą, bym opisał Ci niezwykłe wydarzenia, jakie miały miejsce w mieście, niniejszym to czynię. Wyrażam zgodę na pokazanie tej karty własnoręcznie przeze mnie podpisanej Twoim zwierzchnikom, jako świadectwo tego, co widzieliśmy na własne oczy. Zbyt nieprawdopodobne jest to, co się wydarzyło, lecz ja, który złożyłem zobowiązanie odpowiedzialności za porządek publiczny, nie mogę nie przekazać prawdy. Wszystko zresztą miało miejsce wobec wszystkich mieszkańców i setki osób są gotowe powtórzyć to z ręką na świętej Biblii, kiedykolwiek zostaną o to poproszeni.

Zacznę od początku, byś dobrze zrozumiał. Od dłuższego czasu to miasto pełne jest heretyków, patarów czy katarów, jak nazywa się ich w innych stronach. Tak naprawdę nie jest ich wielu, ale nauczyli się tworzyć tak szeroką sieć powiązań i zyskali sympatię tak powszechną, że udało im się zbudować potężną i groźną frakcję. Nikt już, nawet księża, nie są w stanie podnieść głosu przeciwko nim. Niektórzy, próbując coś zrobić, źle skończyli lub zostali odizolowani. Wielu wolało odejść, wielu przybyło, by donieść o zagrożeniach i zastraszaniu; jednemu spalono warsztat, ktoś inny został zraniony nożem przez nieznanych sprawców. Lecz bez dowodów i nade wszystko bez świadków nic nie mogłem uczynić. Podsumowując, kto potrafi, milczy; ja, by zachować twarz, nakazałem wszcząć kilkakrotnie poszukiwania, które, co łatwo przewidzieć, do niczego nie doprowadziły. W rezultacie kościoły są niemal puste, procesje niemal zniknęły. I nierzadko przychodzi do mnie ksiądz, opowiadając o zdarzeniach godnych potępienia, do jakich dochodzi podczas mszy: o uroczystościach przerywanych niewybrednymi kpinami, grupkach młodzieży, która wrzaskiem wypędza ludzi z kościoła, a nawet bywa, że ktoś podchodzi do kapłana po stopniach ołtarza. Kiedy interweniuję z moimi ludźmi, nikogo już nie ma i nikt niczego nie widział. Jak wiesz, nie interesują mnie zupełnie waśnie religijne, każdy chwali Boga, jak mu się podoba. Ale sytuacja jest taką, jaką ją opisuję: to miasto, z miłości czy ze strachu przed użytą siłą staje się heretyckie; potrzeba kogoś właściwego, jeśli nie chcemy, aby takim się stało.

Franciszkanie czy bracia mniejsi, jak wolą być nazywani, pomyśleli, aby wysłać do miasta tego ich wspaniałego mówcę, Antoniego Portugalczyka, jak się nazywa. Istotnie, ja sam go słyszałem, jest zaiste dobry. Zaczął przychodzić coraz częściej i muszę przyznać, że kiedy rozchodzi się wieść, że on będzie przemawiał, kościoły wypełniają się jak dawniej. Ściślej mówiąc, wypełniają się tylko te, w których przemawia i tylko na czas, kiedy tam się zatrzymuje, potem wszystko wygląda jak dawniej. Również patarowie przychodzą go słuchać i powiedziano mi, że ci nieliczni, którzy próbowali prowadzić z nim dysputy, odchodzili zdruzgotani. To jest ktoś, kto studiował i ma dużą zdolność odpierania argumentów.

Biorąc pod uwagę jego wpływ na ludzi, pomyślałem, że należałoby go ostrzec i wziąwszy go na bok, radziłem, by uważał, gdyż jego przeciwnicy mogą również uciec się do metod nazwijmy to bardziej przekonujących. A on na dodatek jest raczej niski i wątłej

postury. Przekazuję w liście to, co mi odpowiedział, gdyż, przyznaję, uderzyło mnie to: „Ten, kto głosi prawdę, daje dobre świadectwo Chrystusowi, podczas gdy przeczy mu ten, kto milczy. Jako że prawda zwykła przyciągać nienawiść, niektórzy, by nie popaść w tę niewłaściwą nienawiść drugich, zamykają swe usta". I ze smutnym uśmiechem zostawił mnie. Najpierw wzruszyłem ramionami, ale jego słowa wróciły do mnie i dlatego pamiętałem je dokładnie, kiedy w następny poniedziałek przekazano mi, dokąd zmierzał właśnie owego dnia. Kilku heretyków, dobrze mi znanych, przygotowało ucztę na jego cześć, aby wspólnie z nim podyskutować – po bratersku jak zapewniali – o religii. I on przystał na to. Tak, była to pułapka i on, nie wiem skąd, ale wiedział o tym. Nikt mnie nie przekona, że inne było znaczenie dziwnego uśmieszku, z którym odszedł. Podano mu zatrute danie i franciszkanin je zjadł. Ostatni kęs rzucił kotu i zwierzę padło nieżywe po kilku chwilach. Wszyscy patrzyli oszołomieni na zakonnika, który zdawał się wcale nie odczuwać skutków otrucia. Mało tego, wstał i zganił ich, mówiąc, by nie mieli nadziei na zbawienie swych dusz. Ten człowiek musi być albo świętym, albo czarodziejem, gdyż wyszedł stamtąd na własnych nogach. Poza tym po kilku dniach za jego przyczyną stało się coś jeszcze bardziej cudownego.

Miał przemawiać na naszym głównym placu, ale o ustalonej godzinie nie było jeszcze nikogo. Patarowie, nie mogąc go wyeliminować, obmyślili inny sposób i rozpuścili wieści, że jeśli ktoś pójdzie słuchać Portugalczyka, uczyni to na własne ryzyko. Fakt, że brat zastał plac pusty, potwierdza jedną rzecz, która nie jest Ci nieznaną: wielką siłę, jaką zyskała frakcja heretyków w Rimini. I teraz zmierzam do tego, co się wydarzyło i co napełni Cię zdziwieniem. Musiałem pobiec z całą moją strażą, gdyż wielu przybyło z prośbą o pomoc; tylko, że byli tak podekscytowani, że trudno było zrozumieć czy wybuchły jakieś zamieszki, czy chodziło o coś poważniejszego. Przebiegliśmy przez całkowicie opustoszałe miasto, z bramami otwartymi i sklepami pozostawionymi bez opieki. Znaleźliśmy ich, ludzi z Rimini, na brzegu morza. Wszyscy z uwagą patrzyli na wodę. Utorowaliśmy sobie drogę, przepychając zebranych łokciami, a gdy w końcu dotarliśmy na plażę, akurat blisko ujścia rzeki, ukazał nam się niezwykły widok. Morze, jak okiem sięgnąć aż po horyzont, pokryte było rybami, rybami każdego rodzaju i wielkości, zgromadzonymi od najmniejszych z przodu po większe z tyłu, tak, aby każda z nich mogła dobrze widzieć, z głowami ponad wodą, wszystkie z zamkniętymi pyszczkami i wszystkie zwrócone w tym samym kierunku, w stronę brata, który stojąc, przemawiał do nich.

Kiedy dotarłem na miejsce, właśnie kończył, ale z tego, co zdołałem usłyszeć, porównywał ich z heretykami, których określił jako gorszych od okrutnych zwierząt. Prawdę mówiąc, obelgi i zniewagi wypowiedziane pod adresem heretyków były tak dosadne, że w innej sytuacji zasługiwałyby na solidny strzał z kuszy w plecy. Ale z całą pewnością nie tam. Wszyscy mieszkańcy Rimini byli obecni, byli tam nawet wrogowie zakonnika, których znałem co do jednego. Wszyscy, powtarzam wszyscy, płakali, jedni na klęczkach, inni bijąc się w piersi. Nawet heretycy – teraz ja też muszę ich tak nazwać. Kiedy Portugalczyk zamilkł i uniósł ręce, by pobłogosławić ryby, nastała oszałamiająca cisza. I wtedy usłyszeliśmy plusk wody i krople unoszące się do nieba, bo ryby zaczęły skakać, uderzać ogonami, wić się, jakby były szczęśliwe, jakby chciały go pozdrowić.

Potem wszystkie zgodnie zanurzyły się i zniknęły. Antoni odwrócił się powoli w stronę zebranych, a oni rozsunęli się na dwie strony, pozwalając mu przejść. Wszyscy wstrzymali oddech.

Oczywiście, dla heretyków był to solidny policzek. Ty też dobrze wiesz, jakim szacunkiem ich religia darzy ryby, jedyne zwierzęta, które nie rodzą się w wyniku aktu płciowego, a więc są jednym z nielicznych czystych pokarmów. Według mnie ryby także tworzą pary, nawet jeśli nikt tego nie widział, ale dla heretyków jest inaczej. Dobrze, ale wracając do ryb, Antoni podważył ich prawdy. Te istoty, błogosławione wśród pozostałych, gdyż Potop nie zrobił i nie mógł zrobić im krzywdy, pokazały po której są stronie: po stronie Antoniego.

Na tym kończę. Dodam tylko, że od tego dnia można mówić, że Rimini nie jest już więcej miastem heretyków. Bądź mi zdrów.

Rupert do Mikołaja

Witaj!

Wiem, jak bardzo interesuje Cię ten brat z Portugalii i jak bardzo ciekawią Cię cuda, które zdają się mu towarzyszyć. Tak więc posłuchaj, co wydarzyło się podczas Twojej nieobecności. Z całą pewnością pamiętasz Bononillo, tego, który jako jeden z pierwszych został heretykiem i jako jeden z nielicznych, którzy takimi pozostali wbrew wszystkiemu, nawet po wydarzeniu z rybami. Ponadto wydaje się, że zajmował wysoką pozycję w sekcie; jest chyba tym, którego mianują „doskonałym".

Dobrze więc, czy wiesz, że kiedyś przerwał kazanie Portugalczykowi i wdał się z nim w dyskusję przed Eucharystią? Jak wiesz, na kazaniach Antoniego zawsze zbierają się tłumy i Bononillo gotował się ze złości, nie mogąc znieść, że był niemal jedynym, z kilkoma innymi nieugiętymi, wyznającym prawdy heretyków. Kwestii Ciała Chrystusowego, które staje się chlebem, zupełnie nie mógł przełknąć. Według niego hostia powinna mieć rozmiar przynajmniej dwóch metrów długości, aby pomieścić człowieka. Wydaje się, że doktryny heretyków nie dopuszczają rzeczy materialnych i w efekcie sakramenty są tylko chlebem, winem, oliwą, wodą. To, że nawet Słowo Boże łączy się z chlebem, wodą i winem jest dla heretyków niedopuszczalne. Mówią nawet, że Chrystus miał ciało jedynie pozornie, z powietrza.

Antoni odpowiadał im, że moc Boga nie ma granic i rozumieją to nawet zwierzęta. Tę ostatnią rzecz powiedział, by przypomnieć im wydarzenie z rybami, lecz Bononillo złapał go za słówko i założył się, by udowodnić to na jego mulicy. Od tego dnia za trzy dni stawi się w tym samym miejscu przed wszystkimi zebranymi ze swoim zwierzęciem, które przez trzy dni nie będzie nic jadło; później okaże się, co wybierze: wiadro z paszą czy hostię. Mnich, najpierw patrzył mu długo w oczy, po czym przyjął zakład.

Po trzech dniach o ustalonej porze zebraliśmy się wszyscy, żeby zobaczyć, co się wydarzy. Przybył Bononillo ze swoją mulicą, a burczenie z jej brzucha dało się słyszeć z daleka. Jedną ręką trzymał lejce, w drugiej dzierżył worek pełen owsa. Biedne zwierzę za każdym krokiem wyciągało pysk w stronę worka, ale dostawało tylko kopniaki i kuksańce. Zatrzymali się przed kościołem, a wszyscy ustąpili im miejsca. Mężczyzna stanął w rozkroku i zaczął grubym głosem przywoływać zakonnika, wyśmiewając się z niego i jego hostii. W międzyczasie nieszczęśliwy muł zaczął ryczeć z głodu, aż serce się

ściskało. Ale zamilkł, jak wszyscy, kiedy Antoni wyszedł z kościoła. Kapłan ubrany był w szaty liturgiczne i trzymał uniesioną w górę monstrancję. Stanął przed drzwiami ze wzrokiem utkwionym w hostię. Wszyscy zwróciliśmy się w kierunki Bononillo: teraz jego kolej. Ten, wcale niezawstydzony, cofnął się kilka kroków i położył na ziemi paszę, następnie przyprowadził mulicę dokładnie w połowie odległości między jedzeniem a mnichem i puścił wodze, po czym odskoczył żwawo na bok, niemal przerażony, przewidując, że zostanie stratowany przez wygłodniałe zwierzę.

Lecz tak się nie stało. Mulica przez dłuższą chwilę stała nieruchomo i spokojnie, potem odwróciła szyję w stronę worka z owsem. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Nie, zwierzę popatrzyło w drugą stronę, w kierunku mnicha, i zbliżyło się posłusznie do niego. Po kilku krokach ugięło przednie nogi i pozostało w takiej pozycji, klęcząc ze spuszczonymi uszami przed monstrancją. Wszyscy stali z otwartymi ustami, nikt nie śmiał odetchnąć. W pewnej chwili usłyszeliśmy szloch i tupot. To Bononillo, płacząc jak bóbr, pędem rzucił się do stóp Portugalczyka. I pozostał tam, obok swej mulicy.

Drogi przyjacielu, nie powiem Ci nic więcej. Mieliśmy wśród nas wielkiego świętego. Szkoda, że odszedł. Życzę Ci zdrowia.

„Czy schlebia Ci uznanie, z jakim przyjmują twoje słowa? Lecz to Pan daje ci dar przemawiania".

Zdanie to zapisałem w moich notatkach i używałem go dość często, za każdym razem, kiedy udzielałem lekcji braciom i księżom. Ale przede wszystkim sam się nim kierowałem, to dla siebie je zapisałem i nie zapominałem cytować przy każdej okazji, by postawić „kropkę nad i" w kwestii pokory. Zaiste, widziałem dobrze skupienie i poruszenie słuchaczy podczas moich kazań i musiałbym być całkowicie głuchym lub hipokrytą, bym nie słyszał pochwał pod moim adresem od ludzi, od współbraci, od zwierzchników, biskupów, opatów, władców. Musiałem więc bardzo uważać i wciąż mieć przed oczami Tego, któremu zawdzięczałem mój talent. W przeciwnym wypadku Pan pomyślałby już o tym i przygotowałby mi solidny poślizg, by przypomnieć mi, że tylko On może wzbudzić potomstwo Abrahamowi nawet z kamieni, jak mówi Jan Chrzciciel. Jakieś nieszczęśliwe zdarzenie podczas kazania byłoby dla mnie, o tak, porządnym *memento*; ale byłoby również wielkim rozczarowaniem dla tych, którzy czerpali z mych ust. I nie było w naszym zakonie nikogo, kto mógłby w obecnej chwili zająć moje miejsce. Bóg z pewnością wypomniałby mi te dusze, które zbłądziły z powodu mojej pychy. Tak, On zawsze może zaradzić wszystkiemu, lecz biada temu, kto zmusi go do podjęcia działań z powodu winy lub zaniedbania.

Posiadłem wielki dar, tak wielki, jak odpowiedzialność z tego wynikająca. Nie mogłem się łudzić, że poziom duchowy, do którego dotarłem, mógł mi cokolwiek zagwarantować: w każdej chwili mogłem wrócić do punktu wyjścia, w każdej chwili mogła mną zawładnąć pycha. Mało tego, im wyżej się wznosiłem i im bardziej zagrożona stawała się moja równowaga, tym bardziej wyrafinowane i podstępne stawały się ataki Przeklętego i tym pokorniejszej modlitwy potrzebowałem. A miałem mniej czasu, aby zająć się sobą. Sypiałem wówczas nie więcej niż dwie godziny. Ale, dzięki Bogu, wystarczały mi one, by odzyskać siły. „Czy schlebia Ci uznanie, z jakim przyjmują twoje słowa?" Nie, przeciwnie: drżałem. I drżałem jeszcze bardziej, kiedy Bóg sprawiał cuda,

potwierdzające moje słowa. Cuda towarzyszące kaznodziejom są czasami niczym błyskawice z chmur: schodzą z nieba na ziemię, ale równie szybko tam powracają, jeśli sami kaznodzieje ośmielają się przypisać je nie niebiosom, lecz samym sobie. Chrystus uczynił mi niezwykły zaszczyt, nie pozwalając bym stracił twarz w obliczu niewiernych; bez ustanku błagałem Go, by nie odbierał mi swojej łaski i by przestał czynić cuda, jeśli miałyby z nich wyniknąć szkody dla mojej duszy.

Dzięki Bogu zostałem wysłany na Sycylię. Wówczas nie była to jeszcze prawdziwa i właściwa prowincja sycylijska, ponieważ zakon nasz nie miał tam jeszcze odpowiedniej władzy. Zwierzchnicy sądzili, że dobry mówca sprawdzi się w tych warunkach, a ponieważ nie mieli wielkiego wyboru, posłali tam mnie, licząc również na to, że bracia w Messynie znali mnie dobrze. Powiedziałem wówczas: *Dzięki Bogu*, bo dla mojej duszy była to ulga wydostać się spod oklasków i pochwał. Na Sycylii będę miał o czym myśleć; niedaleko stamtąd znajdowali się Saraceni, a i wśród samych chrześcijan katarzy znaleźli swoje ofiary.

Lecz zacząłem zupełnie inaczej niż myślałem. W Messynie przyjęto mnie z radością, również dlatego, że moje przybycie poprzedziły wieści na temat moich czynów, odpowiednio rozdmuchane jak to zwykle bywa, gdy są podawane z ust do ust. Zdarzyło się, że w klasztorze pod nieobecność gwardiana bracia nalegali, bym został ich przełożonym. Byli tak niespokojni, że nie miałem serca odmówić; pomyślałem, że czasami nadmierna pokora jest niezgodna z miłosierdziem.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, był problem z wodą. Bracia musieli pokonywać długą drogę, aby zaopatrzyć w nią klasztor. Ci, na których spoczywał ten obowiązek notorycznie nie mogli zdążyć na czas wspólnej modlitwy. Bracia zmieniali się przy tym obowiązku, co słuszne, ale ci najsłabsi wracali tak zmęczeni, z obolałymi kośćmi, że praktycznie byli nieużyteczni przez tych parę godzin, jakie zostawały do końca dnia. Silniejsi chętnie ofiarowali się, że przejmą wszystkie zmiany, lecz nie można było pozwolić, aby zakon podzielił się na tych, którzy się modlą i na tych, którzy dostarczają wodę. Potrzebna była studnia, ale wszyscy, nawet najstarsi mieszkańcy, zapewniali mnie, że tam wody nie ma. Poprosiłem o nią Boga, oddając się przez wiele nocy modlitwie. Kiedy zrozumiałem, że mnie wysłuchał, wysłałem braci jałmużników, by zebrali datki na kopanie studni. Naturalnie, ludzie potrząsali z powątpiewaniem głowami, ale ostatecznie kończyło się na tym, że sięgali do kiesy, bo bardzo lubiano synów Franciszka. Nakazałem kopać w miejscu, które wskazał mi Bóg i szybko znaleźliśmy wodę.

Tym razem nie musiałem walczyć z pokusą pychy. Zadbał o to gwardian po swoim powrocie. Zobaczył studnię i wściekł się. Powiedział, że ubóstwo zostało naruszone, że bracia mniejsi mają unikać wygód i że woda w zasięgu ręki stanowi luksus niczym w klasztorze w Cluny. Powiedział jeszcze wiele innych rzeczy, których nie pamiętam. Dowiedziawszy się, że inicjatywa pochodziła ode mnie, nałożył na mnie surową karę, którą pospiesznie udałem się odbyć w ciszy. Oczywiście, z moją wiedzą bez trudu potrafiłbym wyjaśnić mu różnicę miedzy duchem reguły franciszkańskiej a fanatyzmem ubóstwa, nie wspominając o racjach przemawiających za studnią w tym miejscu. I mogłem to powiedzieć nie po to, by uniknąć kary, lecz by sprawiedliwości stało się zadość.

Lecz czasami dobre jest wrogiem lepszego. Przez moje zachowanie gwardian mógł stracić twarz przed swoimi podwładnymi, a jego autorytet zostałby poważnie naruszony. Dałbym dowód nieposłuszeństwa i braku pokory. „Prawdziwe posłuszeństwo jest pokorne, gotowe, poddane i musi być ślepe. Nie trzeba rozpatrywać powodów i sensu nakazów przełożonych, lecz rzetelnie i z wiarą je wykonywać. Nie widzi się dobrze bez posłuszeństwa. Uległość pochodząca z serca prowadzi do kontemplacji. Niesiemy jarzmo posłuszeństwa z Chrystusem, aby trochę mu pomóc". Tak głosiłem i nie miałem najmniejszego zamiaru przeciwstawiać się sobie. Oczywiście, gdyby gwardian zanim mnie upomniał najpierw skonsultował się z Bogiem, sprawy potoczyłyby się inaczej. Lecz on z całą pewnością nawykł już do przedkładania osobistej oceny nad poszukiwanie woli Bożej także w najmniejszych sprawach i w ten sposób zamiast przyjmować krzyże braci, sam stał się dla nich krzyżem. Tak dzieje się ze wszystkimi, którzy nie pracują nad swoim charakterem, fałszywie utrzymując, że jest dobrze, tak jak jest. Ale żaden charakter nie jest z natury odzwierciedleniem osobowości Chrystusa, który powiedział, by być tak jak On cichego i pokornego serca. Wielu obdarzonych dobrym charakterem wierzy, że nie musi nad sobą pracować, by stać się jak najbardziej podobnymi do Wzoru. Oszukują samych siebie, a pierwszymi, którzy to dostrzegą i się nimi rozczarują, są ich najbliżsi.

Aldo, biskup, do Sigerica opata

Witaj!

Drogi Bracie, chciałbym podzielić się z Tobą dziwną rzeczą, która wydarzyła się w mieście Patti, które jest, jak wiesz, pod moją jurysdykcją. Nie mówiłbym Ci o tym, gdyby nie dotyczyła ona brata Antoniego z Lizbony, który za moją zgodą głosi kazania w naszych stronach i nierzadko znajduje się w centrum zdarzeń niewyjaśnionych i cudownych.

Właśnie dziś rano przydarzyło mi się, że otrzymałem zapieczętowaną kopertę z listem i ościami ryby. Zostało mi to przysłane przez tego człowieka, znasz go, który sympatyzuje z heretykami i nie traci okazji, by wytknąć mi niedoskonałości podległego mi kleru. Jest on żałośnie przekonany, że w ten sposób ostatecznie udowodni mi wyższość doktryny, którą wyznaje, i świadomą hipokryzję moich kapłanów. Tak, w liście opowiada mi, że zaprosił w pewien piątek brata z Portugalii na posiłek i poczęstował go kurczakiem. Jak przyznaje, udawał, że przeprasza za swoją służbę, usprawiedliwiając się, że nie ma nic więcej, czym mógłby go poczęstować. Podkreśla przy tym, że gdyby jego gość był konsekwentny w swojej wierze, powinien zrezygnować z posiłku. On natomiast zjadł. W liście jest napisane, że jako dowód załącza ogryzione kości z owego kurczaka. Ja natomiast znalazłem tylko ości z ryby.

Znam dobrze tę osobę, jak zresztą i Ty ją znasz. To nie jest typ człowieka, który żartuje, czy też myli się w tych kwestiach. Jestem całkowicie przekonany, że chcąc zachować się jak oskarżyciel, Szatan, który przed sąd Boży składa winy chrześcijan, został upokorzony przez tego samego Boga, który dobrze zna ludzkie serca. Antoni posłuchał nakazu danego przez Chrystusa apostołom, aby jedli to, co zostanie im podane. I Chrystus nie pozwolił, by stracił zaufanie w oczach swego biskupa. Chwal ze mną Pana, gdyż mamy świętego na naszych drogach. Ściskam Cię.

Sigerico, opat, do Aldo, biskupa

Pozdrawiam.

Przeczytałem z wielką radością i, muszę przyznać, z wielką wesołością Twój list. Nie mogę oprzeć się pokusie, aby odpowiedzieć Ci natychmiast, gdyż bez wątpienia nie wiesz, że Antoni z Lizbony stał się bohaterem podobnego wydarzenia. Doniosła mi o tym osoba godna zaufania, w której słowa nie mam podstaw wątpić. Rzecz miała miejsce niedaleko mojego opactwa, w dniu, kiedy Antoni przybył, by przemawiać na naszym placu. Także tutaj, jak wiesz, nie brakuje takich, którzy opowiadają się za herezją, ale są to raczej nieszkodliwi żartownisie, w liczbie trzech, może czterech.

Dobrze, zaprosili więc brata na ucztę, nalegając, że chcieliby jeszcze nacieszyć się jego obecnością. I podano mu sowę. Ptaka naturalnie wcześniej oskubano i upieczono, przyrządzono i doprawiono w taki sposób, że wyglądało niczym piękny kapłon. Z udawaną grzecznością poproszono go, by ukroił pierwszy kawałek, widząc już w myślach jego zdziwioną minę, kiedy zorientuje się, że mięso jest tak twarde i niesmaczne, że trzeba chyba piły, aby go pokroić. Natomiast brat nie potrzebował nawet noża. Z łatwością ukroił mięso i zjadł w ich obecności. Zdziwieni, lecz w milczeniu, niepewnie spróbowali również oni. Jakże wielkie było ich zdumienie, kiedy poczuli na języku kawałki prawdziwego kapłona, najdelikatniejszego i najsmaczniejszego jakiego kiedykolwiek jedli. Powiedziano mi, że rzucili się przed bratem na kolana, błagając o wybaczenie, a on wysłał ich do mnie, by wyznali swe winy. Oczekuję ich. Ave.

Brat Mikołaj z Messyny do brata Eliasza, wikarego Franciszka
Pokój i dobro!

Dowiedziałem się, iż pragnienie naszego brata i ojca Franciszka zostało całkowicie wysłuchane w zaświatach dzięki naszym prośbom. Bracia mniejsi mają teraz prowincję również na Sycylii, a stało się to dzięki bratu Antoniemu z Lizbony. Utworzył on klasztory w Patti, Cafalu, Noto, Vizzini, Taorminie, Lentini. We wszystkich tych miejscach sam lud prosił o przysłanie im wspólnoty franciszkańskiej.

Mieszkańcy Patti, jak wiesz, zwrócili się do samego Franciszka, który udzielił im zgody na napisanie listu do brata Antoniego. To głównie dzięki niemu na Sycylii bracia mniejsi są wspólnotą religijną najbardziej uwielbianą przez ludzi, mówię to bez próżności i z pełną prostotą. Antoniemu zawsze towarzyszyły wielkie znaki, które Pan zechciał zsyłać na potwierdzenie jego słów. Opowiedziano mi na przykład, że w okolicy Cefalu Antoni ujrzał w zawalonym kościele nienaruszony dzwon. Spytał więc pracujących tam rolników, czy może zabrać go do nowego kościoła, który bracia mniejsi akurat budowali, zwłaszcza, że dzwon ten w tamtym miejscu już nie był potrzebny, a bracia nie mieli środków na zakup nowego.

Chłopi dla żartu odpowiedzieli, że jak chce, to może go zabrać, ale od razu. Przerazili się i zaczęli błagać o przebaczenie, kiedy zobaczyli, jak wziął gałąź leżącą na ziemi, oberwał z niej liście, przełożył przez ucho dzwonu i zarzucił dzwon na ramię. Dzwon ten, zaiste, wysoki był na cztery stopy, ale Antoni niósł go bez najmniejszego wysiłku. A oni, zaskoczeni i skruszeni, od razu chcieli zanieść dzwon do zakonu. I znalazło się do tego trzech mężczyzn.

Bóg jest z Antonim i towarzyszy mu tam, gdzie zostanie posłany. Wiemy, że naucza teraz w okolicach Neapolu i kiedy skończy, wróci do prowincji Romania. Poinformuj nas, czy prawdą jest to, co się mówi, że Antoni ma nauczać teologii naszych współbraci

w Bolonii. Pokój i dobro!

Za zgodą Franciszka bracia mniejsi otrzymali swoje studium – w Bolonii, w klasztorze św. Marii delle Pugliole, dokąd udałem się, by udzielać lekcji teologii. Jak mi powiedziano, studium to zostało otwarte przez poprzedniego ministra prowincjała, brata Gracjana, pod którego rozkazami się znajdowałem. Nazywał się Jan i był on Szkotem. Jednak zbyt szybko podjął się tej inicjatywy, a przede wszystkim uczynił to niezgodnie z regułą posłuszeństwa. Jego pomysł był słuszny, ale Franciszek, który znał serca ludzkie nie wyraził na niego zgody. Mało tego, skarcił pomysłodawcę, że odciąga braci od modlitwy. Dlaczego jemu powiedział nie, a mi tak? Być może dlatego, że ja nigdy nie ośmieliłem się zrobić niczego po swojemu; a może dlatego, że wszystko ma swój czas? Ale to Bóg wybiera czas i ludzi. Jestem pewien, że Franciszek to rozumiał.

Czytałem Pisma i komentowałem je z pomocą dzieł Ojców, zwłaszcza św. Augustyna, którego znałem na pamięć, gdyż jako kanonik w Coimbrze studiowałem go dogłębnie. Z drugiej strony, któż w tym czasie promieniał wiedzą bardziej niż kanonicy augustianów? W całej Europie ich imię oznaczało świętą kulturę, ich biblioteki nie miały sobie równych, ich erudyci byli najczęściej cytowani. Jednego z nich, Tomasza zwanego Gallusem, gdyż pochodził z Francji, ceniłem jako nauczyciela. Przybył do Włoch, do Vercelli, z grupą paryskich kanoników z wielkiego opactwa w San Vittore. Osiedlili się obok bazyliki św. Andrzeja i stworzyli własne opactwo, którego przeorem został Tomasz. Wielokrotnie słuchałem wykładów tego wybitnego mistrza teologii mistycznej, a on uhonorował mnie dwukrotnie: pierwszy raz, kiedy poprosił mnie, abym przemawiał w jego mieście; drugi – wprawiając mnie tym w zakłopotanie – kiedy pochwalił mnie w swym najbardziej znanym dziele: Komentarzach do *Hierarchii Niebieskiej* Dionizego Aeropagity (którego on sam przetłumaczył z greki na łacinę).

Wszystko to, co zdołałem pojąć zawarłem w moich notatkach, a potem w wykładach. Nic nie pominąłem, tak, aby moi uczniowie otrzymali najlepsze przygotowanie, a bracia mniejsi mogli do swej działalności żebraczej dołączyć również urząd głoszenia słowa. W tych czasach panowała ciemność, a robotników było naprawdę niewielu. Szerzyła się herezja. Nigdy wcześniej nie widziano, aby się pojawiała i rozpowszechniała tak szybko wśród ludu. Heretykami w przeszłości byli księża i biskupi, którzy przeszli do innych księży i innych biskupów, szukając adeptów zazwyczaj też wśród księży i biskupów. Czasem niektórzy z nich stawali na czele oddziałów zbrojnych i kończyło się to rozlewem krwi, a wówczas władcy i przywódcy państw musieli interweniować, aby przede wszystkim zaprowadzić porządek. Oczywiście, nie zawsze czynili to służąc sprawie ani z miłości do prawdy, ale tylko dlatego, że czuli się odpowiedzialni za pokój, który starożytni rzymianie nazywali „pokojem z bogami", bowiem prawa Boskie są ponad ludzkimi i stanowią fundament prawdziwego pokoju. Owszem, kilku przywódców sekty nawróciło w pewien sposób ludy pogańskie i wprowadziło je do chrześcijaństwa, przekazując przede wszystkim swoją nienawiść do ortodoksji. Wandalowie na przykład zostali ochrzczeni przez pewnego heretyka – arianina – o czym dobrze wiedział mój ojciec Augustyn. Jednak dotychczas nie spotkaliśmy się z niczym takim jak kataryzm. Nie wywodzi się on ani od księży, ani od biskupów. Mało tego, nikt nie wie, skąd pochodzi. Narodził się wśród laików,

rozprzestrzeniał się wśród zwykłych ludzi i nigdy nie dotarł do księży ani biskupów. I moim zdaniem nie był nawet dokładnie zdefiniowany jako herezja, posiadając wszystkie cechy odmiennej religii, zbliżonej raczej do starożytnego manicheizmu niż chrześcijaństwa.

Jeśli był ktoś, kto wiedział, o co w tym wszystkim chodziło, to na pewno byli to uczeni augustianie, od których się wywodziłem. Święty ojciec Augustyn w młodości był właśnie manichejczykiem i dopiero kiedy usłyszał nauki biskupa Mediolanu, świętego Ambrożego, zrozumiał podstawy swojego błędu. Później wiele swych dzieł poświęcił walce z manicheizmem. Długo medytowałem nad tymi tekstami. Błąd katarów polegał na tym samym i nie wiadomo dlaczego tak się stało, że ta nikczemna religia odrodziła się, by powtórnie siać zniszczenie wśród ludzi. Mówię ludzi, a nie tylko chrześcijan, ponieważ również poganie poznali grozę manichejskiej doktryny, przeciwko której nawet bezwzględny wobec chrześcijan cesarz Dioklecjan nie wahał się wydać edyktu, skazującego na spalenie żywcem odstępców za obrazę Boskiego majestatu.

Żniwo było obfite, ale też poprzerastane kąkolami jak nigdy dotąd. A robotników było niewielu. Kanonicy w zamknięciu swoich bibliotek mogli jedynie przygotowywać narzędzia. Natomiast katarzy rozsiewali chwasty bezpośrednio wśród ludu i to było nowością A jeśli był ktoś, kto narodził się wśród ludu i pośród niego żył, to byli to bracia mniejsi. Musieli oni za wszelką cenę zostać przygotowani do nauczania, lecz na chwilę obecną mieli tylko jednego nauczyciela: mnie.

Czas w Bolonii był czasem pracy i radości. Moja działalność spotykała się tylko z zachwytem i komplementami, podziwem i akceptacją. Dlatego dodałem do moich kazań kolejne zdanie – jedno z tych powtarzających się, które miały służyć bardziej temu, kto je wypowiadał niż temu, kto go słuchał: „Kiedy uśmiechają się do ciebie ziemskie przyjemności i dobrobyt, nie daj się nimi oczarować. Wchodzą one w nas bowiem łagodnie, lecz gdy znajdą się już wewnątrz, kąsają niczym węże".

Zacząłem zbierać moje notatki i porządkować je. W krótkim czasie nagromadziłem ich nazbyt dużo i porównywanie ich stało się coraz trudniejsze. Podzieliłem je na dwa traktaty: *O Psalmach* i *Kazania niedzielne*. W moim zamyśle traktat dotyczący kazań powinien być jakby wozem na potrzeby dusz, który podobnie jak wóz Eliasza wzniósłby się aż do Boga, a jego obracające się cztery koła powinny symbolizować Ewangelię, fragmenty *Psalmów, Listy* i czytania na niedzielę zaczerpnięte ze Starego Testamentu. W ten sposób czerpiąc z dzieł Doktorów Kościoła niczym Moabitka zbierająca kłosy za żniwiarzami Booza zebrałem garść ziarna dla moich współbraci. Korzystałem obficie z etymologii, zgodnie ze złotą nauką świętego doktora Izydora z Sewilli, najmądrzejszego człowieka, jaki po Salomonie stąpał po tej ziemi.

Właśnie gdy byłem pochłonięty tą pracą, otrzymałem polecenie wyjazdu do Francji. *Que lástima!* – mawiają w Iberii; *quel dommage!* – mawiają tam, dokąd miałem się udać; *peccato!*[10] – mówią Włosi i ci ostatni używają nieodpowiedniego słowa. Ale dla brata zakonnego prawdziwym grzechem byłoby nie dochować ślepego i wypływającego z serca posłuszeństwa. Żałowanie mozolnej, cennej pracy, którą nagle trzeba przerwać po trudnym początku, jest rzeczą ludzką. Ale nikt nie jest niezastąpiony, wszyscy jesteśmy sługami nieużytecznymi, także ja. Z drugiej strony nawet przełożeni zdawali sobie

sprawę, iż może nie był to najodpowiedniejszy moment, by odrywać mnie od tak wymagającego skupienia zajęcia, jakim było wprowadzenie z wymaganą pieczołowitością nauki do reguły franciszkańskiej. Jednak we Francji sytuacja była na tyle dramatyczna, że należało posłać tam kogoś, kto posiadałby sprawdzone zdolności rozwiązywania palących problemów. Pomyśleli o mnie. Nawet jeśli ja, tak jak Franciszek, a może bardziej niż Franciszek, myślałem o sobie *parvus et ydiota*.

[10] *Lastima* – żal, współczucie, szkoda; *dommage* – szkoda, strata, zniszczenie; *peccato* – szkoda; grzech.

6.

Pierwszym francuskim miastem, w którym otworzyłem usta było Montpellier. Znajdowało się tam studium szczególnej wagi dla tych, którzy przygotowywali się do pracy misyjnej. Istotnie, dzielnice, do których zostałem posłany, jedne z najbogatszych i najznamienitszych w całej Europie, były przesiąknięte herezją od ponad stu lat, a przez ostatnie dwadzieścia lat lała się krew na wojnie, której końca nie było widać. Na południu Francji katarów nazywano albigensami z powodu Albi, miasta, które w całości było w ich rękach. Nawet wielkiemu ojcu chrześcijan, świętemu Bernardowi di Chiaravelle, nie udało się przekonać tych zatwardzialców, by powrócili na łono Kościoła ani stłumić zawirowań, które bezustannie prowokowali. Ani synody, ani konsylia, ani dysputy, ani kary papieskie nie były w stanie przywrócić tu pokoju i prawdy Chrystusowej. Gangrena już nazbyt się rozeszła, a wielu panów, knując brudne intrygi polityczne, podjęło grę na dwa fronty. Mówili, że szanują i bronią praw Bożych oraz Kościoła, a równocześnie osłaniali heretyków, aby wykorzystywać ich jako środek nacisku lub postrach na swych wrogów albo wręcz przeciw biskupom i opatom, którzy mogli rzucać cień na ich władzę. Pragnąc coraz więcej ziemi i władzy, myśleli, że mogą wykorzystywać heretyków i chrześcijan przeciw sobie i czerpać korzyści z podziałów, frakcji, sporów. Głupcy, rzucali kości o szatę Chrystusa, nie widząc, że ściągają na siebie gniew Boga sprawiedliwego, który nie będzie się ociągał z ratunkiem dla płaczących, którzy go wzywają.

Na nic zdały się dysputy publiczne Dominika de Guzmana, którego widziałem przy boku Franciszka, a który parę lat wcześniej rozprawiał się z albigensami. Istotnie, mogli oni liczyć na ochronę ze strony najpotężniejszego pana w tym rejonie, Rajmunda z Tuluzy, człowieka tak dwulicowego, jakiego nigdy wcześniej tam nie było. Wkrótce potem papież Innocenty III posłał do niego swojego osobistego przedstawiciela, legata Piotra di Castelnau. Jednak albigensi zamordowali go i wszyscy wiedzieli, kto stał za tym czynem. Miarka się przebrała i papież zwrócił się o pomoc do króla i władców z północy. Kampania karna miała zakończyć się po miesiącu, najpóźniej po dwóch, jednak papież stracił nad tym kontrolę i wojna przeciągnęła się o dwadzieścia lat i szalała do tego czasu. W grę wchodziły najbogatsze regiony Prowansji, zamożne i wykształcone, a król Francji nie chciał przepuścić okazji do rozszerzenia swojej władzy nad tymi terenami. Z jednej i z drugiej strony zawierano ścisłe sojusze z bliskimi sąsiadami, również z Aragonią. Koszty miał pokryć lud tych ziem, które z zasobnych stały się opustoszałe.

Pomimo obopólnych okrucieństw i wypływającej z tego nienawiści herezja wcale nie została pokonana i w roku 1224, kiedy tam przybyłem, ciągle miała się dobrze. Tak dobrze, że do podjęcia odpowiednich kroków zostało powołane wojsko i prawodawcy. Właśnie w tych dniach cesarz Fryderyk wydał edykt, w którym groził karą spalenia na stosie heretykom winnym obrazy majestatu carskiego i Boskiego. Zaiste, wielkie musieli stanowić zagrożenie, skoro człowiek tak daleki od wiary jak Fryderyk, który wcale nie uważał za coś niestosownego otaczać się niewiernymi muzułmanami, nie zawahał się posunąć do największego okrucieństwa, by położyć kres herezji katarów.

Osiedliwszy się w najpiękniejszych zakątkach Francji, katarzy stali się taką potęgą

polityczną i religijną, że kościoły dosłownie opustoszały. Rok przed moim przybyciem papież Honoriusz słusznie napisał list w tonie wielkiej rozpaczy do nowego króla. Obawy papieży zbiegały się z obawami Franciszka, którego troska o te ziemie miała dodatkowo wymiar osobisty, ponieważ z Francji pochodziła jego matka, której on oraz jego ojciec Bernardone byli niezwykle oddani. Wszyscy wiedzieli, że imię Franciszek zostało mu nadane w hołdzie tej, która go porodziła i że Biedaczyna lubił śpiewać w języku prowansalskim, który był dla niego językiem ojczystym. Franciszek miał jeszcze jeden powód niechęci wobec wrogów chrześcijaństwa: wgryzali się oni od wewnątrz, podczas gdy islam kąsał z zewnątrz. Dlatego natychmiast posłał do Prowansji swoich braci z podwójną misją.

Albigensi, ludzie w zdecydowanej większości pozbawieni jakichkolwiek praw, obłudnie udawali uczestnictwo w nabożeństwach kościelnych, aby słuchać kaznodziejów i uczyć się na własny użytek sztuki przemawiania. Ale chodzili i głosili tylko jedno: nienawiść do Kościoła i duchowieństwa. Błędy i ewidentne głupstwa, które wychodziły z ich ust, były jednak wystarczające, aby zmylić prostaczków i doprowadzić ich na skraj wymarcia, co według nich było prawdziwą wolą Boga. Wiedli na zatracenie ciała i dusze, zwłaszcza ubogich, którzy nie posiadali innego dziedzictwa poza Chrystusem. Przeklęte plemię lisów katarskich wkradło się do winnicy Pana i siało spustoszenie.

Ich ulubioną metodą było oskarżenie: brali przykład jakiejś niedoskonałości, upadku, nawet niewielkiego błędu kapłana i wykorzystywali go, by oczernić cały Kościół i religię, którą głosił. Jeśli zranisz się w palec, co zdrowy rozsądek ci podpowiada: byś zadbał o ten palec czy odciął całe ramię i zastąpił je kawałkiem drewna? Jeśli twoja owca jest chora, zarżniesz całe stado, gdyż pasterstwo jest szkodliwą działalnością? Jeśli jedna figa jest zgniła, przestaniesz jeść owoce i zaczniesz odżywiać się myszami? Tego rodzaju logiką heretycy podburzali lud. Z łatwością można było zgodzić się z tym, kto mówił, że dany ksiądz popełnił grzech pożądania, więc wszyscy mnisi są tak naprawdę rozpustni. Potem, rozpaliwszy dusze, już tylko niewielki krok dzielił od stwierdzenia, że to sam stan duchowny zachęca do rozwiązłości. Ostatecznie używając analogii oszkalowali resztę, rozszerzając wizję i obejmując nią nie tylko cały Kościół, na którym opiera się sama religia, ale także księstwo, królestwo, cesarstwo. I wreszcie nie pozostawało już nic, ponieważ w szale zniszczenia doszli do zanegowania wszystkiego. Właśnie tego pragnęli katarzy najwyższego stopnia, ci, którzy kazali mianować się „doskonałymi".

Im dłużej miałem z nimi do czynienia, tym bardziej przekonywałem się, że trzeba skończyć z cierpliwością i miłosierdziem. Oczywiście nie chodzi o to, żeby cnoty te miały mieć jakieś granice, ale Pismo mówi, że kto szczędzi rózgi na własne dzieci, chce dla nich źle. Nadchodzi taki moment, kiedy cierpliwość musi ustąpić miejsca miłosierdziu, a to w niektórych przypadkach oznacza oburzenie i gniew Boży. Nasz Pan, zwierciadło miłosierdzia i cierpliwości, przeplatał umiejętnie czułość i groźby, także te najokrutniejsze; przez to prowadził i prowadzi do zbawienia nasze dusze.

W moich naukach usiłowałem używać języka, w którym każdy, i uczony, i prosty, mógłby znaleźć strawę duchową dla siebie. Wytężałem umysł, by najmądrzejsze i najistotniejsze fragmenty wyrazić w sposób bezpośredni i zrozumiały nawet dla laika. Nie chciałem mymi słowami zachwycać erudytów, ani tych, którzy nie potrzebowali

Boskiego lekarza. Wszyscy, którzy mnie słuchali, mieli zawsze wrażenie, że zwracałem się do teologów jak do teologów, do prostaczków jak do prostaczków. Gratulowali mi łatwości, z jaką wysławiałem się w językach lokalnych, co miało miejsce zarówno w Romanii, jak i na Sycylii oraz w Prowansji. Nie wiedzieli, ile trudu i modlitwy kosztowało mnie to wszystko.

Niektórzy zwrócili uwagę na podobieństwo między słowami *Antonius* i *Altonius*, nadając mojemu imieniu zakonnemu prorocze znaczenie: według nich „grzmiałem" przeciw heretykom. Nie przestawałem nazywać ich psami, wężami i martwymi duszami, lecz określenia te nie były niczym innym jak tylko desperacką próbą otrząśnięcia ich ze zła i ostrzeżeniem prawych, by nie dali się zwieść ich pokusom. Ja i cały Kościół nie chcieliśmy ich stracić, nie chcieliśmy też, aby sami się zatracili ani, co ważniejsze, zatracili innych. Jak cały Kościół byłem przeciwny skazywaniu ich na śmierć. Nie podkłada się ognia pod dom tylko dlatego, że ten, kto tam mieszka nie żyje; nie trzeba było niszczyć ciał heretyków tylko dlatego, że martwa była ich dusza. Jednak prawo cywilne istniało po to, by zapewnić sprawiedliwość, nie miłosierdzie. O miłosierdziu musiał myśleć Kościół, zabiegając, by heretycy powrócili na jego łono i zwielokrotniając ilość kaznodziejów, by nawrócenie odbyło się bez większych ofiar. Jednakże tych nieprzejednanych odszczepieńców Kościół zmuszony był pozostawić w rękach świeckich, bowiem w sytuacji zatwardziałego trwania w błędzie nie można było nic uczynić. Czasami może się zdarzyć, że pasterz w źle pojmowanej litości nazbyt angażuje się w poszukiwanie zagubionej owcy, która nie chce powrotu i przyprowadzona do owczarni uważa, że pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć owiec zostało pozbawione opieki i zagubiło się.

Jak w Italii centrum rozprzestrzeniania się herezji katarów było Rimini, tak we Francji była to Tuluza. Udałem się kolejno w oba miejsca. Nie odbyłem wielu publicznych dysput z heretykami. Na spotkanie ze mną wysyłano „doskonałych", jednego po drugim, tych najlepiej przygotowanych i wprawionych. Ale łaska Boga pokonywała ich po kolei, aż zaprzestali dysputy i ja też musiałem przestać. Tak było lepiej, gdyż mogłem skoncentrować się na moim stadzie.

Lecz Bóg mi świadkiem – „grzmiałem" nie tylko przeciw albigensom. Gdziekolwiek miała miejsce niesprawiedliwość czy obraza prawdy nie szczędziłem słów jasnych i dobitnych. Nie zwracałem się jednak do nikogo w sposób bezpośredni, nawet do ludzi Kościoła, co do których zachowywałem wręcz szczególną surowość. Wiedział coś o tym arcybiskup Bourges oraz tamtejsi prymasi. Simone z Sulli miał w zwyczaju przedkładać politykę nad prawdę, umiłowanie spokoju nad walkę z herezją, pragnienie wygody i zaszczytów nad religię Chrystusa, którego przykazania zresztą stanowiły dla niego przykry dodatek, co nie przeszkadzało mu oczekiwać ich przestrzegania od innych. Jego domostwo było potężne i nie interesowało go nic innego, jak jego własne prawa feudalne oraz blask jego dworu. Nie chciał, by plątali mu się pod nogami ani dominikanie, ani franciszkanie, których uważał za podległych papieżowi i całkowicie wyjętych spod jego władzy i jurysdykcji. Dzięki temu heretycy mieli wolną rękę, chociaż on twierdził, że środki powzięte przeciwko nim były aż nadto wystarczające. Prawda była jednak inna. Nie dość, że środki te nie wystarczały, to jeszcze jego zły przykład był przynętą dla tych

lisów, aby podburzać ludzi, przeciwstawiając ich własny surowy tryb życia rozwiązłości dworu biskupiego.

Miało to miejsce podczas wielkiego synodu, który odbywał się w Bourges w 1225 roku. Tematem dyskusji było, po raz kolejny, przywrócenie pokoju na tych ziemiach. Posiedzenie pod przewodnictwem legata papieskiego i kardynała z Sant'Angelo było liczne i imponujące: zebrało się sześciu arcybiskupów i ponad stu biskupów, wielu duchownych oraz najważniejszych arystokratów. Był obecny także nowy książę Tuluzy, Rajmund VIII, i jego najbardziej zaufany sprzymierzeniec, Amalaryk z Montfort, który uważał się za władcę Tuluzy. Wiedziałem, jak sprawy się potoczą: mówcy będą się prześcigać w kwiecistej retoryce, lecz nikt nie wskaże ani jednej konkretnej rzeczy, którą należałoby zrobić. Aby rozwiązać prawdziwy problem, czyli herezję, potrzebni byli bracia żebracy, lecz zebrani hipokryci nie ośmieliliby się kiwnąć palcem przeciwko jedynej przeszkodzie, jaką był Simone z Sully.

Byłem obecny na tym synodzie i również milczałem, stojąc przez cały czas na uboczu. Zgodnie z moim zwyczajem czekałem na znak Ducha Świętego. Dopiero kiedy zapytano mnie, czy chcę zabrać głos, wstałem i zwróciłem się do mężczyzny, który stał tam w swojej dwurożnej mitrze, co nadawało mu wygląd zgoła odmienny od codziennego. Cały czas patrząc mu w oczy, głośno, lecz spokojnie i bez podnoszenia głosu, wymieniłem jedno po drugim jego uchybienia. Powiedziałem mu ponadto, że kiedy księża kroczą z pełnymi brzuchami i rumianą twarzą, kochają sen bardziej niż modlitwę, nie dostąpią światła mądrości ani nie zdobędą prawdziwych cnót potrzebnych do działania; dlatego diabeł przegania ich owce, a złodzieje, czyli heretycy, przejmują je. Chrystus przykazał Piotrowi, i to trzykrotnie, by pasł owce Jego, ale nigdy, nawet jeden raz, nie powiedział, by je strzygł czy doił. Jeśli jakiś biskup albo prałat nie zważają na polecenia Aleksandra, Innocentego czy któregokolwiek z kolejnych papieży, natychmiast zostaje to doniesione, przystępuje się do odczytania wyroku w sądzie, przedstawienia dowodów i zwolnienia. Ale jeśli któryś z nich popełni grzech ciężki przeciwko Ewangelii, która jest ponad nakazami papieży, nikt nie oskarża, nikt nie napomina i wszystko to dzieje się dla własnych korzyści albo z miłości do spokoju.

Mówiłem o tym przez jakiś czas. Następnie, skończywszy, usiadłem.

Moja mowa zrobiła na wszystkich spore wrażenie. Nastąpiła niezręczna cisza. Ale ja postąpiłem według Pisma Świętego, które nakazuje, by upominać mądrego, bo z tego zrodzi się dobro. Wiedziałem, co robię, zapewniał mnie o tym Duch Święty, który doprowadził do tego, że przemówiłem.

Istotnie, Simone, z błyszczącymi oczami, podniósł się i ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich podszedł i objął mnie. Potem, zwróciwszy się do zgromadzenia, potwierdził to wszystko, co powiedziałem na jego temat i publicznie wyznał skruchę. Obiecał także, że od następnego dnia przyjmie synów Franciszka i Dominika. Od tego dnia stał się naprawdę innym człowiekiem, na większą chwałę Boga, Kościoła i z całym pożytkiem dla dusz. Ja to wiedziałem. Duch Święty nigdy mnie nie zawiódł. Wielkie dobro płynęłoby z tego, gdyby wszyscy kapłani pozwolili Mu się prowadzić.

Piotr z Reims, złodziej i niewdzięcznik, do Antoniego z Lizbony

Pokój i dobro!

Ośmielam się użyć Twojego powitania, którego nauczyłeś mnie, kiedy byłem wśród Twoich uczniów, gdyż to, co Ci uczyniłem, przeobrazi się naprawdę w pokój i dobro dla Ciebie, tak jak dla mnie stało się obłędem i wstydem.

Czcigodny Ojcze, nie mam odwagi, aby przyjść i pokazać Ci swą twarz po wielkim grzechu, za jaki jestem odpowiedzialny wobec Boga, a nade wszystko wobec Ciebie. Zwracam Ci psałterz, który Ci ukradłem i którego utrata, wiem o tym, była dla Ciebie wielką szkodą. Nie śmiem rzucić Ci się do stóp, by błagać po tysiąckroć o przebaczenie, lecz jestem gotów oddać się każdej karze, jaką zechcesz, nawet jestem gotów poddać się rygorom prawa przeciw złodziejom; obym tylko pewnego dnia dowiedział się, że umrę z Twoim rozgrzeszeniem.

Przez wiele miesięcy spoglądałem pożądliwym okiem na ten psałterz, naznaczony Twą ręką, którego tak zazdrośnie strzegłeś. Szpiegowałem Cię, kiedy zaglądałeś do niego, by przygotować się do nauczania i gdy dodawałeś za każdym razem nowe odniesienia i cytaty, powiązania, znaczenia. Potem, kiedy otwierałeś usta, ja sam pozostawałem w ekstazie Twych słów, jak wszyscy, którzy Cię słuchali. Rosło we mnie, każdej nocy, tydzień po tygodniu, pragnienie posiadania tej księgi, głupio myśląc, w swoim ociemnieniu, że to ona była źródłem Twojej elokwencji. Marzyłem, aby zostać tak wielkim jak Ty i ta przeklęta obsesja odebrała mi sen. Tworzyłem wizje, że zabieram Ci ją i uciekam daleko, tak daleko, że nikt mnie nie znajdzie i dzięki tej księdze staję się sławny i podziwiany. Nie wiedziałem, w swoim szaleństwie, tego, co teraz stało się dla mnie jasne: źródło Twojej mądrości tkwi w świętości, nie w księgach; i Bóg nigdy nie obdarzyłby łaską złodzieja, dając mu sławę i uznanie. Lecz wtedy jeszcze o tym nie myślałem, byłem całkowitą ofiarą mojego szaleństwa.

Pewnej nocy przyszedłem do Twojej celi, gdy spałeś, przywłaszczyłem sobie Twój psałterz i uciekłem z zakonu, zapominając, ile dobra uczyniłeś dla nas, wszystkich nowicjuszy, i dla najnędzniejszego spośród nich, dla mnie. Noc dopiero się rozpoczęła i wędrowałem przez kilka godzin, aby jak najbardziej zwiększyć odległość między mną a Twoją złością, zanim nowy dzień odsłoni mój występek. Rozważałem, że rozpocznie się dochodzenie i zanim okaże się, iż to ja jestem winowajcą, będę miał wystarczająco dużo czasu, aby znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Była głęboka noc, kiedy dotarłem do rzeki. Ale kiedy zamierzałem ją przejść, na moście ukazał mi się mężczyzna, którego twarzy nie widziałem. Wydawało się, że wyłonił się niespodziewanie z ciemności, gdyż wcześniej nie było żywej duszy na moście. Jestem tego pewien, długo czekałem, nasłuchując i wytężając wzrok, zanim odważyłem się postawić stopę na deskach. Był niski, przysadzisty i wzbudzał strach. Wyszedł mi naprzeciw z głuchym i ciężkim dudnieniem, szczerząc zęby niczym wściekły pies. Potem głosem sprawiającym, że ściskają ci się wszystkie wnętrzności, syknął, abym wracał. Pomyślałem, że może to jakiś wariat i że pomylił mnie z kimś innym; i tak, chociaż śmiertelnie przerażony, postanowiłem spróbować ominąć go, prześlizgując się wzdłuż barierki. Ale nie zdążyłem zrobić nawet kroku, kiedy on zaczął rosnąć. Tak, rósł na moich oczach i rozrósł się tak, że zajął całą szerokość mostu. Krzyknąłem na niego rozpaczliwie, ile sił miałem w piersi, aby zostawił mnie w spokoju, że nie miał mi nic do zabrania.

Jego czarna sylwetka sięgała już około stu stóp, kiedy ciemności rozjaśniły się

purpurą i najstraszniejsza wizja na świecie rozbłysła na moich oczach. Istota zwierzęca, cuchnąca i odrażająca, o okropnym wyglądzie, z piekielnym głosem, wyciągnęła pazur w stronę mojej twarzy i krzyknęła, że wrzuci mnie w wir tej rzeki, mnie i moją księgę, aby zabrać mnie ze sobą do wiecznej rozpaczy. Włosy na całym ciele stanęły mi dęba. Nie czekałem nawet aż skończy, odwróciłem się i ile sił w nogach biegłem do utraty tchu. Biegłem i biegłem, upadając i podnosząc się, raniąc twarz na kamieniach i nogi wśród cierni. Nie zważałem na przeszkody, na które wpadałem, chciałem tylko wrócić przed świtem i uwolnić się od tego psałterza, od którego zależało zbawienie moje i mojej duszy.

Przeskoczyłem mur klasztoru i dostałem się do rozmównicy. Odźwierny spał i nie zauważył mnie, kiedy kładłem księgę na ławce. W zupełnej ciszy, wziąłem pióro i kałamarz i kreślę te linijki, które wcześniej czy później przeczytasz, gdyż znajdziesz je w swoim psałterzu. Módl się o moje zbawienie, Ojcze przewielebny. Abym nie stracił duszy ni rozumu.

Ojciec gwardian przyszedł do mnie pewnego dnia i powiedział, że ten nowicjusz, po którym od dwóch miesięcy wszelki ślad zaginął, został odnaleziony w swoim rodzinnym mieście. Pewien ksiądz go wyspowiadał i przekazał naszemu gwardianowi, że według niego młodzieniec odkupił swe winy. Zwierzchnik zapytał mnie, co o tym sądzę, zważywszy, że ze względu na prowadzone lekcje zanim uciekł byłem z nim w wielkiej zażyłości. Powiedziałem, że można go z całą pewnością przyjąć i według mnie będzie z niego godny brat mniejszy.

Kiedy zobaczyłem go ponownie, rzucił mi się do stóp i nie był w stanie przemówić ani słowa, tak bardzo dusił go szloch. Przycisnąłem go mocno do serca i muszę przyznać, że dałem się ponieść emocjom. Nigdy się nie dowiedział, że tamtej nocy obudziłem się zaraz po kradzieży i że natychmiast zorientowałem się, że psałterz zniknął. Wiedziałem, że to był on, zauważyłem dobrze jego pożądliwe spojrzenie, z jakim patrzył na moją księgę. Gdyby tylko wyznał mi swoją udrękę w konfesjonale, uniknęlibyśmy tej sytuacji. Istotnie, szkoda, jaką by mi wyrządził, byłaby przeogromna – potrzebowałbym wielu miesięcy, aby odtworzyć moje zapiski, nie mówiąc już o wartości materialnej równej cenie kilku dobrych koni. Ale wiedziałem, że nie to pociągało złodzieja. Uklęknąłem i prosiłem Boga, by ocalił duszę tego niewdzięcznika, która miała dla mnie większe znaczenie niż wszystkie książki świata. Gdyby udało mu się zrealizować niecny zamiar, z powodu kradzieży doprowadziłby do ruiny swoją wiarę i wiarę tych, których nieszczęśliwie uczyniłby swoimi uczniami. Wielki ojciec Augustyn zwykł mawiać, że należy obawiać się srodze „lektora jednej tylko księgi", to znaczy takiego, który uważa, że potrafi wydobyć właściwy obraz rzeczy z jednego tylko dzieła, choćby niewiadomo jak mądre by ono było. Wyznawcy *Koranu* byli druzgocącym przykładem intuicji Augustyna.

Modliłem się więc za tego uciekiniera, gdyż zaprawdę nie wiedział jak zły i jak potężnymi konsekwencjami obarczony był jego postępek. Następnie, kiedy byłem już pewien, że zostałem wysłuchany, położyłem się spać.

Ryszard, brat mniejszy, do Gotfryda

Pokój i dobro!

Drogi Ojcze, w Twoim ostatnim liście czytam, że martwisz się moim zdrowiem, ale

zapewniam Cię, że tu, w zakonie w Montpellier, czuję się dobrze i nigdy nie czułem się lepiej.

Oczywiście klimat nie jest tu tak łagodny jak u nas, ale niczego mi nie brakuje i każdego dnia coraz bardziej utwierdzam się w wyborze, którego dokonałem. Bądź więc spokojny, gdyż Twój syn jest w rękach Boga i lepszego pana nie mógłby znaleźć. Ponadto dostąpiłem łaski i zostałem wybrany na studia; z wolą Bożą zostanę kaznodzieją. Lekcji udziela nam znany zakonnik, Antoni z Lizbony, mistrz elokwencji i teologii wśród najznakomitszych. Z pewnością słyszałeś o nim, również dlatego, że od kilku miesięcy w każdej dzielnicy nie mówi się o niczym innym, jak tylko o tym, co on głosi. I słusznie, ja mając szczęście żyć blisko niego, potwierdzam, że człowiek ten jest również wielkim świętym. Trzy dni temu z powodu wielkiego upału lekcje odbywały się na zewnątrz. On stał, a my siedzieliśmy na trawie. Zapadał zmierzch, a znad stawu dochodziło typowe dla tej pory roku żabie kumkanie. Ty może wiesz lepiej ode mnie, czy to jest ich pora godowa; niemniej jednak tego popołudnia hałas był doprawdy nieznośny. Antoni przez cały czas musiał mieć podniesiony głos, aby ci na samym końcu mogli go słyszeć i co jakiś czas musiał coś powtarzać, bo ktoś go nie usłyszał. W pewnym momencie zamilkł i odwrócił twarz w stronę stawu. Nie uwierzysz, ale żaby natychmiast umilkły i do końca lekcji już się nie odezwały.

O innych rzeczach nie wspomnę, choć miałbym Ci wiele do powiedzenia. Reguła zakonu nakazuje mi jednak nie rozpisywać się zbytnio w listach do domu, gdyż atrament i papier kosztują. Uściskaj ode mnie moje siostry.

Malina do Lenory

Pozdrawiam.

Korzystam z uroczystości, jakie odbywają się w Twoim mieście, by przesłać Ci ten list przez mojego męża. Wiem, że ma spotkać się on z Twoim, by wymienić towar, więc przekazałam mu to pismo do Ciebie, droga Kumo. Musiałam powiedzieć mu, że chodzi tu o damskie sprawki, dlatego proszę Cię, byś dostosowała się do tej gierki. Gdyby dowiedział się o co chodzi, ten wspaniały mężczyzna nie powstrzymałby się, aby mnie nie wychłostać po twarzy.

Jakiś czas temu przyszedł na nasz plac głosić słowo Boże znany Portugalczyk Antoni. Ja, ponieważ znałam dobrze już jego przemówienia, płonęłam chęcią usłyszenia go znowu. Kiedy przygotowywałam kąpiel dla mojego synka, pewna sąsiadka przyszła i powiedziała mi, że biegnie, bo przybył ten Antoni, o którym wszyscy mówią. Ja, roztrzepana, zostawiłam gar z wodą na ogniu i dziecko bawiące się na podłodze, ogarnęłam się i pobiegłam razem z nią. Dopiero gdy kazanie dobiegało końca, dotarło do mnie, jak wielką nieostrożność popełniłam. Proszę, uwierz mi, że pobyt tam był tak uroczy i urzekający, że traciło się wszelkie poczucie czasu. Ten brat jest kaznodzieją, jakiego świat jeszcze nie znał.

W pewnym momencie wydało mi się, że się obudziłam, jakbym wyszła z jakiegoś snu, i ogarnęło mnie dziwne przeczucie, czułam jakbym traciła rozum. Pędem puściłam się do domu, a przerażenie rosło z każdą chwilą, kiedy zbliżałam się do niego. Kiedy otworzyłam drzwi na oścież, omal nie zemdlałam z przerażenia. Dziecko weszło do garnka, a woda gotowała się w nim. Na rozpalonym ogniu od przynajmniej dwóch godzin.

Powstrzymując krzyk, niemal rzuciłam się do pokoju, żeby wyjąć moje dziecko z wody. Wierz mi, Przyjaciółko moja, uśmiechał się szczęśliwy. Bawił się, chlapiąc wodą i nic mu się nie stało. A woda była gorąca, wiedzą coś o tym moje ręce, które do tej pory są czerwone i skóra zaczyna mi schodzić. To był cud tego brata. Niech Bóg po tysiąckroć go błogosławi.

Mój mąż Ci powie, że od jakiegoś czasu mam obsesję na punkcie wspierania franciszkanów, zważywszy, że przynajmniej raz w miesiącu, kiedy się rozlicza, pytam go, czy pamiętał, aby odliczyć jałmużnę dla nich. Teraz wiesz dlaczego. Zachowaj to jednak w tajemnicy, błagam.

Jeszcze raz pozdrawiam.

Gualtiero, przeor zakonników San Pietro di Queyroix, do Baldwina, gwardiana braci mniejszych w Montpellier

Pozdrawiam.

Musimy koniecznie się spotkać, gdyż to, co się wydarzyło jest intrygujące. Wiedziałem, jak i Ty dobrze wiesz, że Twój podopieczny Antoni z Lizbony cieszy się sławą człowieka niezwykłego, ale nigdy bym nie uwierzył, że ma zdolność bilokacji, gdybym nie zobaczył tego na własne oczy.

Zaświadczam, że przez cały ranek był w moim kościele na modlitwie. Przy głoszeniu kazania z ambony przez dobre półtorej godziny zatrzymał się na końcu pewnego zdania. Stałem tuż pod amboną i widziałem go dokładnie: wyglądał tak, jakby nagle coś sobie przypomniał. W skrócie zakończył rozpoczętą myśl, po czym zakrył głowę kapturem i usiadł. Wszyscy myśleli, że siadł jak zwykle, by złapać oddech. Przez jakiś czas pozostawał w całkowitym bezruchu, potem wstał, zrzucił kaptur na plecy i zaczął ponownie mówić, wracając do kwestii w miejscu, w którym przerwał.

Widziałem to, a ze mną widzieli wszyscy zebrani. Ty przesyłasz mi wiadomość, że Antoni zjawił się w Twoim zakonie w chórze i zaśpiewał Alleluja*, zanim odszedł. Twoi bracia mówią mi, że tylko on wiedział, który werset należało zaśpiewać i że zazwyczaj, kiedy musiał być nieobecny, przekazywał swoje zadanie i dokładne wskazówki komuś innemu. Powiedziano mi również, że tym razem nie uczynił tego. Wnioskuję z tego, że zapomniał o tym i że z całą pewnością podczas kazania zabłysnęła mu ta myśl. Teraz masz cały zakon gotowy, by zaświadczyć, że Antoni był u Was. Przysięgam z dłonią na Ewangelii, że u mnie też są gotowi poświadczyć to samo wszyscy, którzy byli obecni na kazaniu, że Antoni nie ruszył się z naszego kościoła.*

Godzina, w której wydarzyło się, to, co się wydarzyło, zgadza się. I albo jesteśmy w stanie ogólnego oślepienia, naszego i Waszego, albo jest to cud bilokacji. Wyznaję Ci, że nie wykluczam całkiem zbiorowego oślepienia; ktoś może nawet mylić się na skutek zepsutego wina lub choroby, ale sto osób, wszystkie w tym samym momencie, nie. Ponieważ zapewniasz mnie, że również u Ciebie nie może być mowy o żadnym oślepieniu, musimy jak najszybciej się spotkać, aby porozmawiać o tym i skonfrontować jak najściślej czas oraz odpowiednie wersje zdarzenia.

Bądź zdrów.

Z Montpellier posłuszeństwo przyprowadziło mnie do Tuluzy, a potem do Velay, do zakonu Le Puy. Tam objąłem funkcję gwardiana. Zaowocowały doświadczenia, jakie

zebrałem, kiedy sam byłem podwładnym. Dobrze wiedziałem, do jakiego stopnia bezrozumny zwierzchnik może sprawić, że reguła, która powinna być jak jarzmo Chrystusa: lekka i słodka, może stać się uciążliwa i znienawidzona.

Zgodnie z moim zwyczajem spisałem normy, których dobry gwardian musi przestrzegać, aby uświęcać siebie i uświęcać innych. Używałem nawet rózgi, kiedy była taka potrzeba, złotej rózgi dobrotliwości: rózgi – aby wychłostać; złotej – gdyż razy zadane przez przełożonego postrzegane były jako cenne; dobrotliwej – aby ten, kto był chłostany miał jasność, że to dla jego dobra. Łagodna stanowczość, dobroć nie ojcowska, lecz matczyna, wyraźna gotowość, by rozerwać własną pierś, jak robią to pelikany, by nakarmić swe potomstwo. Zawsze gotowy, dobrze wiedząc, że taką dyspozycyjność podwładni muszą wyczuwać i rozpoznawać jako zapach Chrystusa.

Spotkałem w swoim życiu spowiedników, którzy potrafili godzinami wysłuchiwać win skruszonego serca, a jednak ich oczy były rozbiegane, a na ich twarzach wyraźnie widać było wysiłek, z jakim wysiadywali w konfesjonale. Wysiłek ten z pewnością jest rzeczą godną pochwały, lecz penitenci wyraźnie wyczuwali, że spowiednik miał coś lepszego do zrobienia niż wysłuchiwać ich. Ich uczucia zostały zranione: rozumieli, że w tym człowieku znaleźli jedynie ucho i nic poza tym. Człowiek z uchem, tak, ale nie z sercem. Człowiek Kościoła, tak, ale nie Boga. Musisz umieć przekazać podwładnemu, że jego przewinienia, jego problem, jego cierpienie są twoimi, że prawdziwie jesteś z nim, razem z nim smutny i żałujący. Takie utożsamienie się jest celem spowiedzi, ale, żeby go osiągnąć, trzeba pracować z całą mocą i oddaniem się Bogu. Taki przełożony jest błogosławieństwem, które się rozprzestrzenia. Każdy inny będzie co najwyżej dobrym organizatorem i zarządcą.

Jako gwardian Le Puy byłem zmuszony utrzymywać kontakty ze świeckimi i kościelnymi władzami miasta, wychodzić poza klasztor, przyjmować zaproszenia na obiady. Było to oczywiście źródło możliwego rozproszenia i wolałbym sto razy usunąć się w ciszę Boga przed tabernakulum. Ale była to także rzecz dobra, ponieważ miałem sposobność, by poznać dusze, które mnie potrzebowały.

Jak na przykład ten notariusz, który z racji wykonywanej profesji był obecny przy każdej czynności o znaczeniu publicznym i przy którym również ja musiałem być obecny ze względu na wypełniane obowiązki. Był to rozpustnik i kochaś, oddany wszelkiego rodzaju niemoralności i rozwiązłości. Naturalnie, wiedzieli o tym wszyscy i nie omieszkano poinformować także i mnie, ale zupełnie niepotrzebnie, gdyż już od pierwszej chwili wyczułem fetor, jaki emanował z jego duszy. Jako notariusz był bardzo ceniony i sam biskup często zwracał się do niego o pomoc. Powiedziano mi, że kiedy pewien nieostrożny mnich spróbował zganić go za zachowanie, chociaż uczynił to prywatnie, skończyło się to źle: notariusz wyjął nóż i tylko interwencja trzech mężczyzn, których przyciągnął dziki wrzask, ocaliła zakonnika.

Duch Święty objawił mi osobę notariusza. Odtąd za każdym razem, kiedy go spotykałem, witałem go z wielkim szacunkiem i czcią. Widziałem, jak czasami na końcu ulicy zmieniał kierunek, aby się ze mną nie spotkać, ale miasto było małe. W końcu stanął wściekły naprzeciwko mnie. Powiedział, że ma dosyć bycia przedmiotem żartów z mojej strony, że dobrze wie, iż mam sławę świętego i że z całą pewnością przekazano mi, kim

on jest. Krzyczał, że jak nie przestanę kłaniać mu się za każdym razem, któregoś dnia w końcu straci cierpliwość i marny będzie mój los. Dodał, że wystarczy jak popytam dokoła, abym zrozumiał, do czego jest zdolny.

Głęboki ból, jaki mnie ogarnął, musiał odmalować się na mojej twarzy, gdyż notariusz zauważył to i zdziwił się. Powiedziałem mu, że myślałem o różnych rzeczach, ale nie o tym, by sobie z niego kpić. Nakazałem mu, aby pomodlił się za mnie w dniu, w którym będzie mu dane zaświadczyć Chrystusowi swym męczeństwem przed niewiernym despotą. Dodałem, że zazdroszczę mu, gdyż ja też w swoim czasie szukałem łaski bycia męczennikiem, ale okazałem się niegodny tego. Ciągle mam przed oczyma niedowierzanie, zadziwienie i lekceważenie malujące się jednocześnie na jego twarzy. Widać było, że nie wiedział, czy śmiać się, czy wściec jeszcze bardziej. Odszedł bez pożegnania, złorzecząc.

Waldemar, biskup de Puy, do Antoniego, gwardiana braci mniejszych od Franciszka

Pozdrawiam.

Uznałem za rzecz słuszną poinformować Cię, że człowiek, którego znasz, nie żyje. Był członkiem delegacji, która towarzyszyła mi podczas podróży do Ziemi Świętej, której przyczynami i szczegółami nie będę Cię zanudzał, gdyż, jak wiem, są Ci znane.

Przebywaliśmy za morzem już od kilku tygodni, kiedy wydarzyło się to, o czym chcę Ci powiedzieć. Nikt nie wie, co wydarzyło się dokładnie, ale pewnego pięknego dnia zniknął i nie mogliśmy go znaleźć. Dopiero po kilku dniach poinformowano mnie, że jego ciało leżało w zbiorowym dole poza Jerozolimą, razem z innymi chrześcijanami zamęczonymi przez niewiernych. Zacząłem rozpytywać i dowiedziałem się, że bosy i ubrany w zgrzebny wór głosił Chrystusa w Świętym Mieście i że po aresztowaniu został doprowadzony przed oblicze kalifa. Ponieważ również tam nadal głosił prawdę chrześcijan, został poddany torturom przez trzy dni i w końcu zamordowany razem z innymi biednymi męczennikami.

Wiedziałem o kim mowa, stąd wielkie było moje zdziwienie. Najwyraźniej Pan musiał nim wstrząsnąć, jak uczynił to z Apostołem na drodze do Damaszku. Kto wie, może to kontakt ze Świętymi Miejscami sprawił, że się nawrócił. Ale tego nigdy się nie dowiemy.

Wiem, że jego ostatnie słowa były skierowane dla Ciebie. Zdaje się, że powiedział, że Ty przepowiedziałeś mu dokładnie taki koniec. Modlę się o jego duszę, Ty też to uczyń.

Ale może to ja potrzebuję Twojej modlitwy i jego wstawiennictwa przed tronem Boga. Pozdrawiam Cię.

W tych dniach przyszła do mnie pewna zacna dama. Od jakiegoś czasu pragnęła dziecka, ale nie mogła zajść w ciążę. Zwróciła się do mnie, abym dołączył się do jej modlitwy. W końcu Bóg wysłuchał ją i pragnęła podzielić się ze mną swoją radością. Trzeba wspomnieć, że nie była ona już pierwszej młodości i bardzo obawiała się o przebieg ciąży. Spojrzałem na jej brzuch i Duch Święty objawił mi wszystko o dziecku, które było w jej łonie. Miało przywdziać habit franciszkański i zostać świadkiem wiary wobec mahometan. Powiedziałem jej o tym i kobieta zalała się łzami z radości. Tak naprawdę zobaczyłem o wiele więcej, lecz to wszystko miało wydarzyć się dopiero wtedy, kiedy jej nie będzie już na tym świecie. Niepotrzebne więc byłoby obciążanie jej

ludzkiej wrażliwości szczegółami, które napawały radością mnie i tych, którym cenniejsze były drogi Boże niż ludzkie.

Nada mu imię Filip i pójdzie on śladami Franciszka. Wyjedzie na Wschód i dzięki swej żarliwości sprawi, że miasto Azot stanie się miejscem rozprzestrzeniania się wiary chrześcijańskiej. Jednakże to miasto i jego twierdza dostaną się w ręce niewiernych, którzy zmuszą mieszkańców do wyboru: przejście do Mahometa albo śmierć. Dzięki nauce brata Filipa nikt nie wyrzeknie się swojej wiary. Przybędzie męczenników w liczbie dwóch tysięcy. Dla brata Filip zostanie zarezerwowana największa chwała, bowiem zostanie torturowany i ścięty jako ostatni.

Nie mogłem tego wszystkiego powiedzieć tej biednej matce, należącej do licznej rzeszy tych, którzy od Opatrzności oczekują tylko długiego i dostatniego życia. Oczywiście, Opatrzność obdarowuje również ziemskimi dobrami tych, którzy o nie proszą, ale czasami wola Boża stanowi inaczej. Wiarę i zaufanie sprawdza się również w ten sposób; łatwo jest kochać Boga, kiedy obdarza nas dobrami, trudniej zaś nadal Go kochać, kiedy odbiera nam je albo ich odmawia. Ale Pana interesuje tylko prawdziwe życie, życie wieczne; życie tutejsze, ziemskie, nie jest niczym innym, jak tylko narzędziem, którym zdobywa się wieczność. Brat Filip będzie miał duży udział w Królestwie niebieskim, gdyż za nic miał swoje życie na tym świecie. Niewielką jego część odziedziczyłby, a może nawet wcale by do niego nie wszedł, gdyby wybrał życie bogatego szlachcica, na co pozwoliłby mu stan urodzenia. Lecz rzadko zdarzają się matki, które naśladują naszą Panienkę, która nie ulękła się nawet w obliczu przyszłego męczeństwa Syna.

Pomyślałem o smutnych chwilach, które przeżywało chrześcijaństwo, nadżerane od środka przez herezję i oblegane z zewnątrz przez niewiernych. Czyżby nigdy nie miało się to skończyć? Los jeszcze nie narodzonego brata Filipa miał spełnić się za trzydzieści lat. Fanatycy spod półksiężyca mają wtedy jeszcze być na tej ziemi i, mało tego, ich zagrożenie ma być jeszcze straszniejsze. Tak, zgodnie ze słowem naszego Pana, Kościół nie zazna spokoju aż do końca świata i trudne czasy są za i przed nami.

Rozmyślałem o mahometanach, tak różnych od hebrajczyków, którzy też nigdy nie kochali chrześcijan. Żydzi początkowo prześladowali tych, którzy według nich byli naśladowcami fałszywego Mesjasza, ale potem przywykli do życia pośród nich. Oni, szanując Stare Przymierze, na naszych oczach zaświadczają o Nowym, które ze Starego wyrasta. Zarówno Żydzi, jak i chrześcijanie rzadko stosowali przemoc wobec tych, którzy nie uznawali ich doktryn. W swoim czasie pierwszymi, którzy próbowali nawracać na judaizm byli prozelici. Żydzi z reguły uważają, że synowie Abrahama stają się nimi przez urodzenie i nie dbają zbytnio o to, by wprowadzić na swoje łono tych, którzy Żydami nie są. Chrześcijanie natomiast są synami Abrahama, ponieważ spożywają Ciało Chrystusa, który pochodzi z rodu Dawida i jest prawdziwym Królem Judei. Im zostało wyraźnie przykazane, aby przekonywali pogan, by stawali się dziećmi Abrahama przez chrzest. I chrześcijaństwo rozprzestrzeniało się przez słowo. Również synowie Mahometa uważają się za dzieci Abrahama, ale prowadzą ekspansję za pomocą miecza. W religii tej tkwi tajemnicza sprzeczność: wywodząc się z judaizmu i chrześcijaństwa, co podtrzymują sami muzułmanie, w rzeczywistości nie ma ona nic wspólnego tak z jedną,

jak i z drugą wiarą.

Poza tym powodem niezgody między Żydami a chrześcijanami jest tylko tożsamość Mesjasza; ci pierwsi uważają, że jeszcze nie przyszedł, drudzy wierzą, że jest nim Jezus z Nazaretu i On jest Bogiem. Islam natomiast nie wierzy w Mesjasza tylko w proroków i uznaje ostatniego spośród nich – Mahometa. Wyznawcy islamu mówią, że wielką wagę przywiązują do pism, ale tak naprawdę cenią tylko jedną jedyną księgę – tę którą nazywają *Qu'ran*. W księdze tej, o ile mi wiadomo, znajduje się wiele twierdzeń podobnych do dawnej herezji ariańskiej; pojawia się tam również często zachęta do przemocy na przemian z zaleceniem łaskawości i miłosierdzia. Owoce tej doktryny są takie, jakie widać: nieustanne zbrojne podboje, obrazoburstwo i zniewolenie podległych narodów. Chrześcijanie i Żydzi mogą liczyć na „protekcję" nowych władców pod warunkiem, że za nią zapłacą; muzułmanom raczej nie zależy, by podbite ludy nawracały się na ich religię, ponieważ wówczas nabyłyby wszystkim praw przysługującym wyznawcom Mahometa i nie musiałyby już za ową „protekcję" płacić. Wydaje mi się, że tylko w okolicznościach wyjątkowych, kiedy sytuacja wojenna nie zezwala brać niewolników, pokonani stawiani są wobec wyboru między nawróceniem a śmiercią. Zaskakująca jest również łatwość, z jaką można zostać muzułmaninem: wystarczy wyrecytować odpowiednią formułę przed dwoma świadkami. Jednocześnie porzucenie islamu jest niemożliwe, gdyż na odstępców czeka śmierć.

Wielokrotnie prosiłem Ducha Świętego, abym mógł to wszystko zrozumieć, ale On wskazał mi tylko fragment Pisma Świętego, w którym zawarta jest zapowiedź nadejścia islamu. W *Księdze Rodzaju* znalazłem takie słowa: „Rozmnożę twoje potomstwo tak bardzo, że nie będzie można go policzyć. Jesteś brzemienna i urodzisz syna. Nadasz mu imię Izmael, bo słyszał Pan, gdy byłaś upokorzona. A będzie to człowiek dziki, będzie on walczył przeciwko wszystkim i wszyscy przeciwko niemu; będzie on utrapieniem swych pobratymców"[11]. Tak rzekł Anioł Pański do Hagar, niewolnicy egipskiej, z której Abraham miał syna, Izmaela, uznawanego przez Arabów za swego praojca.

Duch Święty objawił mi też, że nadejdzie czas, kiedy ludzie wychowani w wierze Chrystusa i obdarzeni dobrem przez chrześcijaństwo odrzucą jego słodkie jarzmo i lekkie brzemię jako ciężar nie do zniesienia.

Zachowaj Boże, by mieli wziąć na siebie o wiele cięższe jarzmo Allaha.

[11] Zob. Rdz 16,10-12 [przyp. tłum.].

7.

Kiedy w dzień świętego Michała roku następnego w Arles obchodzono kapitułę prowincji, obecny był tam minister prowincji z Florencji, brat Jan Bonelli, który przydzielił mi zadanie wygłoszenia do wszystkich zebranych braci kazania z napomnieniem. Właśnie mówiłem o Jezusie Nazareńczyku Królu Żydowskim, kiedy nasz współbrat Monaldo, o którym wiedziałem, że był prawdziwie człowiekiem Bożym, pod wyraźnym wpływem wewnętrznego impulsu, zwrócił się w stronę wejścia do sali, w której się znajdowaliśmy i ujrzał naszego wspólnego ojca Franciszka. Krzyknął ze zdumienia i powiedział, że był tam Franciszek, stał w drzwiach, uniesiony nad ziemią z rozwartymi ramionami i błogosławił nas.

Pozostali nic nie widzieli, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że dokładnie w tym samym momencie jakaś wzruszająca słodycz przepełniła ich dusze. Nikt nie wątpił, że Franciszek był tam naprawdę i że tylko jeden, najpokorniejszy i najprostszy z braci, dostąpił łaski ujrzenia go. Gdy wszyscy niezwykle podekscytowani dzielili się wrażeniami, z początku nie było wiadomo, czy pocieszenie, którego doświadczyliśmy było takie samo u wszystkich. Niektórzy bracia zwrócili się do mnie z pytaniem, czy ja również widziałem to, co Monaldo. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że niczego nie widziałem oczyma, ale zapewniłem ich, że Franciszek przybył do nas naprawdę.

Tak, rzeczywiście przyszedł i ja wiedziałem dlaczego. Dowiedzieli się o tym wkrótce również pozostali bracia, kiedy dotarła do nas wiadomość o śmierci Franciszka. Nasz ojciec i brat chciał nas pożegnać, zanim odszedł, by przygotować dla nas miejsce w niebie.

Podczas kapituły zostałem wybrany opiekunem Limousin. W ten sposób zwiększyła się odpowiedzialność spoczywająca na moich barkach: od gwardiana jednego zakonu do przełożonego całego regionu.

Nieco wcześniej zmarł król Ludwik i groźba wojny oddaliła się. W zaistniałej sytuacji względnego spokoju otworzyła się możliwość założenia kilku naszych nowych zakonów w Limousin, gdzie benedyktyni z San Martino podarowali nam teren. Nie po raz pierwszy bogaci synowie Benedykta pomagali ubogim synom Franciszka; to wszak oni przekazali naszemu ojcu malutki kościółek Matki Bożej Anielskiej w Asyżu.

Przeniosłem się do miasta Limoges, gdzie miałem nauczać. Ponieważ ludzie zebrali się na wielkim cmentarzu św. Pawła, jako temat kazania wybrałem fragment z Pisma, w którym jest mowa o tym, że po płaczu wieczorem przychodzi radość poranka [zob. Ps 30,6 – przyp. tłum.]; wśród zmarłych i tych, którzy przychodzili ich opłakiwać mówiłem o raju.

Wielu kaznodziejów woli mówić o wiecznej karze dla potępionych. Jest to dobre, gdyż początkiem nawrócenia wielu świętych był zdrowy strach przed piekłem. Nieważne, że wizja piekła pojawiła się tylko we śnie, ważne, że wzbudzony lęk stał się decydującym i warunkującym bodźcem do nawrócenia. Ale dobrze jest też pokazywać drugą stronę sprawiedliwości Bożej: miłosierdzie i wieczną nagrodę, bo nie można wychować dzieci tylko za pomocą kija i gróźb. Aby mówić o raju w sposób przekonujący, należy w jakimś sensie doświadczyć go już tutaj. Jedynie kaznodzieja, który osiągnął wysoki stopień

dojrzałości duchowej może mówić o tym skutecznie.

Muszę jednak natychmiast przestać wspominać o tych sprawach, gdyż ty, Kusicielu, zawsze jesteś gotowy, by wzniecać próżność i samouwielbienie. Nie, nie poddam się tobie. Wiem dobrze, że bez Niego nic nie mogę zrobić i nigdy nie mogłem. Jemu, i tylko Jemu, wszelka zasługa i chwała. Ja byłem tylko jąkającym się i niedoskonałym heroldem, potrzebującym miłosierdzia dla swych niedostatków i z tego miłosierdzia czerpałem niezliczone łaski, które zostały mi dane.

Zygmunt, opat Solignac, do współbrata i kompana Rainalda

Pozdrawiam Cię.

Napisałeś mi o cudach, które wydarzyły się w Limoges za sprawą owego franciszkanina, Antoniego, któremu podarowałeś część Twojego terenu, by otworzył tam dom. Zrobiło na mnie wielkie wrażenie, to, o czym piszesz na temat kazania wygłoszonego na wielkim placu rynku, zwanym Cava dell'Arena. Pozostali, którzy byli obecni, potwierdzili mi, że rozszalała się potworna burza nad miastem, dokładnie wtedy, kiedy przemawiał Antoni. Podejrzewam, że było to dzieło szatana, gdyż w tym miejscu, jak wiesz, znajdował się cyrk, w którym antyczni poganie uczestniczyli w igrzyskach śmierci. Ten brat musi doprawdy być ulubieńcem Boga i w porozumieniu z Duchem Świętym, skoro mógł uprzedzić tłum już przy pierwszych kroplach. Powiedział, by ludzie nie ruszali się stamtąd, jeśli nie chcą przemoknąć, a potem okazało się, że mówił prawdę, gdyż burza rozszalała się nad całym miastem i przyległą wsią, omijając tylko ten plac.

Ale teraz pragnę powiedzieć Ci o Antonim coś, czego nie wiesz. Antoni był u nas, na krótko zanim przyszedł do Was. My również mogliśmy go gościć, ponieważ być może z powodu zbyt marnego materiału, z jakiego wykonany był worek, który w jego zakonie stanowi ubranie, nabawił się poważnego przeziębienia. Udzieliłem mu schronienia w naszej izbie chorych i powierzyłem go opiece jednego z moich mnichów. I to właśnie on opowiedział mi, co się wydarzyło. Otóż od dłuższego czasu nawiedzały go pewne pokusy, których przez źle pojęty wstyd nie ośmielił się nawet wyznać. Chociaż nawet nie otworzył ust, Antoni, wymienił je jedną po drugiej. Mnich wybuchnął płaczem i potwierdził wszystko, nawet swoją desperację, ponieważ nie był w stanie uwolnić się od tego. Wówczas Antoni, który leżał rozebrany, poprosił, aby ten założył jego habit. Początkowo oniemiał ze zdziwienia, ale wkrótce przekonany łagodnością chorego zrobił to, o co go poprosił. I pokusy zniknęły w cudowny sposób.

Sam więc widzisz, że na wyciągnięcie dłoni mamy świętego człowieka, gdyż Bóg jest z nim. Pozostań w zdrowiu.

Ten biedny młodzieniec od mnichów czarnych z Solignac pozostał z otwartymi ustami, kiedy opisałem mu szczegółowo jego koszmar. Rzucił się na kolana, czyniąc znak krzyża jak przed jakimś świętym.

Jeśli o mnie chodzi, nie musiałem niepokoić Ducha Świętego, aby zauważyć, że tym, co go trapiło był brak kobiety. Dobrze znałem tę pokusę, gdyż ja sam zmagałem się z tym problemem do około dwudziestego roku życia i musiałem przywdziać włośnicę, by stawić mu czoła. Niektórym wyświęconym ta pokusa objawia się we właściwym czasie, kiedy są jeszcze niezdecydowani czy wybrać stan duchowny, czy nie. Inni dostrzegają, że to pragnienie pojawia się w nich później, po dokonaniu wyboru, kiedy nie mogą się już

wycofać. Ale to nic innego jak tylko szkodliwe działanie Przeciwnika. Istotnie, nie ma to nic wspólnego z błędem w wyborze pomiędzy małżeństwem a życiem konsekrowanym. To, co jawi się wówczas w umyśle, to obraz wyidealizowany, bardziej abstrakcyjny niż rzeczywisty. Czasami, i to jest gorsze, nie chodzi tylko o zwykły bodziec cielesny, ale o zauroczenie słodyczą, delikatnością, pięknem spojrzenia, o rozmarzone oczy, czułe słówka, łagodny głos. Zło i jego słudzy przenikają do głowy za pomocą tego samego sposobu – uwodzenia. I udaje im się sprawić, że uwodzenie staje się uwodzicielskie. Człowiek kuszony w taki sposób czuje się nagle w centrum wszechświata, który składa się jedynie z dwóch bytów, odczuwa bardzo mocno potrzebę bycia adorowanym w sposób wyjątkowy. W takiej chwili nie rozumie nic więcej, nie rozumie, że staje się przedmiotem odwiecznej pokusy, tej, którą starożytny Wąż sączył do serca naszym nieszczęsnym prarodzicom: „...będziecie jak bogowie...". Człowiek stworzony na podobieństwo Boga i przeznaczony na to, by być Jego dzieckiem nie ustaje w dążeniu do Boskiej doskonałości i niewiele trzeba, aby rozbudzić w nim pragnienie bycia uwielbianym. Ale dopóki istnieje w postaci ludzkiej, ma tylko jedną drogę by wejść w posiadanie Bożego dziedzictwa; wskazał ją Zbawiciel i jest to droga przez krzyż.

Wiedziałem dobrze, jak to jest, kiedy pojawia się demon południa i nie chce zostawić swej ofiary. Gdy człowiek pozwoli mu się omotać, to tak jakby rzucił się w chaos. Bóg chciał, aby ludzie uczestniczyli w pewien sposób w Jego radości dawania życia i dlatego płciowość zawsze wiąże się z przyjemnością. Ale również tutaj skutki Upadku dosięgają nawet małżonków. *Semper tristis animal post coitum* [12] – mówili nasi wielcy. Kto pozwala się temu zwodzić, zawsze źle kończy. Rozczarowanie, niechciane ciąże, niezadowolenie, frustracje, poczucie winy, wyrzuty sumienia, zazdrość. A także spory, rozstania, aborcje, porzucone dzieci oraz nieszczęścia, które przechodzą na całe rodziny: nienawiść, zemsta, cierpienie bez końca.

Wiem, że istnieją konkubinaty, które nie poddały się hipokryzji. Owszem, być może oni uniknęli nieszczęść, które wymieniłem, ale za cenę nadużycia i umniejszenia swojej roli, bowiem człowiek Boży nie może być dla kogoś, gdyż musi być dla wszystkich. Modlitwa i pokuta, modlitwa i pokuta – jak uczynił Franciszek, który kiedy był w ten sposób kuszony, rzucił się nagi na śnieg. Prędzej czy później spokój wróci. Ten nieszczęsny benedyktyn potrzebował jednak pomocy. Dlatego w Bożym planie jego droga skrzyżowała się z drogą Antoniego.

Ty, Potępieńcu, próbowałeś kusić mnie, bym nie przyjął niespodziewanej przeszkody, jaką była moja nieszczęsna choroba, która mnie dotknęła. Zostałem zwyczajnie zmuszony – tak chciałeś, żebym myślał – abym się zatrzymał i zobaczył, jak w niwecz obracają się moje najbliższe plany. Wszystko, co miałem zamiar zrobić, musiałem odłożyć na później. Osoby, które miałem spotkać oczekiwały mnie nadaremno. Myśli, które pilnie chciałem przelać na papier zdawały się rozmywać w pamięci. Lecz ja wiedziałem, że rezygnacja z własnych zamierzeń wobec woli Bożej – nawet jeśli wydaje się ona przedziwna, despotyczna i kapryśna – była dla mnie zawsze rodzajem nabytej *formy umysłu* i nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Zgodnie z Bożym zamysłem ta niespodziewana przeszkoda podczas mojej wędrówki sprawiła, że spotkałem tego mnicha. Reszta miała ułożyć się sama. Albo nie

ułożyć się nigdy. Z drugiej strony, kimże byłem ja, sługa, by mówić Panu, w jaki sposób i w jakim czasie mają dokonać się Jego dzieła?

Był to jedyny przypadek kiedy ty, Przeklęty, objawiałeś się ze swoimi grzesznymi fascynacjami ludziom, którzy byli, w taki czy inny sposób, słabsi ode mnie i mniej wprawieni w rozpoznawaniu ciebie.

Oczywiście, czasami igrałeś ze mną w sposób bezpośredni; innym razem osaczałeś tych, którzy byli wokół mnie. Pamiętam tego nowicjusza, tak pełnego entuzjazmu, który z dnia na dzień stał się ponury, zasmucony, poirytowany. Znałem te objawy. U niektórych stanowią wyraźny znak nieprawdziwości powołania i dobrze, jeśli ich nauczyciel doradzi im, by wracali do świata. Lecz u niektórych tak nie jest, tylko ty, Zły Duchu, ukazujesz im wokół same trudności i przedstawiasz je jako niemożliwe do pokonania. W takich okolicznościach potrzeba kogoś więcej niż mistrza, potrzebny jest ktoś, kto cię zna. Ten nowicjusz miał prawdziwe powołanie; dlatego zawołałem go pewnego dnia na stronę i wziąłem jego głowę między swe dłonie. Patrzył na mnie zdziwiony i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Delikatnie dmuchnąłem mu w twarz jak uczynił to nasz Pan Apostołom i powtórzyłem Boskie słowa: „Weźmij Ducha Świętego". Zobaczyłem, że jego usta rozchylają się w błogosławionym uśmiechu, a w oczach pojawiają się dwa płomyki. Spytał mnie, skąd wiedziałem. Odpowiedziałem mu, że mam w tym doświadczenie.

Ależ to okropne widzieć, jak bardzo małostkowy potrafisz być, o Wzgardzony, jak bardzo potrafisz uczepić się najmniejszego drobiazgu, jak bardzo jesteś zadowolony z choćby najmniejszej złośliwości, kiedy nie uda ci się zrobić nic więcej. Pewnego razu uciekłeś się wręcz do fantasmagorii tylko po to, aby przestraszyć moich współbraci i zniechęcić ich do skupienia się. Pamiętam, że zdarzyło się to po komplecie. Jak zwykle trwałem zagłębiony w modlitwie, podczas gdy bracia rozchodzili się z oratorium do swoich cel. Wrócili do mnie wszyscy przerażeni, rozpraszając i wytrącając mnie ze stanu koncentracji. W jednym z okien w świetle księżyca zauważyli czarne postacie szaleńców, zamierzających zniszczyć pole naszego dobroczyńcy. Postacie te deptały ledwo co wyrośnięte łodygi, wyrywały korzenie, miażdżyły ziemię. Było ich tak wiele, że straty byłyby przeogromne. Należało powiadomić właściciela, ale trzeba było przejść przez to pole i spotkać się z napastnikami. Ale nawet gdyby udało się przejść, to zanim zdołałby on zebrać na pomoc swoich pracowników, i tak byłoby za późno. Nie było innego wyjścia, jak tylko tymczasowo się poddać i postarać się rozpoznać któregoś z mężczyzn, aby później ich ukarać. Oczywiście, ponieważ to ja byłem przełożonym, potrzebna była moja zgoda.

Wysłuchałem ich cierpliwie, po czym zapytałem, czy słyszeli jakieś głosy, hałas. Odpowiedzieli, że nie. Zwróciłem uwagę, że pole było blisko i nie można przecież zniszczyć całej uprawy bez najmniejszego szelestu. Zmartwili się i przyznali, że miałem rację i że w chwilowym uniesieniu nie uświadomili sobie, że przerażająca scena, której byli świadkami rozgrywała się w absolutnej ciszy. Odesłałem ich na spoczynek, zapewniając, że była to jedynie wizja zesłana przez Przeciwnika, który chciał ich zaniepokoić i sprawić, by spędzili bezsenną noc. Przyzwyczajeni do bezwzględnego posłuszeństwa spokojnie udali się do swoich cel.

Następnego dnia, jak tylko reguła zezwoliła im odezwać się, przybiegli, aby

powiedzieć mi, że w świetle dnia pole wydaje się być nietknięte. Na ich twarzach malowało się wielkie zdziwienie. Uklęknęli, abym ich pobłogosławił, a ja skorzystałem z okazji, aby upomnieć ich, by dbali o wewnętrzny pokój.

Poza Limoges, w pobliżu miejsca zwanego Brive, znalazłem odludny i przepiękny teren. Była tam woda, słodka cisza, świeże powietrze i dużo zieleni. Zawsze kochałem samotność i tak jak Chrystus często odczuwałem potrzebę odejścia na bok, by lepiej usłyszeć głos Boga. On oczywiście może ukazać się jak i kiedy chce, ale zazwyczaj, jak mówi Pismo, jest obecny nie w grzmocie i ogniu, lecz w delikatnym powiewie. Potrzeba oddalenia się od zgiełku ludzkiego była czasami tak silna, że kosztowało mnie sporo wysiłku, aby odłożyć ją na bardziej sprzyjający czas. Bliźniego swego kochałem jak siebie samego, ale Boga kochałem bardziej niż siebie, gdyż On, w odróżnieniu od ludzi, nie bierze, lecz daje. Człowiek, nawet najlepszy spośród ludzi, dopóki stąpa po ziemi, nosi ciężar grzechu pierworodnego, który czyni go istotą słabą. Kiedy spotka kogoś, kto jest bliżej Boga niż on, przyczepia się do niego niczym pijawka i im większe jest jego pragnienie Boga, tym bardziej obarcza tamtego swoimi oczekiwaniami. Inny znów, starając się postępować jak Bóg, który z definicji jest Altruistą, bez Boskiej pomocy nie uniósłby długo ciężaru, który musi dźwigać, ciężaru swojego i coraz większego ciężaru innych ludzi. On również potrzebuje równowagi wewnętrznej, czegoś dla swojej osobistej wrażliwości i gdyby nie naśladował Chrystusa, także w oddalaniu się do miejsc samotnych, by otrzymać siłę od Ojca, szybko by się pogubił. Czasami zdarzało mi się pomyśleć, że być może byłoby lepiej położyć kres wygnaniu na tej ziemi. Ale każdy człowiek ma swoją misję do spełnienia, zadanie, od którego ucieczka jest grzechem ciężkim. Jak mówi Ewangelia, sługa najpierw nakrywa stół i służy swemu panu podczas posiłku, a dopiero potem on też może zjeść.

Wiele było pokut, którym się poddawałem, aby ujarzmić moje ciało i uczynić je w mniejszym stopniu niewolnikiem przyzwyczajeń i potrzeb, a bardziej gotowym i wprawionym do wypełniania poleceń Ducha Świętego. Ale ćwiczenia, które ja sobie wybierałem miały charakter ascetyczny.

Znosić bliźniego – oto prawdziwa pokuta. Znaleźć w sobie cierpliwość wobec ludzi upartych, czasami mało inteligentnych; wobec charakterów i temperamentów napastliwych; wobec błądzących; wobec tych, którzy na skutek przyzwyczajenia do grzechu stają się całkowicie ślepi i zezwierzęceni; wobec aroganckich władców; wobec wielu gnuśnych, którzy nie są przyzwyczajeni do posłuszeństwa – to była najcięższa pokuta dla rybaka ludzi.

Dlatego z radością przyjąłem możliwość wycofania się w jakieś samotne, ustronne, trudno dostępne miejsce, gdzie mógłbym cieszyć się towarzystwem Jedynego, który nigdy nie zawiedzie. Jest też prawdą, że czasami zjawiałeś się i ty, Przeklęty, zamiast Tego, którego pragnąłem. Lecz moim chlebem była wola Boża, której częścią w pewien sposób jesteś także ty. Czasami nasz chleb powszedni jest gorzki, ale zawsze sycący, gdyż pochodzi od Boga. Jeśli Bóg chce widzieć mnie w radości, niech będzie błogosławiony; jeśli chce widzieć mnie w udręce, również niech będzie błogosławiony.

Muszę przyznać, że nierzadko Duch Święty popychał mnie ku miejscom samotnym również dlatego, bym mógł stawić czoła tobie, Podstępny, jak uczynił to Chrystus na

pustyni.

Zawodnicy Boga muszą być przygotowani do walki nie tyle cielesnej, co duchowej, jak naucza Apostoł. To właśnie od duchów powietrznych pochodzi oszczerstwo rzucane na Stwórcę: skoro Bóg jest dobry, tak jak mówi, dlaczego my, dzieci Adama, jesteśmy tacy strapieni? Tym pytaniem przepełnione są od zawsze nasze uszy, a diabeł nieustannie podsyca w nas nieufność i rozpacz, ukazując nam Boga nigdy nienasyconego ludzkim cierpieniem, Boga, który nie przerywa – chociaż może – naszych udręk, a ponadto obstaje przy niezrozumiałej drodze, drodze przez krzyż i śmierć.

Zawodnik Boży, który wbrew ludzkiej logice zaufał Stwórcy, na podobieństwo Chrystusa jest prowadzony krok po kroku do zwycięstwa nad demonami. W ten sposób staje się istotą pozbawioną lęku, gotową stracić nawet życie, gdyż jest świadomy, że może je odzyskać.

Czyniąc znaki, sam staje się znakiem; w ten sposób ludzkość może wzrastać otoczona znakami Boga, które przypominają pokoleniom, że On istnieje i że to, co powiedział w Piśmie jest prawdą. Kto chce, może twierdzić, że ten świat nie ma takiego znaczenia, jakie mu się nadaje i że prawdziwym życiem, jest życie wieczne. Kto szuka dowodów, może popatrzeć na prawdziwy znak, na zawodnika Bożego. Uczeń zdobywa wiedzę, przechodząc stopniowo od rzeczy najprostszych do bardziej złożonych i ciągle musi stawiać czoła zadaniom coraz trudniejszym, aby stać się mistrzem. Potem sam naucza i ma pod sobą takich, którzy zatrzymają się przy prostym zadaniu, takich, którzy zajdą dalej i takich, którzy w swoim czasie zostaną mistrzami. Kto wprowadza w swoje życie naukę Mistrza, stanie się jak On, który nauczał, uzdrawiał, przepędzał demony. Ale zanim Chrystus podjął się swojej misji, stanął w bezpośrednim starciu z Przeciwnikiem.

Również mnie, podobnie jak Franciszkowi i wszystkim naśladowcom Chrystusa, przypadło w udziale stoczyć tę walkę. Nie wycofałem się. Bałem się, o tak, przeraźliwie się bałem, ale wiedziałem, że lęk jest jedną z twoich ulubionych broni, Przeklęty, i że z całą pewnością nie szedłem w szranki sam. Skoro Duch mnie prowadził, mogłem pewnie podążać ku zwycięstwu. Potem przychodziło pewne pocieszenie. Za każdym razem coraz większe. I nie ma słów, którymi można by je wyrazić. Nawet Antoni ich nie znajduje.

Naturalnie, idylla w Brive trwała krótko, ponieważ w zakonie czekały na mnie konkretne zadania. Jako że zawsze musiałem zostawić wiadomość, gdzie można mnie znaleźć, zostałem stamtąd wezwany. Było więc konieczne założenie klasztoru również tam.

Zresztą to była moja praca.

Beatrice Lapardieu do Blanki

Pozdrawiam.

Ukochana Siostro, teraz, kiedy burza już się uciszyła i niebo znowu zajaśniało nade mną, mogę opowiedzieć Ci, co mi się przydarzyło. Nie pisałam Ci o tym wcześniej, aby nie martwić Cię bardziej, mając na względzie troski, które spoczywają na Tobie. Obawiałam się, nawet nie próbuj sobie wyobrazić jak bardzo, wściekłości naszego brata, który mógłby popełnić fałszywy krok, gdyby się o tym dowiedział. Ty ani on nigdy nie patrzyliście łaskawym okiem na moje małżeństwo z Emilem, gdyż sądziliście, że jest

gwałtowny i kłótliwy. Jednak ja widziałam w nim mężczyznę zakochanego we mnie i liczyłam na miłość, dzięki której budowałam z nim szczęśliwe małżeństwo.

Pokochałam go od pierwszej chwili i nigdy nawet nie pomyślałam, aby go skrzywdzić. Lecz w ostatnich miesiącach zachowywał się tak, jakby diabeł nim zawładnął i nawet płacz naszych dzieci nie mógł go powstrzymać, kiedy wpadał w furię.

Musisz wiedzieć, że od jakiegoś czasu przebywa w naszym mieście ten znany brat z Portugalii, Antoni, wielki mówca i człowiek wielkiej świętości. Ja, jako że już wcześniej zanosiłam jałmużnę do klasztoru franciszkanów, zaczęłam wypytywać o niego, aby móc z nim porozmawiać. Jego obecność dawała mi tyle spokoju, jego słowa przynosiły takie ukojenie, jak nigdy, Siostro moja, że musiałam tam pójść. Pewnego dnia wróciłam do domu bardzo późno, co spowodowało kłótnię. Była to tylko jedna z wielu awantur, które za każdym razem kończyły się gorzej. Emil, ofiara zazdrości, na początku nic nie mówił, ponieważ poznał tego brata i wiedział, że wszyscy darzą go wielkim szacunkiem. Lecz wyraźnie wzbierała się w nim zazdrość, również dlatego, że Antoni jest młody i inteligentny.

Od tamtej pory nie miałam już spokoju. Gdy tylko wystawiałam nos z domu, zaraz było twarde przesłuchanie. Zabronił mi chodzić do klasztoru, a nasze pieniądze trzymał pod kluczem, abym nie mogła zanieść jałmużny. Ale to nie wystarczyło, by położyć kres ciągłym kłótniom. Na nic się zdała nawet moja uległość. Ponieważ nie mogłam już dłużej tego znieść, ośmieliłam się wykrzyczeć mu, że zwariował, że nigdy go nie zdradziłam, że między tym świętym człowiekiem a mną nigdy do niczego nie doszło. Do tej pory nigdy nie postąpił niegodnie, ale tym razem kompletnie zaślepiony wściekłością złapał mnie za włosy i zaciągnął do pokoju, potem wyciągnął sztylet i podniósł rękę, aby poderżnąć mi gardło.

W tym momencie stał się pierwszy cud: jego ramię opadło i nie był w stanie nim poruszyć; ręka zwisała i zwiotczała, palce bez czucia nie mogły utrzymać broni, która upadła na podłogę. Patrzył zdziwiony na swoje bezwładne ramię, puścił moje włosy, aby ścisnąć rękę i osunął się na krzesło. Ja, na wpół oszołomiona, instynktownie usiłowałam się pozbierać i zauważyłam, że głowa mi krwawiła. Tak, w swym szale wyrwał mi kawałek skóry z włosami, który teraz leżał u mych stóp. Byłam tak obolała, że nie czułam nawet pieczenia, ani nie usłyszałam zamieszania na schodach i otwierających się drzwi. Kiedy podniosłam oczy, zobaczyłam Antoniego, którego pobiegło zawołać jedno z naszych dzieci. Musiał natychmiast przybiec, bo chociaż straciłam poczucie czasu, nie mogło upłynąć zbyt wiele chwil od momentu, kiedy wydarzyło się to, co się wydarzyło.

Zakonnik natychmiast zrozumiał, co zaszło i zwrócił się do Emila. Nie podnosząc głosu, powiedział mu, aby zastanowił się nad tym, co uczynił i do czego doprowadziłaby zazdrość, gdyby Bóg na czas go nie powstrzymał. Powiedział mu, że jest głupcem i że niemal pozwolił, aby jeden z najbardziej idiotycznych grzechów uczynił z niego zabójcę, zasługującego na szubienicę. Powiedział mu, że jego egoizm doszedł do takiego stopnia, że przesłonił mu miłość do własnych dzieci, która jest naturalna nawet u zwierząt; nie miało dla niego znaczenia, że w istocie uczyniłby z nich sieroty naznaczone na zawsze jako potomstwo bandyty. I cudzołożnicy, gdyż, gdybym została zabita, podejrzenie o zdradę nigdy nie zostałoby wymazane z pamięci mieszkańców. Powiedział mu, że cały

ten szlam spłynąłby też na braci mniejszych, którzy dopiero co założyli swoje gniazdo w tym mieście. Powiedział mu też wiele innych rzeczy aż bałam się, że Emil może skierować swoją wściekłość przeciwko niemu. Ale ku mojemu ogromnemu zdziwieniu wyglądał jak zbity pies; miał oczy spuszczone przez cały czas, kiedy Antoni udzielał mu reprymendy.

Znasz Emila. Musiałabyś go zobaczyć przed tym bratem, który nie sięga mu nawet do ramion. Wstał zmieszany i ze łzami w oczach, tak, właśnie on, Emil. Zrobił niepewnie krok w moją stronę, po czym podbiegł do mnie, by mnie objąć i błagać o przebaczenie. Powinnaś tu być, droga Siostro. Padł na kolana, całował moje dłonie, ubranie, łapał się za głowę. Nie miałam serca odepchnąć go, tak rozbitego i sponiewieranego. Podniosłam go i przytrzymałam blisko, a tymczasem Antoni nakazał nam, abyśmy oboje stawili się nazajutrz na sumie. Nadeszły dzieci i wszyscy objęliśmy się, płacząc ze szczęścia, że mogliśmy zobaczyć naszą rodzinę w takim spokoju. Kiedy Antoni wychodził, już w drzwiach powiedział Emilowi ostatnią rzecz: aby wziął do kościoła włosy, które mi wyrwał – będzie to jego publiczna pokuta. Droga Siostro, niemal zapomniałam powiedzieć Ci, że odzyskał władzę w ramieniu w momencie, kiedy Antoni chwycił go za nie, udzielając mu nagany.

Trzeci cud wydarzył się w kościele. Antoni zamiast głosić kazanie, opowiedział wszystkim, co się stało i posłużył się tym przykładem, by przestrzec przed tymi przywarami, którym pozwalamy w nas rosnąć zamiast wyrwać je natychmiast, jak tylko je sobie uświadomimy. Potem, aby pokazać, że upomnienie pochodziło nie od niego, ale od Boga, nakazał Emilowi zwrócić mi włosy. Emil, który nieśmiało posłuchał nakazu, wyjął je z torby i podał mi. Spojrzałam w kierunku Antoniego, który uczynił znak głową. Zrozumiałam – nie pytaj mnie w jaki sposób – że miałam odkryć głowę i przyłożyć to, co zostało mi wyrwane na swoje miejsce. Uczyniłam to i w tym samym momencie poczułam rodzaj ciepła pochodzącego ze zranionego miejsca i promieniującego się na całe ciało. Tak, ten wielki pukiel przywarł do rozdartej skóry. Na mój okrzyk zdziwienia, wszyscy stanęli wokół mnie, wszyscy chcieli dotknąć mojej głowy i wszyscy mówili alleluja *i inne podobne rzeczy. Ja, z otwartymi ustami, otoczona tłumem, szukałam wzrokiem mojego mężczyznę i ujrzałam go. Klęczał przy ołtarzu u stóp Antoniego, wziął jego rękę i położył ją sobie mocno na głowie.*

Daremno Ci mówić, droga Siostro, że teraz nasze życie zmieniło się na lepsze, jak sama możesz się domyślić. Ja, Emil i dzieci chodzimy przynajmniej raz w tygodniu do klasztoru. Emil udostępnił nieodpłatnie braciom jednego ze swoich pracowników do każdej pracy, do jakiej będzie im potrzebny. Przyjedź nas odwiedzić, nie poznasz mojego męża.

Miej się dobrze.

Cierpliwość wobec ludzi zatwardziałego serca, cierpliwość wobec ludzi małej wiary, cierpliwość wobec wszystkich. Jednak jakże ciężko czasami było ją zachować. Pamiętam pewną kobietę, której musiałem trzykrotnie powtarzać to samo zdanie, gdyż nie była w stanie uwierzyć, że Bóg jest wszechmogący. Głosiłem słowo Boże nie pamiętam już w jakiej mieścinie, gdzie zebrali się wszyscy, aby mnie słuchać. Przyszła także ona, ale zostawiła swoje niemowlę samo w domu, w kołysce. Jakże wielka

nieostrożność. Trudno powiedzieć, czy pociągało ją słowo Boże, czy jedynie ciekawość spotkania ze znanym kaznodzieją. Po powrocie znalazła swoje maleństwo martwe, zaduszone przez kołdry. Krzycząc, wróciła na plac i zaczęła złorzeczyć Bogu i mnie, jakby to była wina moja i Boga. Ale Bóg jest miłosierny i ja też zachowałem cierpliwość.

W sytuacji, w jakiej się znalazła rozdarte było jej matczyne serce, a także umysł. Kiedy tak krzyczała, oprócz bólu po stracie dziecka wyczytałem z jej twarzy również lęk przed gniewem męża, kiedy dowie się o tragedii, przed pełnymi potępienia spojrzeniami, które odtąd miały prześladować wyrodną matkę, a w końcu przed wyrzutami sumienia. Zszedłem ze sceny i zbliżyłem się do niej. Powiedziałem jej, aby wróciła do domu, ponieważ Pan jest przy niej. Musiałem powiedzieć jej to trzy razy, zanim zdecydowała się mi uwierzyć. Patrzyła na mnie na poły z nadzieją, na poły z niedowierzaniem, potem odwróciła się i zachęcana przez postronnych, pobiegła w stronę domu. W krótkim czasie zostałem sam na placu, gdyż wszyscy udali się za nią. Skorzystałem z tego, aby zwrócić się do mojego współbrata, który mi towarzyszył i dałem mu znak, że możemy wracać. Powiedziałem mu, że dziecko jest zdrowe i ruszyliśmy w drogę. Biedny brat Paweł, taki uległy i posłuszny. Nie otworzył ust przez całą podróż.

„Jeśli znaków i cudów nie zobaczycie, nie uwierzycie" powiedział ze smutkiem Jezus Chrystus do ojca, który prosił Go o ratunek dla swego umierającego dziecka. Był zwierzchnikiem synagogi i z pewnością faryzeusze ostrzegli go przed tym Nazareńczykiem, który nazywał siebie Mesjaszem. Ale gorycz była silniejsza od niego i gotów był udać się do szarlatana, byleby tylko zobaczyć swoje dziecko żywe. Jezus miał moment ludzkiego wyczerpania: stał przed nim człowiek pobożny, ten, który przewodniczył sobotniej modlitwie w synagodze. Cierpliwość wobec prostaczków – tak!, ale on przecież znał Pismo, posiadał wszelkie narzędzia, aby rozpoznać Mesjasza! A jednak nie, kierował nim jedynie strach i wszystko o co prosił, to cud.

I mnie ogarniało to samo zmęczenie, kiedy zastawałem pełne place i kościoły, wypełnione już od świtu, a nawet od dnia poprzedniego, na samą tylko wieść, że to ja przybędę. Wielu przychodziło na spektakl, a nie po to, by się zmienić. Im więcej było znaków, którymi Bóg raczył potwierdzać moje słowa, tym większy był rozgłos i przybywało tych, którzy odchodzili rozczarowani, gdy nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Posunąłem się nawet do tego, że prosiłem niebiosa, aby cuda przestały się zdarzać, ale nie można sugerować Bogu, jak powinien postąpić. Niemniej jednak owoce były dobre: nawet ci spragnieni tylko cudów wracali do domów lepsi, hamowali swój gniew i wady, nie byli już tak prędcy w rzucaniu bluźnierstw; wszyscy bardziej obawiali się Bożej mocy. Dla niektórych moje kazania stały się początkiem prawdziwego nawrócenia w sercu, u innych przyczyniły się do zmiany zwyczajów, u wielu pojawiła się świadomość bojaźni Bożej. *Initium sapietiae*[13] jest zawsze lepszy niż nic?

Nierzadko jednak okoliczności niejako wymuszały Bożą interwencję. Pewnego razu na przykład moje kazanie w sposób wyjątkowo natrętny zakłócał pewien nieszczęśnik, dotknięty na umyśle i przy tej okazji kierowany przez ciebie, Potępieńcu. Opętałeś jego ciało i poprowadziłeś do kościoła, by śpiewał na całe gardło bezsensowne wersety, by przerywał mi bezsensownymi pytaniami wypowiadanymi głośno. Kilku ochotników próbowało powstrzymać go i wyprowadzić na zewnątrz, ale ten biedak zaczął

wyrywać się z wściekłością i krzyczeć jak szaleniec. Cóż, musiałem wkroczyć. Zszedłem z ambony, nakazując tym, którzy go trzymali, aby puścili. W imię Boga zapytałem go, czego chce, aby się uspokoić. Spojrzał na mnie zdziwiony i palcem wskazał na moje *cingulum*[14]. Natychmiast zdjąłem je i podałem nieszczęśnikowi. Wziął ze zniecierpliwieniem i zacisnął na sobie gwałtownie. Zaledwie je zawiązał, twarz rozpromieniła mu się z zadowolenia. Stał się normalnym człowiekiem, zdrowym na umyśle, panem samego siebie. Ukląkł, aby ucałować rąbek mojej szaty. Z oczami błyszczącymi z wdzięczności, skrępowany zamieszaniem, wycofałem się, by zająć miejsce wśród pozostałych zebranych. Ty, Przeklęty, zostawiłeś go na zawsze i musiałeś uciekać ogłuszony przez dziękczynne *alleluja*, które spontanicznie uniosło się nad zgromadzonymi.

Innym razem, w innym kościele, pojawiłeś się w szatach mężczyzny, który udając zakłopotanie, przybył, aby dostarczyć list pewnej zacnej damie. Akurat przemawiałem i dobrze widziałem, że zapanowało małe zamieszanie, a ty czaiłeś się, by po chwili zniknąć w nicości zanim dotarłeś do wyjścia. Kobieta po złamaniu pieczęci i przeczytaniu wiadomości zasłabła i z pewnością upadłaby omdlona, gdybym nie krzyknął, żeby nie wierzyła w to, co przeczytała, gdyż jej syn żyje i wkrótce go spotka. Posłaniec był podstępem szatana, który widocznie tak bardzo obawiał się wielkiej szkody, jaką może wyrządzić mu słuchanie słowa Bożego, że był zmuszony osobiście interweniować. Jeszcze nie skończyłem mówić, kiedy do kościoła wszedł syn tej kobiety. Na jego twarzy od razu odbiło się skrępowanie spowodowane skierowaną na niego uwagą wszystkich zebranych. Owszem, przybył spóźniony, ale zdarzyło mu się to nie po raz pierwszy, czemu więc wszyscy mu się przyglądali? Matka rzuciła się, aby go uścisnąć, a wszyscy odetchnęli z ulgą. Upłynęło trochę czasu zanim zrozumiał, co się wydarzyło. Ja tylko uniosłem rękę, aby zapobiec pochwałom i podziękowaniom. Kontynuowałem kazanie, zaczynając od miejsca, w którym przerwałem. Przez cały czas nie było już słychać najmniejszego szeptu.

Maria Latour do Henrietty Dupin

Pozdrowienia!

Najdroższa Kumo, nie dziw się, że otrzymujesz ten list. Zazwyczaj piszę do Ciebie z okazji Twoich imienin i Ty czynisz podobnie. Ale tym razem przydarzyły mi się rzeczy niezwykłe i płonę z chęci, by opowiedzieć je, komu tylko mogę.

Wcześniej czy później dotrze również w Twoje strony ten niezwykły kaznodzieja, który nazywa się Antoni. Zaklinam Cię, abyś nie przegapiła okazji, nawet gdybyś miała przejść daleką drogę, aby go usłyszeć. Dwa razy przemawiał u nas. Pierwszy raz w kościele i ja też tam byłam. I dobrze. Zanim zaczął, powiedział, że Pan go ostrzegł: diabeł uczyni coś, aby przeszkodzić mu w kazaniu, a nam w słuchaniu; więc cokolwiek się wydarzy, nie powinniśmy się martwić, ponieważ Bóg jest z nami. Zaledwie wypowiedział te słowa, balkon dla kobiet zawalił się z hukiem. Kumo moja, nie powiem Ci z jak potężnym hukiem. Siedziałyśmy wszystkie na górze, na tym drewnianym balkoniku, a wylądowałyśmy kilka przęseł poniżej, z nogami w górze, pośród połamanych belek. Ale oto cud: nikomu nie stała się krzywda; nic, mówię Ci, ani zadrapania. Zdumienie było tym większe, że nawet się nie przestraszyłyśmy. Mężczyźni szybko przesunęli połamane części

i dalej słuchałyśmy kazania na stojąco, pośród nich. Byliśmy wszyscy przepełnieni spokojem i radością, jakby to był świąteczny dzień i nic złego się nie wydarzyło.

To był pierwszy raz. Teraz przejdę do kolejnego.

Wiesz, że mój Nicolas nie znosi księży ani mnichów i nie wierzy w cuda. Uważa, że to, co się wydarzyło w kościele, to zwykły łut szczęścia. Jego tam oczywiście nie było. To i tak dużo, że pozwalał mi tam chodzić samej, na kazania, które według niego są zwykłą paplaniną i stratą czasu. Dwa miesiące później Antoni wrócił, by głosić słowo Boże i tym razem wszyscy, co do jednego, poszli, by go posłuchać. Oprócz mnie, gdyż Nicolas wybrał sobie, czytaj dokładnie, ten dzień, by dostać boleści brzucha. Był zgięty w pół, nagłe skurcze przysparzały mu tyle bólu, że krzyczał. Mówiąc krótko, musiałam zostać w domu, żeby przygotować mu wywar i opiekować się nim. Ale pożerało mnie pragnienie, by być gdzie indziej, jak dobrze rozumiesz. Wykorzystując tych kilka chwil, kiedy boleści ustawały, stawałam przy oknie i patrzyłam w kierunku kościoła. Droga Kumo, Ty wiesz, że kościół jest około dwóch i pół mili od mojego domu, ale mówię Ci, że słyszałam doskonale kazanie Antoniego, jakbym tam była. Wszystkie słowa, wszystkie, każde wypowiedziane osobno i wyraźnie, i gdybym miała pamięć taką jak dawniej, mogłabym Ci je powtórzyć jedno po drugim. I mam na to świadka: mojego męża. Chwycił go skurcz i krzyczał na mnie, że stoję przy oknie zamiast opiekować się nim. Trzeba było sporego wysiłku, aby przekonać go, żeby posłuchał ze mną, ale musiałabyś zobaczyć jego twarz, kiedy słyszał to, co ja. Nie wiem, czy ból mu minął, czy zapomniał o nim, ale stał tam i słuchał do samego końca, z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia. Teraz zawsze towarzyszy mi na każdej mszy; mało tego, staje w pierwszym rzędzie. Posłuchaj mnie, zrób wszystko, by pójść posłuchać Antoniego. I zabierz swojego męża.

Pozdrawiam.

Rzeczą, która najbardziej mi ciążyła była spowiedź. Wysłuchiwanie największych nieszczęść, najnieprzyjemniejszych występków, śmieci, które przepełniały ludzkie sumienia przygniatało mnie. Rzadko zdarzały się poważne grzechy; w większości przypadków były to zepsucie i złe nawyki. Te ostatnie były najtrudniejsze do wyplenienia. Tak, przywracałem spokój przez pogodzenie duszy z Bogiem, ale wiedziałem, że dusza ta niemal natychmiast powróci do swojej zgnilizny moralnej. Ja, który w danej chwili byłem *alter Christus*, musiałem jak On przyjąć na siebie ciężar przerażającej ilości grzechów, których penitenci sami nie mieliby siły całkowicie odpokutować. Niemal wszyscy niczym Żydzi, którzy ukrzyżowali Chrystusa nie wiedzieli, co czynią. Z powodu swej krótkowzroczności nie wiedzieli, jak bardzo zaraźliwy jest grzech, że nawet najmniejszy występek powoduje zło, które potem się rozprzestrzenia jak koncentryczne kręgi. Mógłbym posłużyć się tu porównaniem o kamyku rzuconym do wody, ale właściwsze będzie odwołanie się do kamyka spadającego ze szczytu kamiennej góry, który staczając się wywołuje lawinę. Tylko dzięki postępom na drodze duchowej można poszerzyć horyzont widzenia i zobaczyć to, czego z dołu nie widać: nawarstwiające się niemal bez końca skutki złych czynów wynikające z powodu jednego grzechu.

Wielu jednak myliło nawyk do popełniania grzechu z samym grzechem i przerwanie tego błędnego koła było pracą tytaniczną. Z tego powodu czasami zdawałem

się aż grzmieć z ambony, lecz ciągle było niewielu, którym udało się wyrwać z duchowego letargu. Krótko mówiąc, najtrudniejszymi przypadkami były te, które z pozoru wydawały się błahe. Złodziej czy zabójca przychodził, by wyznać swój grzech z pełną świadomością jego ciężaru; bezwstydnik czy onanista nierzadko wręcz pomijał swoją winę, gdyż odczuwa się większy wstyd, wyjawiając grzech wynikający ze słabości niż ten wynikający ze złości. I im bardziej przeciętny był grzech, tym rzadziej można było usłyszeć o nim w miejscu spowiedzi. Czasami mówiłem to ja, wypowiadając to, czego penitent nie śmiał powiedzieć albo, co gorsza, przez nawyk zapomniał, że to grzech. Dopiero wtedy, gdy dokładnie i szczegółowo mówiłem o słabościach, zaczynali rozumieć, że minimalizowanie grzechów jest najlepszym sposobem, aby się od niego nigdy nie uwolnić.

A jednak mówili o cudzie i przypisywali mi to, co było dziełem Boga i odchodzili przepełnieni bojaźnią przed Antonim zamiast przed gniewem Bożym. A ja zostawałem pogrążony w medytacji o cierpliwości Pana większej niż wszechświat, nieskończenie większej niż moja.

Kiedy miałem szczęście spotkać człowieka naprawdę skruszonego, z mocnym postanowieniem poprawy, wydawało mi się jakbym słyszał radosne chóry anielskie. Pamiętam tego młodzieńca, który nie mógł wydobyć z siebie głosu, gdyż miał tak mocno ściśnięte gardło. Nietrudno było zrozumieć, że mam przed sobą rozpustnika, który zdecydował się naprawdę zmienić swoje życie. Młodość może być czasem pełna moralnego zamętu, jeśli nieodpowiedzialność i głód wrażeń prowadzą do pogoni za przyjemnościami tego świata. Ale grzech pozostawia gorycz i trzeba popełnić następny, by zapomnieć gorycz tego poprzedniego i poczuć początkową euforię kolejnego. A potem następny i następny.

Dopiero kiedy jest się bardzo daleko na drodze zatracenia, zaczynają się wyrzuty sumienia. Rozgląda się wtedy wokół i dostrzega tych, którzy cierpliwie budowali godne i autentyczne życie, pozbawione ekscytacji, trwałe i otoczone prawdziwym uczuciem. I wtedy człowiek zdaje sobie z przerażeniem sprawę, że dla niego jest już za późno, że nie może się cofnąć, by zacząć życie od nowa. Niewielu znajduje odwagę, by zwrócić się o pomoc do Boga, jedynego, który może dać sercu ludzkiemu tę pełnię, do której zostało stworzone. Jednym z nich był mój pierwszy i niezapomniany ojciec, Augustyn, który zwykł był mawiać, iż nasze serce stworzone dla Boga jest niespokojne dopóty, dopóki nie spocznie w Nim.

Temu szczęśliwemu młodzieńcowi, któremu szczery żal ściskał gardło, zaproponowałem, aby powrócił w przeciągu trzech dni i przyniósł na piśmie to wszystko, czego nie był w stanie powiedzieć. Istotnie, wrócił z kartką, na której wypisał swoje grzechy. Wziąłem ją do ręki i rozwinąłem przed nim. Wielkie było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że ręka Boga zmazała wszystko i kartka na powrót stała się czysta, jak jego dusza w tej chwili.

Kiedy tylko mogłem, wracałem do Brive. W pobliżu pustelni znalazłem grotę – wytęsknione miejsce absolutnej samotności. Zostawiałem ogólne zalecenia na czas chwilowej nieobecności i odcinałem się od świata. Pomagając sobie kamieniem, wydrążyłem niewielki rowek, w którym zbierała się wilgoć sącząca się ze skał. Zebraną

wodą zaspakajałem pragnienie i to mi wystarczało.

Dokładnie w tym samym momencie ujrzałem ponownie twarz tej kobiety, u której żebrałem o owoce. Jakże osobliwa jest ludzka pamięć, kiedy zanurza się w przeszłości: jedno wspomnienie przywołuje kolejne i obrazy przesuwają się niczym paciorki naszyjnika, różne, ale w jakiś sposób połączone.

Schodziłem z groty i wracałem do pustelni. Od dawna przywykłem do poszczenia, jednak tym razem byłem naprawdę głodny, a skurcze w żołądku były tak silne, że musiałem ściskać wnętrzności rękami. Na dodatek zaczęło tak bardzo padać, że po chwili byłem cały zdrętwiały, nie wiedząc, czy trząsłem się ze słabości, czy z zimna. Było późne popołudnie, ale przez gęste mgły zrobiło się już ciemno. Zgubiłem się i po jakimś czasie wyszedłem w pobliżu miasteczka. Przemoczony i ubłocony zapukałem do drzwi pierwszego domu, jaki napotkałem. Otworzyła mi gospodyni. Kiedy zobaczyła, że jestem zakonnikiem, wysłała swoją służącą do ogrodu, żeby coś dla mnie przyniosła. Ale ona sprzeciwiła się, mówiąc, że leje jak z cebra i ugrzęźnie po kostki w błocie. Gospodyni zdenerwowała się i wyzwała ją od głupich, za to, że bardziej bała się dwóch kropel wody niż żałowała wycieńczonego Bożego człowieka. Służka, choć niechętnie, ale poszła. Wróciła z jabłkami i orzechami, które przesypała mi z delikatnością i uprzejmością. Była zupełnie sucha i czysta. Dopiero kiedy podziękowałem, pobłogosławiłem je i oddaliłem się, zauważyły, co się stało. Pomyślałem o skurczach żołądka, które Pan mi zesłał, aby dzięki nim uczynić znak dla tych kobiet.

Piotr, kanonik z Norblac, do brata Juliana ze Spiry

Pozdrawiam.

Wiem, że komponujesz mszę na cześć błogosławionego Antoniego i że responsorium Si quaeris miracula *szczególnie Cię fascynuje. Dobrze, że Twoi tutejsi współbracia powiedzieli mi, że zbierasz wiadomości o cudach błogosławionego i że nigdy nie będzie Ci dość informacji o nim. Mam jedno wspomnienie z dzieciństwa, które przekazała mi matka. Ja przekazuję Ci je tak, jak słyszałem, nawet jeśli nie mogę zagwarantować, czy rzeczy te wydarzyły się rzeczywiście tak, jak je pamiętam. Urodziłem się w Brive, gdzie Antoni przebywał przez jakiś czas. Moja matka była bardzo oddana klasztorowi, w którym żył błogosławiony i nie omieszkała wspierać go, kiedy tylko mogła. Był czas, że bracia byli tak biedni, że każdego dnia mieli problem z pożywieniem. Pewnego dnia błogosławiony posłał do mojej matki brata z prośbą o trochę jarzyn na posiłek dla współbraci. Matka natychmiast posłała służącą po produkty. Ale padało jak z cebra i ona nie chciała wychodzić z domu. Trzeba była na nią krzyknąć, żeby posłuchała. Wróciła z pełnym koszem i, cud, zupełnie sucha. Nawet buty nie były brudne od błota. Od tego dnia i ona stała się czcicielką błogosławionego. Matka opowiadała mi, że widziała ją wielokrotnie, jak podkradała coś z domu dla braci. Matka, wiedząc, gdzie trafiały te rzeczy, udawała, że nic nie widzi.*

Nie mam nic więcej do opowiedzenia. Niemniej mam nadzieję, że przysłużyłem Ci się. Pozdrawiam Cię.

[12] Zawsze smutne jest zwierzę po spółkowaniu [przyp. red.].

[13] Początek mądrości [przyp. red.].

[14] Sznur używany przez duchownych do przepasywania habitu [przyp. red.].

8.

Pod koniec października 1226 roku otrzymaliśmy list od brata Eliasza.

Franciszek zmarł.

Wszyscy w jednej chwili poczuliśmy się sierotami. Tak, mieliśmy innego Ojca w niebiosach, tego prawdziwego, którego pozostali ojcowie, ci cieleśni i ci duchowi, są jedynie wyobrażeniem. Lecz nawet ciało ma swoje potrzeby, tym bardziej dotkliwe, im jest słabsze. Jeśli chodzi o mnie to nagłe odejście załamało mnie, chociaż w postępie duchowym jestem bardziej zaawansowany od innych.

Wiedziałem oczywiście, że śmierć Biedaczyny z Asyżu była już tylko kwestią czasu, wiedziałem to już od chwili, kiedy przyszedł pobłogosławić nas w Arles. Niemniej jednak równie mocno odczułem jego brak. I poczułem się naprawdę sam.

Eliasz poinformował nas szczegółowo o ostatnich chwilach Franciszka i o znakach, jakie pojawiły się na jego ciele. Były to znaki Męki, jestem pewien, że te same, jakie miał apostoł Paweł. Ci dwaj święci umiłowali Chrystusa o wiele bardziej niż ja, umiłowali go tak bardzo, że stali się tacy jak On, zjednoczyli się z Nim już za ziemskiego życia. Przypomniałem sobie to, o czym wiele razy słyszałem w konfesjonale – o grzechu pożądania, który dotyczył relacji pozamałżeńskiej. Nigdy nie doświadczyłem jedności fizycznej z kobietą, ale wiedziałem jak gwałtowny może być pociąg do osoby płci przeciwnej. Spowiadałem młode dziewczyny zlęknione przed Bogiem, ale tak zagubione przez pociąg fizyczny do ukochanego, że nie potrafiły się oprzeć i poczekać na połączenie się na mocy sakramentu. Słuchając tych wyznań, medytowałem nad niezwyciężoną mocą miłości, która przyciąga dwoje ludzi niczym magnes. Tylko siłą można trzymać ich oddzielnie, w przeciwnym wypadku, usiłują połączyć się i pozostać tak na zawsze. I gdyby mogli pozostać tak spleceni na wieczność, uczyniliby to. Mało tego, chcieliby niemal wejść jedno w drugie i stać się nierozłączną jednością.

Franciszek i Paweł zatracili się w umiłowaniu Miłości. I Miłość odwzajemniła im się na tyle, na ile ich ludzka kondycja mogła to przyjąć. Przeniknąwszy w Boskie człowieczeństwo Chrystusa, człowieczeństwo ujarzmione i cierpiące z powodu miłości, zostali wchłonięci w Chrystusa Zmartwychwstałego i wstąpili do Ojca. Muszę posłużyć się porównaniem i słowami o miłości ludzkiej, gdyż inne nie istnieją. Nie istnieją, gdyż jak się dobrze zastanowimy, chodzi o to samo: Bóg postawił swoją pieczęć na wszystkim, wszystko stanowi Jego obraz, obraz jasny i choć czasami zniekształcony, ale wystarczający dla tych, którzy nie chcą ograniczać się do powierzchowności. Miłość pobudza, tworzy, jednoczy, rozprzestrzenia się i rozmnaża, dodaje skrzydeł i przemienia, sprawia, że stajemy się lepsi i współczujący. W twarzy osoby zakochanej już możemy zobaczyć coś anielskiego, coś nadludzkiego, coś Boskiego. Panie, nie ma niczego, co nie odnosiłoby się do Ciebie i z całą pewnością Twoje stworzenia wyczułyby Ciebie, gdyby za każdym razem nie stawał na drodze ten, który dzieli, Wróg. Franciszek był jednym z tych, którzy usiłowali zdemaskować Przeciwnika i pokazać mu w samych sobie Twoje prawdziwe oblicze, Panie. Jego nieprawdopodobny sukces świadczy o tym, że mu się udało.

Byłem smutny i jednocześnie szczęśliwy. Smutny z powodu wygnania, na którym

od tej pory miałem przebywać bez Franciszka; szczęśliwy z jego powodu, a także z własnego, gdyż znaki na jego ciele potwierdzały, że droga przez niego wskazana była właściwa. Odczuwałem zazdrość, dobrą zazdrość, tę która popycha do współzawodnictwa i do działania.

A teraz trzeba było powrócić na kapitułę generalną. Eliasz wzywał nas wszystkich na najbliższe Zielone Świątki.

Nadeszła wiosna i ruszyliśmy w podróż w kierunku Asyżu, ja i towarzysz, który został mi przydzielony. Przewidywałem, że nie wrócę już więcej do Francji.

W pierwszym dniu naszej podróży, kiedy już się ściemniło, brat, który był ze mną zaproponował, abyśmy dotarli aż do wioski, skąd dochodziły światła i tam poszukali schronienia. Ja zasnąłbym nawet tam, gdzie staliśmy, na ziemi, lecz on był młodszy ode mnie i rozumiałem, że bał się nocy. Zatem dla jego spokoju przeszliśmy jeszcze kawałek. Wybrałem ubogą chatę, gdyż wygody nie należą do reguły franciszkańskiej. Otworzyła nam nieufna i zlękniona kobieta. Powiedziała, że jej mąż jest w podróży i gdyby nie zobaczyła przez szparę, że jesteśmy zakonnikami, nie otworzyłaby nam. Wpuściła nas do środka. Kiedy na nasze twarze padło światło, rozpoznała mnie. Powiedziała, że wie, kim jestem, gdyż przyszła kiedyś posłuchać mojego kazania. Powiedziała też, że znają mnie wszyscy w wiosce i że raczyłem się pomylić, wybierając jej skromny dom zamiast udać się do kogoś zamożniejszego spośród tych, którzy byli na placu. Doprawdy była tak zakłopotana i szczęśliwa, że zaczęła się jąkać i potykać, nerwowo przechadzając się po pokoju. Odparłem jej, aby się nie przejmowała, gdyż jesteśmy zakonnikami przywykłymi do życia w ubóstwie, że wystarczy nam kąt i przykrycie, abyśmy mogli położyć się spać, że nie musi zaprzątać sobie nami głowy, bo o świcie ruszamy w dalszą drogę.

Nic z tego. Za wszelką cenę chciała, abyśmy zgodzili się uczynić jej zaszczyt, spożywając u niej posiłek i przymusiła nas, byśmy siedli za stołem. Poszła do kuchni, żeby przygotować strawę i usłyszeliśmy hałas naczyń, które z wrażenia wypadały jej z rąk. W pewnym momencie zobaczyliśmy, jak uchyla drzwi, cała czerwona na twarzy, mówiąc, że zaraz wróci. I rzeczywiście, wróciła zaraz potem z dwoma pięknymi kieliszkami ze szkła, które postawiła przed nami. Pożyczyła je od sąsiadki, jak powiedziała, i znów zniknęła, nie dając nam chwili na zaprotestowanie. Te dwa kieliszki były doprawdy piękne i cenne. Mój towarzysz nigdy nie trzymał w rękach czegoś takiego. Nasza gospodyni pojawiła się tym razem z ceramiczną karafką pełną wina i pajęczyną na włosach – widocznie zeszła do piwnicy po wino na specjalne okazje.

I znowu nie zdążyłem otworzyć ust, gdyż przydarzyła się rzecz godna pożałowania. Mój towarzysz, który naprawdę nigdy nie posługiwał się kieliszkiem, podając go kobiecie, by nalała wina, upuścił go. Kieliszek upadł na ziemię i oczywiście rozbił się na dwie części. Kobieta zbladła i zrozumieliśmy, że zachowaliśmy się doprawdy niezdarnie. Na jej twarzy można było wyczytać oszołomienie osoby bezsilnej i przerażonej wobec tak wielkiej szkody, a także wstyd przed sąsiadką. Zanim panika ogarnęła ją całkowicie, z szeroko otwartymi oczami, łapiąc się za głowę pędem wybiegła na zewnątrz. Usłyszeliśmy krzyk i zobaczyliśmy, że wraca zupełnie załamana. Osunęła się w kąt i zalewając się łzami, powiedziała, że źle zamknęła beczkę i całe dobre wino się wylało, całe. Jak ona o tym powie mężowi? I jeszcze będzie musiał zapłacić za kielich.

Oczywiście, nawet jeśli oszczędziłby jej lania, to nakrzyczy na nią, że w nocy udzieliła gościny dwóm nieznajomym i to pod jego nieobecność. Tak, chodziło o dwóch zakonników, jeden z nich to nawet znany Antoni, ale on nie posłucha żadnych racji.

Płakała załamana, a ja jej współczułem. Zwróciłem się do Pana z prośbą, czy nie uczyniłby gestu dobroci wobec dwóch swoich wybranych, którzy stali się sprawcami zdarzeń, których gorzko żałują. Następnie zebrałem kawałki kielicha, złączyłem je i podałem kobiecie. Ta, poczuwszy w rękach cały kielich, uwierzyła mi, kiedy zwracając się w jej kierunku powiedziałem, aby nie martwiła się z powodu wina, gdyż beczka jest pełna. Zdumiona i zaskoczona rzuciła się, by to sprawdzić. Znowu usłyszeliśmy jej krzyk, ale tym razem był to okrzyk radości.

Jan Parenti zanim poszedł za Franciszkiem był sędzią w swoim mieście Civita Castellana. Ludzie mówili, że do jego wstąpienia do franciszkanów przyczynił się pewien świniopas. Właśnie zaganiał kijem do chlewu stado czarnych świń, kiedy zobaczył zbliżającego się sędziego. Zaczekał, aż ten będzie wystarczająco blisko i zaczął krzyczeć na zwierzęta, żeby spieszyły się i jak najszybciej wchodziły do zagrody, bo i tak skończą jak sędziowie i adwokaci – w piekle. Nie wiedział, że Parenti chwilę wcześniej wysłuchał kazania Franciszka, które mocno go poruszyło. Okazało się, że te słowa zostały wypowiedziane pod działaniem łaski. A raczej: Łaski. I stało się tak, że zostawiwszy wszystko, przywdział habit. Był wdowcem i ojcem syna, który za nim wstąpił do klasztoru. Po jakimś czasie został prowincjałem w Hiszpanii i to on przyjął mnie do franciszkanów – to znaczy formalnie, gdyż wtedy w Asyżu zobaczyłem go po raz pierwszy.

Tego właśnie człowieka kapituła w roku 1227 wybrała pierwszym następcą Franciszka. Wielu, doprawdy, wolałoby na jego miejscu widzieć brata Eliasza z racji jego szczególnej relacji z naszym założycielem; inni zaś myśleli, że właśnie Parenti będzie odpowiedniejszy ze względu na kompetencje organizacyjne, biorąc pod uwagę zadziwiającą ekspansję braci mniejszych. Brat Jan rozładował całą sytuację, rozbierając się do naga przed wszystkimi zebranymi, tak jak uczynił to w swoim czasie Franciszek przed swym ojcem. Chciał w ten sposób pokazać całkowity brak przywiązania do jakichkolwiek ambicji, ale to właśnie ten gest sprawił, że został wybrany. To on później powierzył mi rolę ministra prowincji Emilia. Miałem wówczas około trzydziestu lat, może trzydzieści dwa, gdy spadł na me ramiona ciężar najważniejszego urzędu zaraz po urzędzie generała zakonu. Prowincja ta była bowiem największą w naszym zgromadzeniu, obejmowała całe Włochy północne po tej stronie Alp.

Przez cały ten czas, a więc przez trzy lata, kiedy byłem prowincjałem, bardziej używałem stóp niż języka. Musiałem jeden po drugim odwiedzić wszystkie nasze domy i głosić kazania wszędzie, gdzie mnie poproszono. Wracałem do miejsc, w których już kiedyś byłem, na przykład Rimini, i odwiedzałem miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłem, jak: Akwilea, Gorizia, Triest, Pola, Udine, Bassano, a następnie Gemona, Treviso, Cividale, Conegliano, Wenecja oraz, o tak, Padwa, Ferrara, Florencja, Mediolan, Vercelli, Cremona i również Bergamo, Brescia, Breno, Trydent, Werona, Mantua. Pozostałych nazw nie pamiętam, ale ból nóg owszem, gdyż wtedy właśnie nogi zaczęły mi puchnąć. Powinienem wówczas przez kilka miesięcy wiele godzin dziennie pozostać w spoczynku,

z nogami uniesionymi do góry, by pozwolić płynom ustrojowym spłynąć. Tak mówili wszyscy współbracia pielęgniarze, którzy mnie widzieli. Nie miałem jednak czasu, by myśleć o ciele, gdyż wiele miałem do zrobienia i tylko ja mogłem to zrobić. Otworzyłem nowe domy w Muggi, Parenzo, Como, Bienno, Camposampiero, a także w Trieście, Gorizii, Poli, Gemonie. I tak dalej. I tak dalej. I tak dalej.

Maszerowałem i maszerowałem po górnych Włoszech, tak jak czyniłem to we Francji, między Bourges, Limoges, Saint-Julien, Brive, Arles i Montpellier, Tuluzą i Puy-en-Velay, nauczając i głosząc, budując i zarządzając, spowiadając i błogosławiąc.

Jednak nie zawsze mój marsz był triumfalny.

Byłem tak przyzwyczajony do owacji, że przyznam, że poczułem się bardzo źle, kiedy w Udine kilku spośród tych, którzy przyszli mnie słuchać, zaczęło drwić sobie ze mnie. Atmosfera w tym mieście nie sprzyjała religijności, dlatego wezwano tam mnie, gdyż kilku wierzących miało nadzieję na cud. Wszedłem na drzewo, aby zebrani dookoła ludzie lepiej mnie słyszeli. Rozeszła się wieść, że przybędzie ten wspaniały mówca Antoni i duchowni, uprzedzeni o wielkich tłumach, jakie gromadziły kazania Antoniego, zdecydowali, że kościół będzie za mały i zwołali ludzi na pole. Kilku zebranych w pierwszym rzędzie, widząc, z jaką trudnością wspinałem się na mych schorowanych nogach na drzewo, zaczęło sobie żartować, że zarażę wszystkich uczestników spotkania. Krótko mówiąc, ogólny śmiech stał się tak głośny, że zagłuszył mój głos. Czułem żal, ale i zadowolenie. Żal z powodu ich dusz, którym ludzka słabość nie pozwalała otworzyć się na słowa, które Bóg mógłby im przekazać za moim pośrednictwem; a zadowolenie z powodu policzka, jaki otrzymała moja duma. Wielki mówca, znany Antoni z Lizbony, który zostawiał wszystkich z otwartymi ustami, zadziwionych mądrością i cudami, musiał zejść z tego drzewa jak zbity pies i odejść wśród kpin i szyderstwa.

Przez jakiś czas lizałem swoje rany w odosobnieniu, pogrążając się w pisaniu i w modlitwie, która jest wyrazem miłości człowieka do Boga, pokrzepiającą przyjacielską rozmową, oddaniem się duszy w radości i przyjaźni z Panem. I w końcu mogłem uzupełnić *Kazania niedzielne*, nad którymi w przerwach od jakiegoś czasu pracowałem. Za jednym zamachem Pan wychłostał moją miłość własną, dał mi czas na wypoczynek i nakłonił do skończenia mozolnej pracy.

Benedicite.

W Ferrarze ponownie musiałem walczyć z zazdrością, najnędzniejszym z motorów ludzkiej pychy. Zazdrośnik jest istotą, która uważa się za tak marną, iż nie wierzy, że druga osoba może być tylko i wyłącznie z nim. Albo jest tak zarozumiały, że uznaje za czyn haniebny, godny najwyższej i nieuchronnej kary, jeśli tylko na chwilę odwróci się od niego uwagę. Jak różne są dwie strony jednego medalu, tak i tu chodzi o ten sam grzech pychy. Zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku mamy do czynienia z ludźmi tak egocentrycznymi i pewnymi siebie, że uważają się za centrum wszechświata. Im niższa jest jedna ze stron, tym wyższa druga. Kto zdecydował się dzielić życie z zazdrośnikiem, musi nieustannie otaczać go, jak niebo gwiaździste otacza Ziemię; i biada, gdy zazdrośnik się zdenerwuje, gdyż jest on najokrutniejszym tyranem tego nieszczęsnego skrawka świata, jakim jest ich dom. W głowach zazdrośników mieści się piekło i do życia w tym piekle zmuszają tych, których jedynym błędem jest to, że ich kochają. Zgryzotę, która

nieustannie ich zżera, ty, Przeklęty, szybko przeistaczasz w obsesję, czekając tylko na dogodny moment, by swą ofiarę pchnąć do zabójstwa.

W przypadku, który wydarzył się w Ferrarze tym razem nie ja byłem obiektem zazdrości. Byli nim wszyscy.

Wszyscy znali w mieście dramat pewnej biednej małżonki, tak cnotliwej i wiernej, że drugiej takiej ze świecą szukać. Obdarzona była przy tym tak niesłychaną urodą, wdziękiem, uprzejmością, dobrymi manierami, że nie było mężczyzny, który nie śledziłby jej wzrokiem pełnym uwielbienia.

Mężem jej był człowiek o wielkim nazwisku, należący do znamienitego rodu Obizzich. Ale pokusy nie znają różnic stanowych. Z racji zajmowanego stanowiska uczestniczył w ceremoniach i przyjęciach, należy dodać, że zawsze z żoną u boku. Jednak gdy tylko wracali do domu czy też goście opuścili ich dom zaczynały się dąsy i kłótnie: a to jej ubrania nie były wystarczająco skromne; a to wielu mężczyzn rozmawiało z nią i musiała powtórzyć mężowi słowo po słowie z tego, co jej powiedziano, w czasie, gdy on konwersował z kimś innym. Wszyscy znali tę sytuację, również dlatego, że zazdrośnicy stają się śmieszni: z napięciem na twarzach, nie patrząc na swego rozmówcę nieustannie śledzą wzrokiem obiekt swojej zazdrości; śmieszne stają się ich nieporadne tłumaczenia w towarzystwie nagłych i powtarzających się niedyspozycji małżonka. A o ujawnienie brakujących szczegółów zadbała służba.

Jednak prawdziwy dramat rozpoczął się, kiedy narodziło się ich pierwsze dziecko. Niemowlę miało bardzo ciemną karnację, co czasami zdarza się również w przypadku rodziców blondynów. Zazwyczaj po dłuższym namyśle znajduje się jakiś dziadek albo inny przodek o takim odcieniu skóry, ale, żeby to odkryć, trzeba właśnie jasności rozumowania. Jednak w tym przypadku było inaczej. Dżentelmen, o którym mowa, targany zazdrością zwrócił uwagę, że wśród jego sług jest, o zgrozo, jeden ciemnoskóry. Biedak ten został natychmiast wyrzucony i zaczęły się wrzaski, szarpanina, a upokorzeniom, nawet publicznym, z powodu nieszczęsnej żony nie było końca. Tak, ów mąż w swoim, już bardzo pokrętnym, rozumowani znalazł dowód, którego szukał i nie było sposobu, aby przekonać go, że jest inaczej. Nieszczęsna została zamknięta w swoich pokojach i nawet krewni nie mieli tam wstępu. Mogła tam wchodzić tylko stara służąca i tylko po osobistej kontroli. Wśród licznych przywar zazdrość jest wadą również najbardziej groteskową.

Siostry biednej męczennicy przychodziły do mnie i błagały o wstawiennictwo. Modliłem się w tej intencji, a potem przekazałem im, żeby zrobiły wszystko, co w ich mocy, aby przyspieszyć dzień chrztu. Udało im się i w dwa tygodnie po narodzinach dziecka, przyniesiono je do chrztu. Z racji zasobności i wysokiego statusu społecznego ojca w stronę kościoła zmierzał wspaniały orszak. Czekałem na nich na zewnątrz, aby wszyscy mogli zobaczyć i usłyszeć, co będzie się działo. Podszedłem kilka kroków ku nim i poprosiłem, aby dali mi maleństwo na ręce. Matka, myśląc, że chcę je pobłogosławić, oddała mi je bez wahania. Wtedy w imię Boga zwróciłem się do niemowlęcia, aby wskazało swojego ojca. I ono głosem Boskiej mocy wyciągnęło paluszek w stronę zazdrośnika i wymówiło dokładnie, że to jest jego ojciec. I to właśnie jemu, patrząc mu prosto w oczy, oddałem maleństwo w ramiona. Następnie odwróciłem

się i wszedłem do kościoła, zostawiając szlochających małżonków. Płakali z wielką ulgą. Każde miało swój powód.

Takie było przeznaczenie, że w każdym miejscu musiałem walczyć z innym demonem: w jednych miejscach z herezją, w innych z zazdrością małżeńską, w jeszcze innych z szyderstwem. W Padwie czy Florencji przyszło mi zmierzyć się z lichwą.

Dla ludzkich słabości zawsze miałem współczucie i słowa miłosierdzia, lecz wobec uporu w grzechu, grzechu wręcz zorganizowanym, który staje się rutyną, Antoni rzucał grzmotami i piorunami. O ile heretycy byli lisami i żmijami, lichwiarze byli szakalami i hienami. Pierwsi rozsiewali błędy, drudzy – zwątpienie. Tamci zabijali dusze, a ci – ciała. Ci i ci zabójcy, przebiegli i tchórzliwi, zbierali ofiary wśród najsłabszych.

Nie miałem nic do zarzucenia tym, którzy pożyczali pieniądze i czerpali z tego słuszne zyski. Także Pan w przypowieści o talentach napomniał tego sługę, który nie oddał do banku jedynego talentu, jaki otrzymał, tak, aby jego pan po powrocie mógł odebrać zysk. Natomiast ptakami drapieżnymi są ci, którzy żądają w zamian wygórowanych sum i żerują na tych, którzy mają nóż na gardle z powodu nagłej trudności życiowej, katastrofy czy też kradzieży. Te hieny były chronione przez prawo, gdyż wszyscy, wcześniej czy później, ich potrzebowali, nawet panowie i królowie. Naturalnie, jakiś zacny pan czy król bez względu na to, jak wielką kwotę miał do zwrócenia, zawsze stanął na nogi. To ubodzy kończyli pod pręgierzem, w więzieniu, z zielonym beretem dłużników na głowie albo na galerach, rozdzieleni z rodzinami, a ich nędzne dobra, w tym nawet ubrania, sprzedawano na licytacjach.

Nieodłącznymi i przykrymi towarzyszami lichwy są: groźba, wstyd, zemsta, okaleczenie, a nierzadko zabójstwo. Lichwiarz sprzedając swoją duszę diabłu, często pogrążał też duszę swojego dłużnika, który tracił wiarę w Opatrzność i w najlepszym wypadku przeklinał Boga, który rzekomo go opuścił. Serce lichwiarza było zamknięte bardziej niż szkatuła, w której trzymał ukryte skarby. Widziałem ich zatwardziałe dusze. Moje słowa i znaki zmiękczały dusze heretyków i tych, co się dopuszczali symonii, gniewnych i rozpustników, złodziei i zabójców, lecz lichwiarze byli w pewien sposób gorsi: chciwość i skąpstwo sprawiły, że zmienili oni religię, wielbiąc już nie Jezusa Chrystusa, lecz Mamonę. W walce z tym grzechem wiele razy musiałem złożyć broń, co uznaję za swoją klęskę.

We Florencji byłem świadkiem skrajnego zatracenia się jednego z takich grzeszników, co napełniło mnie wielką goryczą. Lichwiarz ten przez całe życie sprzeciwiał się Łasce i jej wezwaniom. Kiedy jego czas minął, skończył się także czas Łaski i pozostał sam z tym, czego przez całe życie szukał – ze swoją przeklętą lichwą. Jak mawiał święty Augustyn, są tacy, którzy kochają Boga tak bardzo, że zapominają o sobie i tacy, którzy kochają siebie tak bardzo, że zapominają o Bogu. Ten człowiek ukochał pieniądze i to nigdy niezaspokojone pragnienie doprowadziło go do tego, że bezlitośnie wykorzystywał bliźniego i piął się po jego grzbiecie jak po drabinie, żerując na jego nieszczęściu. Ale w życiu wiecznym pieniądze na nic się już nie zdadzą i stanął lichwiarz przed sądem Bożym z pustymi rękami i obumarłym sercem. A właściwie z rękami ociekającymi krwią, którą wycisnął z biedaków, i bez serca, bowiem złożył je i zamknął w złotej szkatule, gdzie zostało zaduszone.

Chcieli wnieść jego przystrojoną trumnę do kościoła, ale zabroniłem. Wyszedłem na zewnątrz i zatrzymałem pochód żałobników, gdyż w tym świętym miejscu nie było dla niego miejsca.

Księża oburzyli się na moje okrucieństwo i surowość; według nich brat Franciszka powinien być zawsze łagodny i ugodowy. Ale prawdziwa pokora to nie słabość; prostota to nie hipokryzja, a łagodność nie oznacza braku sprawiedliwości czy co gorsza – kłamstwa... W Ewangelii jest miłosierdzie i święty gniew, przebaczenie i kara, zrozumienie i groźba. Nasz Pan Jezus Chrystus nigdy nie czynił tajemnicy z istnienia piekła i ja też nie miałem prawa pomijać tego faktu milczeniem tylko dlatego, że ci księża nic nie zrozumieli z ducha mojego zakonu. Usprawiedliwiali się, mówiąc, że nikt nie może znać wyniku sądu Bożego nad duszą, że nikt nie może wiedzieć, czy zmarły nie żałował za grzechy w ostatniej chwili swego życia. Prawdą jest, że oni tego nie wiedzieli i w swej bucie, pod przykrywką fałszywej litości, wierzyli, że ich głuchota w dialogu z Duchem Świętym jest powszechna.

Ja natomiast wiedziałem i pokazałem im to.

Powiedziałem do ludzi, którzy nieśli mary, aby sprawdzili, czy w piersi tego nieszczęśnika znajduje się serce. Jednocześnie oświadczyłem, że nie znajdą tam serca, gdyż serce lichwiarzy jest zakopane w pieniądzach ukrytych w kufrach. Wniosłem o przeprowadzenie ordaliów, a wiedząc o mojej sławie, wszyscy uwierzyli mi na słowo. Pewien chirurg zrobił krok naprzód i zgłosił się. Natychmiast na ulicy zrobiono miejsce i otworzono trumnę. Nikt się nie sprzeciwił, nawet rodzina zmarłego, bowiem skąpstwo i samotność są siostrami. Dom lichwiarza znajdował się na końcu ulicy. Niewielu, może połowa z zebranych udała się tam. Po kilku minutach otwarto okno i kilka głosów krzyknęło, że miałem rację. Martwe ciało zostało rozcięte na oczach przerażonego tłumu. Jak powiedziałem, w klatce piersiowej nie było serca; było ono w skrzyni, wśród trofeów lichwiarskiego życia.

16 lipca 1228 roku nie było mnie w Asyżu, ale był tam brat Tomasz z Celano i opowiedział mi wszystko. Zaszczytu przewodniczenia uroczystemu wyniesieniu ciała Franciszka po oficjalnym ogłoszeniu go świętym dostąpił najwyższy pontyfik, nasz ojciec i pan Grzegorz IX. Był on wówczas na chwilowym wygnaniu, gdyż zamieszki w zawsze burzliwym Rzymie zmusiły go do wyjazdu, by przeczekać aż zostanie tam przywrócony spokój. Ale te nieszczęsne okoliczności przysłużyły się naszemu zakonowi, który mógł mieć tak wielką osobistość w centrum zdarzenia tak bliskiemu naszemu sercu. Ojciec Święty wysłuchał publicznego czytania tekstu o niezwykłych cudach, jakich doświadczyli ci, którzy zwracali się do Franciszka z prośbą o pomoc i wstawiennictwo, następnie wygłosił na głos panegiryk na cześć założyciela naszego zakonu i nakazał, aby jego imię zostało wprowadzone na listę świętych. Następnego dnia pobłogosławił kamień węgielny pod wielką bazylikę, w której miały spocząć relikwie świętego.

Budowa została ukończona błyskawicznie i 25 czerwca dwa lata później mogłem zobaczyć na własne oczy ceremonię przeniesienia relikwii. Papieża tym razem nie było, niesnaski z cesarzem Fryderykiem rozpoczęły się na nowo i Ojciec Święty nie mógł opuścić Rzymu. Było za to aż trzech jego legatów, którzy odczytali bullę zaczynającą się od słów: *Mirificans misericordias...* Sarkofag został przeniesiony w procesji przez całe

miasto i wśród radości tłumu dotarł na miejsce.

I tutaj, kiedy najmniej można się było tego spodziewać, zaczęły się problemy. Brat Eliasz, postępując bardzo rozważnie, wpuścił sarkofag do bazyliki, ale zagrodził drogę reszcie procesji; nikt nie mógł wejść, nawet bracia. Przy zamkniętych drzwiach święte ciało zostało pospiesznie złożone w grocie. Nie został o tym uprzedzony nawet papież ani jego legaci, którzy natychmiast zgłosili protest i powiadomili swojego zwierzchnika.

Eliasz miał swoje racje. Te relikwie stanowiły bardzo cenny łup i wiele miast gotowych było wszcząć wojnę, aby je mieć. O wiele mniej niż wojna kosztowałoby najęcie jakiegoś porywacza, być może przebranego za mnicha, i zlecenie mu porwania relikwii. Franciszek był tak bardzo znany w całym chrześcijańskim świecie, więc miasto, które posiadłoby jego relikwie, stałoby się miejscem pielgrzymek niemal jak Compostella, przez co wzbogaciłoby się nieprawdopodobnie.

Po kilku dniach wrócili legaci z gromami od papieża. Odczytali naszej kapitule bullę, która groziła ekskomuniką całemu miastu Asyż, odbierała braciom mniejszym grób ich założyciela, by przekazać go pod władzę biskupa, nakładając na nich na zawsze zakaz sprawowania kultu w całej okolicy. Eliasz i stary Parenti musieli przedstawić na piśmie jeden po drugim po kolei swoje racje, które przekazali legatom. I w końcu, po upływie tygodnia, kwestia została rozwiązana. Ojciec Święty potwierdził słuszność tej decyzji, cofnął bullę i kapituła mogła skoncentrować się na innym, o wiele poważniejszym, problemie.

Wiedziałem, że wcześniej czy później musiało się to wydarzyć i wiedziałem, że stanie się to zaraz, jak tylko zabraknie Franciszka. To w gruncie rzeczy nic nowego, gdyż również między apostołami zaraz po Wniebowstąpieniu naszego Pana ujawniły się rozbieżności. Prawdę mówiąc, Apostołowie zaczęli spierać się miedzy sobą już wcześniej i wielokrotnie Pan musiał ich napominać z tego powodu.

Pierwszą trudnością w interpretacji nauki Chrystusa, z którą zetknęło się Dwunastu było obrzezanie; natomiast dla nas, franciszkanów, pierwszą trudną do rozstrzygnięcia sprawą było oczywiście ubóstwo.

Dylematu nie stanowiła kwestia: ubóstwo tak czy ubóstwo nie, lecz rodzaj i stopień ubóstwa. W tamtych czasach nasz zakon liczył już tysiące osób i powstawały wciąż nowe domy oraz uczelnie. Klasztory, ziemia, nawet jeśli zostały otrzymane w darze, wymagały w konsekwencji dbałości i nakładów na utrzymanie. Nie można studiować bez książek ani czekać, aż ktoś nam je podaruje i co więcej, że podaruje nam te właściwe. Niektóre książki kosztują więcej niż kościół, kosztuje nawet wypożyczenie ich do skopiowania, a na kopiowanie jednej tylko książki potrzebne są lata. Niektórzy pośród nas skłaniali się do ubóstwa tak skrajnego, że niepokoiło to nawet mnie, który zazwyczaj podróżowałem bez zapasów i więcej było dni, w których pościłem niż tych, kiedy coś jadłem. Uzasadniali oni swoje stanowisko, odwołując się do Ewangelii i nie zdając sobie sprawy, że uciekają się do typowej metody heretyków, którzy wyciągają z Ewangelii jedno zdanie, pomijając cały kontekst. W ten sposób można o Chrystusie powiedzieć wszystko i nic, a to bardzo niebezpieczna metoda. Ci bracia zakładali na przykład, że Chrystus nie chciał posiadać na własność niczego, nawet ubrania ani tego, co spożywał. To pusta kwestia, ponieważ nie ma sensu twierdzenie, że nie jest moje, to co zjadłem. To założenie lekkomyślne,

ponieważ podważa zasadę prawa własności, a więc i prawdę o grzechu pierworodnym. Jest także założenie butne, gdyż człowiek nie jest aniołem, więc bronienie swojego punktu widzenia z uporem i hardością łatwo może przemienić pokorę w jej przeciwieństwo.

Nasz Pan nie bez powodu nie spisał swojej nauki. On założył Kościół i jemu przekazał interpretację swoich słów. To Kościół jest kamieniem węgielnym i tylko Kościół mógł wybrać spośród wielu właściwe Ewangelie, te prawdziwie inspirowane. *Ergo*, Kościół jest ważniejszy nawet od Pisma. Z tego powodu, skoro kapituła nie była w stanie dojść do sedna sporu, zdecydowano skierować sprawę do Rzymu. Przewidywałem, że nie będzie to niestety jedyna kwestia sporna. Wewnętrzne spory miały towarzyszyć synom Biedaczyny jeszcze przez długi czas i ich pozycja w łonie Matki Kościoła jeszcze długo miała pozostać niepewna. W przypadku Franciszka i jego naśladowców mieliśmy do czynienia z tym samym, co swego czasu działo się wokół samego Jezusa: z wyraźnym podziałem między zdecydowanych zwolenników z jednej strony i radykalnych przeciwników z drugiej. Zrozumiałe, że czasami dawne sprawy i rozstrzygnięcia powracają jako zupełnie nowe, przez co trudno je rozpoznać nawet tym, którzy mają z nimi do czynienia na bieżąco. Lecz ja nie mogłem pozwolić sobie na ten luksus brania udziału w sporze wewnątrz wspólnoty. Miałem co innego do zrobienia, nie mówiąc już o tym, że w Portugalii sporów widziałem już zbyt wiele.

Kapituła wybrała siedmiu braci, których wysłała do Rzymu pod przewodnictwem penitencjariusza papieskiego Gerarda Rossignola. Byli to: Jan Parenti, Aimone da Faversham, Leon z Mediolanu, Gerard z Modeny, Piotr z Bresci i ja.

Kiedy Grzegorz IX usłyszał o wielkim mówcy Antonim z Lizbony, zażyczył sobie, aby wygłosił kazanie przed nim i całym dworem papieskim. Kiedy skończyłem, pochwalił moją znajomość pism, nazywając mnie *coram populo*[15] – „Arką Testamentu i szkatułą Pisma Świętego" czy coś w tym rodzaju. Wielu oddałoby swoją rękę, aby znaleźć się na moim miejscu, gdyż ludzie uwielbiają, kiedy się o nich dobrze mówi; do tego miejsce, w którym się znajdowałem było najważniejsze na świecie. Lecz właśnie dlatego, że znałem Biblię na pamięć, miałem świadomość znaczenia słów z Ewangelii: „biada wam" wypowiedzianych przez Chrystusa przeciw próżności, a więc chęci bycia wielkim w oczach świata. Z wdzięcznością pochyliłem głowę i ucieszyłem się, że mogłem przysłużyć się zakonowi. Na prośbę papieża musiałem przemawiać ponownie przed rzeszą pielgrzymów przybyłych do Stolicy Apostolskiej. Naturalnie, mówiłem po łacinie, ale powtórzono mi potem, że każdy z obecnych wysłuchał mojego kazania w swoim ojczystym języku. I mogło tak być. Działanie Ducha Świętego w tego typu wydarzeniach nie było niczym nowym.

Na kapitułę wróciliśmy z bullą papieską, zaczynającą się słowami: *Quo elongati...* Bulla rozwiązała spór między nami. *Roma locuta est. Deo gratias*[16]. Ubóstwo, którego należy przestrzegać, było rozsądne i uzasadnione, ale nie to przesadzone i ekstremalne, którego domagali się niektórzy. Powtarzam: *Deo gratias.*

Podczas tej kapituły poprosiłem i otrzymałem zgodę na zwolnienie z funkcji prowincjała, gdyż moje nogi nie były już w stanie sprostać temu zadaniu. Na moje miejsce został wybrany Albert z Pizy, a moją posługą miało być już tylko przemawianie. Został mi przyznany przywilej wyboru miejsca rezydowania, skoro miałem teraz powrócić do

pisania. Rainaldo, kardynał z Ostii, który słyszał mnie w Rzymie, prosił o zbiór kazań na dni świąt. Człowiek ten pewnego dnia miał zostać papieżem, nie mogłem więc mu odmówić. Zresztą słusznym było, by „Arka Testamentu" złożyła swoją wiedzę na użytek innym, czyli nowym generacjom kaznodziejów. Zgodziłem się więc z przyjemnością, również dlatego, że ta „Arka" zaczynała nabierać wody i przewidywałem, że nie popływa już długo.

Teraz, kiedy jestem już u kresu, zastanawiam się, jak będzie ocenione to wszystko, co napisałem. Zająłem się moralistyką, mistyką, egzegezą, skomentowałem *Psalmy* i wskazałem ustalenia moralne w Biblii, wykorzystałem to, co dobrego wnieśli nawet poganie: Seneka i Cyceron, Arystoteles i Wirgiliusz, Horacy i Pliniusz, ale przede wszystkim wykorzystałem etymologię świętego Izydora z Sewilli, jednego z najświatlejszych ludzi wszech czasów. Z natury rzeczy właśnie ta księga była moją największą inspiracją. Rozumiana właściwie unosi duszę ku rozważaniu Chrystusa, gdyż promieniowanie piękna w rzeczach stworzonych prowadzi do niezmierzonej doskonałości Tego, kto je stworzył. Dlatego często odwoływałem się do przykładów pszczół i orła, jelenia i węża, lwa i osła, żurawia i strusia, mola, kreta, salamandry, chrząszcza, zająca, pantery, małpy, jeża, myszy, łasicy, wilka, turkawki, gołębia. Pisałem także o perłach, drogocennych kamieniach, roślinach...

Pewnego razu ktoś mi powiedział, że kiedy mówiłem, nawet noworodki przestawały płakać. Kto wie, może sprawiał to spektakl obrazów, które tworzyłem. Ktoś inny pochwalił mnie tymi słowami: jeśli Franciszek był *alter Christus,* to ty jesteś dla jego mniejszych tym, kim Paweł był dla chrześcijaństwa. Powoli, powoli. Ach, ten stary osioł, zaniedbany i umierający, a jeszcze kopie. Nie, mój Bóg i wszystko moje; Twój sługa nie pozwoli wierzgać swojemu wierzchowcowi. Biedny Antoni, wkrótce będziesz musiał rozliczyć się z otrzymanych talentów i zwlekasz, bawiąc się jakimś wdzięcznym wspomnieniem? Otrzymywałeś komplementy i cóż z tego? Była to pieszczota Boga, by unieść kąciki twych ust. Bądź wdzięczny, gdyż Pan żniwa, który nawet z kamieni może wzbudzić potomstwo Abrahama, wyświadczył ci wielką przysługę, wybierając ciebie i twój język. Franciszek miał za zadanie stać się *parvus et ydiota,* prostym i niepiśmiennym; ty masz zostać *magister scholasticus*. Niech będą dzięki, *gratis datae.* I muszę powiedzieć, że być może *magnam gratiam est gratiam non habere*. Poskrom więc osiołka i wróć do sedna, zważywszy, że nie zostało ci wiele czasu.

Przed wyjazdem chciałem udać się na górę, na której Franciszek otrzymał znaki swojej całkowitej przynależności do Chrystusa – na la Vernę. Poszedłem sam, z wielkim wysiłkiem. Znalazłem tam to, czego szukałem – grotę. I tam naprawdę wypocząłem.

Potem dotarłem do Padwy.

[15] w obliczu ludu [przyp. red.].

[16] Rzym przemówił (sprawa skończona). Bogu niech będą dzięki [przyp. red.].

9.

Wybrałem Padwę, gdzie z wielu powodów byłem już trzy lata wcześniej. Pierwszym i najważniejszym powodem była przychylność, z jaką biskup Jacopo Corrado odnosił się do naszego zakonu. Znając historie świętych założycieli, dobrze wiedziałem, że trudności sprawiają najczęściej właśnie biskupi. Zwykle skarżą się oni na ingerencję feudałów – właścicieli ziem, na których sprawują władzę duchowną; z kolei władza świecka – czy to król, czy włodarze miasta, czy książęta – nie chce pogodzić się z ograniczeniami narzucanymi przez papieża. Z trudem znoszą pętającą ich ręce jurysdykcję duchowną i nie mogą pogodzić się z faktem, że każda ich decyzja musi uwzględniać stanowisko papieża. Biskupi – rozmieszczeni we wszystkich centrach administracji cywilnej, osadzeni tam od czasów Imperium Rzymskiego i stanowiący uniwersalny punkt odniesienia – zawsze pełnili rolę autorytetów określających granicę władzy, która często miała tendencję do przeradzania się w tyranię.

Lecz sami biskupi nie zawsze są w stanie uniknąć pokusy postępowania w podobny sposób w stosunku do wiernych podległych ich jurysdykcji. Zakony podlegają swoim przełożonym, a ostatecznie papieżowi i są rozprzestrzenione po całym chrześcijańskim świecie. W niektórych miejscach mają się dobrze, gdzie indziej muszą godzić się z niechęcią biskupa. I właśnie niechęć biskupa może oznaczać tysiące pułapek i przeszkód, które w najlepszym przypadku będą stratą czasu, co wcale nie jest bez znaczenia. W przypadku franciszkanów czasami jest jeszcze gorzej, gdyż sympatia, jaką otacza ich prosty lud budzi zazdrość.

I nie chodzi tu tylko o kwestie moralne, zważywszy, że do klasztoru braci mniejszych nierzadko wpływa jałmużna.

Biskup Padwy – człowiek święty, dla którego ważne były owoce duchowe – przyjął synów Franciszka z otwartymi ramionami i otoczył ich swoją protekcją. Zezwolił na powołanie wspólnoty córek Klary, siostry Franciszka w miłości. W Arcelli obok ich klasztoru znajdowało się niewielkie hospicjum, w którym przebywali bracia, którzy otaczali siostry opieką duchową. Biskup podarował mi kawałek ziemi poza murami, abym mógł założyć klasztor. Wybudowaliśmy tam także mały kościółek, dosyć surowy, ale na początek wystarczający.

W owym czasie w całej Marchii panował pokój, dlatego Padwa była miejscem idealnym, aby osiąść tu na stałe i całkowicie oddać się pisaniu. Zresztą, czas głoszenia kazań zwykle musiał zgadzać się z porą, kiedy chłopi nie pracowali; gdy wracali na pola, ja się usuwałem. I zamykając usta, chwytałem za pióro. W Padwie nie musiałem już szukać miejsca, gdzie prace rolne jeszcze się nie zaczęły, by móc głosić kazanie.

Podczas mojego trzyletniego sprawowania funkcji prowincjała, założyłem w Padwie również wspólnotę na wzór Trzeciego Zakonu, który został utworzony przez Franciszka, aby przygarnąć i zorganizować tych wszystkich, którzy chcieli przynależeć do jego wielkiej rodziny, ale z różnych powodów musieli pozostać w świecie. Niemal wszyscy moi towarzysze to wielcy grzesznicy, a nawet heretycy, których Bóg nawrócił przeze mnie i którzy nie chcieli więcej się ode mnie oddalać. Podczas mojej nieobecności własnymi rękami zbudowali kościół, gdzie zwykli się zbierać ubrani w szare habity, które

uznali za swój strój. Mieszkańcy Padwy nazywali ich „zakonem gołębim" i stąd wzięła się nazwa ich kościoła – Santa Maria della Colomba[17].

Musiałem skorygować kilka nadużyć w tej wspólnocie, gdyż moje nawoływanie do pokuty odczytali jako przyzwolenie na samobiczowanie. Nie ma nic złego w tym, że narzucamy sobie dyscyplinę, ja sam uciekałem się do niej w najcięższym okresie mojej walki przeciw Kusicielowi. Lecz oni zaczęli robić to publicznie, ku własnej przyjemności. Już samo to było błędem zakrawającym na herezję. Istotnie, łatwo było utrzymywać, że człowiek sobie poradzi zawsze i w każdej sytuacji za pomocą kilku batów wymierzonych samemu sobie. Nie, tę metodę należało stosować z wielkim ograniczeniem i zawsze pod czujnym kierunkiem mistrza ascezy. „Chcę raczej miłosierdzia niż ofiary" – powiedział Pan. Złożyć serce na kolanach przed Bogiem i trwać w tym – oto prawdziwy cel, a dyscyplina nie jest niczym innym, jak tylko jednym ze środków – i to wcale nie najskuteczniejszym – aby go osiągnąć. O wiele lepiej jest postępować ze szczerą ofiarnością, zgodnie z małą regułą, którą im zostawiłem: wspierać jeden drugiego na wszelkie sposoby i nie pozwolić, by wspólna kasa pozostała pusta. Chorzy, opuszczeni, biedni i dziewczęta bez posagu byli rękojeścią od bata, doprawdy drogą Bogu, bata, który uderzał w sakwę, by wspomóc bliźniego.

Jako brat zakonny całą moją działalność prowadziłem w regionach najbogatszych i najwytworniejszych w Europie – południowej Francji i północnych Włoszech. Poznałem bogate i rozkwitające miasta, w których przemysł i handel rozwijały się błyskawicznie, a potężne fortuny wyrastały jedna po drugiej, powiększając klasę zamożnych i krąg dobrobytu. Ale to właśnie z nagłego bogactwa wyrasta chwast skąpstwa. Skąpstwa, które chętnie przeglądało się w zawiści innych, wykluczonych z ziemskiego raju przez nieszczęśliwy wypadek czy niezdolność w interesach. I rozpalały się namiętności. Zaczęło dochodzić do coraz większego izolowania się bogatych przy jednoczesnym wzroście zniecierpliwienia ubogich. Wielu do tej pory zadawalało się skromnym życiem, dopóki nie zobaczyli, że sąsiad się bogaci. Ciężko znosi się niedostatek, kiedy ma się ciągle przed oczami kogoś, komu niczego nie brakuje. Kwestią kluczową było więc nakłanianie bogatych do dzielenia się tym, czego mają w nadmiarze i ciągłe przypominanie im, że wszyscy rodzimy się nadzy i nadzy umrzemy; że bogactwo zależy oczywiście od zdolności, ale nie tylko – można bowiem być zdolnym, mieć możliwości i kwalifikacje, ale to Pan zsyła wszelkie okoliczności sprzyjające osiągnięciu sukcesu. To Pan buduje, w przeciwnym wypadku na próżno trudzą się budowniczy[18].

Tak mówi Pismo. I mówi także, że życie człowieka nie jest w jego mocy. Dary Boga – a jest nim także bogactwo – są jak miecz obosieczny, aby człowiek mógł zawsze wybierać, komu chce służyć. Epulon skończył w piekle, a Łazarz na łonie Abrahama. Oto dlaczego wolałem, aby moje „gołąbki" używały biczów nie na swoje plecy, lecz sakwy.

Zachęcałem ich, by dobrze zapamiętali te słowa: „Czystym złotem jesteś, ewangeliczne ubóstwo. Kto cię nie ma, mając wszystko, nie ma niczego. W ubóstwie jest radość; w bogactwie smutek i płacz". Naturalnie, wytłumaczyłem im, że ewangeliczne ubóstwo należy rozumieć jako wyrzucenie z serca dóbr ziemskich. Jest bowiem wielu biednych, którzy są smutni i nieszczęśliwi, gdyż pragną tego, czego nie mają. O tak, bogactwo jest pięknym darem Boga, ale pod warunkiem, że zawsze pozostaje darem

czystym. W przeciwnym wypadku wywołuje smutek i płacz, a ten smutek i płacz zarażają również innych.

Panie Jezu, nie porzucaj dusz swoich biedaków, których odkupiłeś i którzy nie mają innego dziedzictwa poza Tobą. Trzymaj ich, Panie, swoją mocą, gdyż są Twoimi biedakami. Prowadź ich i nie zostawiaj, gdyż bez Ciebie się pogubią. Prowadź ich aż do celu, aby doskonale z Tobą połączeni, mogli dotrzeć do samego końca. Czyli do Ciebie.

Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy miasto Padwa uczyniło mi zaszczyt i na mój wniosek prawnie rozgraniczyło dłużnika, który nie płaci, bo nie chce od tego, który nie płaci, bo nie może. 5 marca 1231 roku władze miasta uchwaliły, iż ten ostatni może odpowiadać swoim majątkiem, ale nie wolnością osobistą. I zapisano: „Niniejszym ustanawiamy na wniosek wielebnego i pobożnego brata Antoniego, spowiednika zakonu braci mniejszych". Pan nauczył mnie przyjmować błędy i uchybienia z pokorą, która upodobnia nas do Jego Syna ukrzyżowanego. Ale miło jest czasami widzieć, jak umacnia On dzieło rąk naszych i obdarza nas ludzką satysfakcją.

Padwa miała także *Universitas Studiorum*, dopiero co otwarty, ale już bardzo szanowany. Powstał około dziesięć lat temu, kiedy papież Honoriusz nakazał ówczesnemu biskupowi, Janowi Maltraversi, aby udał się do Bolonii w celu rozstrzygnięcia sporu między księżmi. Biskup poznał tam kilku profesorów niezadowolonych z tamtejszej uczelni i zaprosił ich do Padwy. Naukowcy ci przyjęli zaproszenie i przybyli ze swoimi uczniami i w ten sposób Padwa zyskała swój uniwersytet. Dla mojej pracy bardzo ważna była bliskość dobrze zaopatrzonej, bogatej biblioteki oraz znajomość z ludźmi wykształconymi. Nieprzypadkowo zacząłem udzielać lekcji teologii moim współbraciom w Bolonii, potem w Montpellier i Tuluzie – we wszystkich tych miastach znajdowały się szanowane uczelnie. Starożytne herezje zapoczątkowywali ludzie wykształceni, a ich błędy naprawiali ludzie mądrzy, których powołał Bóg. Natomiast herezje, z którymi ja się spotykałem, zawsze rodziły się z niewiedzy i nią się żywiły, nawet wtedy, gdy coraz powszechniejsze stawało się przygotowanie teoretyczne i studiowanie. Jednakże o ile w przeszłości, aby powstrzymać jednego Pelagiusza wystarczył jeden Augustyn, teraz przeciw powszechnym herezjom potrzebne były całe zastępy wykształconych kaznodziejów. W samej tylko Lombardii można było doliczyć się około dwudziestu heretyckich kongregacji. Najniebezpieczniejsi byli oczywiście katarzy, nawet jeśli ich zjadliwość była mniejsza w porównaniu z tym, co działo się we Francji. Doktryny znane samozwańczym „doskonałym", którzy znajdowali się na najwyższych szczeblach katarskiej hierarchii, były złożone i skomplikowane i na niższych poziomach ujawniano je tylko sporadycznie. Najniżsi i zarazem najliczniejsi członkowie sekty ograniczali się do obsesyjnej krytyki Kościoła w imię Ewangelii. To wszystko w połączeniu z niejasnym celem i wciąż zmieniającymi się nazwami: herezja, katarzy, albigensi, patarowie, pokorni, tkacze... czyniło z katarów coś naprawdę demonicznego, ekstremalnie niebezpiecznego, czemu stawić czoła mogli jedynie dobrze przygotowani ludzie.

W końcu w Padwie znajdowali się moi najlepsi przyjaciele. To wielki dar od Boga, kiedy możesz liczyć na kogoś, kto chce dla ciebie dobrze, nie dlatego, że zobowiązany jest wobec ciebie więzami krwi czy małżeństwa lub religii, ale z czystego wyboru.

Naturalne pokrewieństwo, jakie niektórzy odczuwają wobec siebie i lojalność, która ich łączy jest wyobrażeniem błogości, jakiej doświadczymy w niebie w towarzystwie Boga. Ale muszę powiedzieć, że wszystko jest obrazem Boga, wszystko to, co piękne i dobre, uporządkowane i słuszne. Obraz Stwórcy znajdujemy w każdej rzeczy i tylko ten, kto nie chce tego widzieć, nie zobaczy. Nie istnieje i nigdy nie istniało społeczeństwo, które nie uważałoby za najwyższe dobro miłości, przyjaźni, małżeństwa, sprawiedliwości, lojalności, porządku i harmonii. Wystarczyłoby, nawet najgorszemu człowiekowi, pomyśleć nad tym.

Jednym z najbliższych mi przyjaciół był hrabia Tiso VI, który praktycznie oddał swoją sakwę do dyspozycji synów Franciszka. Tiso spędził życie na walce przeciw innym wielkim feudałom w Marchii Trewizańskiej. Był również zarządcą Marchii Ankony, którą odbił książętom d'Este. W końcu wycofał się do swojej posiadłości w Camposampiero i stał się wielkim dobroczyńcą naszego zakonu, któremu był szczerze oddany.

W Padwie zaprzyjaźniłem się również z pewnym Szwajcarem, który przybywszy tu na studia, został dominikaninem. Nazywał się Albert z Lauingen i posiadał umysł niezwykły, który od razy przyciągnął moją uwagę. Straciliśmy jednak ze sobą kontakt, ponieważ został wysłany na północ, by tam ukończyć studia. Miał zadatki na wielkiego mistrza i świętego. Modliłem się do Pana, aby opiekował się nim, gdyż z tego umysłu zrodzą się kolejne, nie mniej zacne.

Ale dwie dusze były mi szczególnie bliskie – Łukasz Belludi i Elena Enselmini. Łukasz, pochodzący z nobliwej rodziny, został przyjęty do zakonu braci mniejszych przez samego Franciszka. W nim mój duch może spoczywać, zostanie moim spadkobiercą, kiedy mnie już tu nie będzie. Elena jest klaryską, którą sam konsekrowałem. Pan wybrał ją, by pomogła Mu nieść krzyż. Pomiędzy jednym a drugim stanem niemocy widzi Matkę Bożą. Siostry uważają, że przyczyną jej wizji jest choroba, ale ja wiem, że te wizje są prawdziwe.

Tak więc Padwa była dla mnie dobrym miejscem, by umrzeć. Wybrałem ją na mój ostatni dom i muszę powiedzieć, że miasto to odpłaca mi się z wdzięcznością. Rzeczywiście, na moją cześć, pragnę to powtórzyć: władze przyjęły statut, który zabraniał kary więzienia dla niewypłacalnych dłużników. Przez cały okres Wielkiego Postu 1231 roku nie robiłem nic innego, tylko modliłem się za nieszczęsnych dłużników i wszyscy wiedzieli, jak wielka była nienawiść Antoniego dla lichwy. Ze wszystkich tysięcy miast, gdzie rozbrzmiewał mój głos, tylko Padwa oficjalnie przemieniła moją naukę w czyn. Jeśli ojczyzna ziemska jest nie tylko miejscem, w którym są pochowani twoi przodkowie, ale też miejscem, w którym twoje życie zdaje się mieć sens, to właśnie moją prawdziwą ojczyzną jest Padwa. Tutaj bowiem spoczną moje kości, nawet jeśli – o ile to możliwe – po kilku miesiącach nikt już nie będzie pamiętał o Antonim. Ale jeśli Pan zechce, abym został zapamiętany, to proszę Go o to, żeby wspominano mnie nie jako Fernanda de Bulhões ani jako Antoniego z Lizbony, lecz jako Antoniego z Padwy. Na zawsze.

Nie było to miasto łatwe. Między rodami panowała nienawiść, przeciwne frakcje polityczne prowadziły ze sobą walkę, na porządku dziennym były zemsta i lichwa. Tak, jak w innych miastach. Ale w żadnym innym miejscu nie mogłem zebrać tak obfitych

plonów, jakie zebrałem tutaj, i żadne inne miejsce nie odpowiedziało na moje słowa z tak wzruszającą hojnością. Przychodzili, żeby mnie wysłuchać nawet z pobliskich miasteczek i za każdym razem frekwencja była większa. Nie było kościoła, w którym nie poproszono by mnie, abym wygłosił kazanie; przemawiałem także na placach, polach, gdyż miejsca ani czasu nigdy nie było dość – do tego stopnia, że często musiałem kontynuować następnego dnia. Kiedy przybywałem, czekali już wszyscy, którzy byli tu poprzedniego dnia i jeszcze kolejni. Ci pierwsi przychodzili, aby przypomnieć sobie albo streścić pozostałym to, co powiedziałem wcześniej. Zazwyczaj zaczynałem słowami *Heri dicebamus*...[Mówiliśmy tutaj...] i kontynuowałem w języku lokalnym w absolutnej ciszy. Patrzyłem na nich z góry, z ambony albo ze sceny, i widziałem damy oraz panów, mieszczan i wieśniaków, starych i dzieci, księży, zakonników i zakonnice, notariuszy i złotników, często też władze miejskie, coraz częściej biskupa w otoczeniu całego kleru z miasta... Wszyscy stłoczeni jeden przy drugim bez względu na klasę, bogactwo czy stan – tacy, jakimi jesteśmy wszyscy w oczach Boga i jacy będziemy w Dolinie Jozafata.

Pewnego razu było ich tak wielu, że nie byłem w stanie ocenić liczby. Powiedziano mi później, że przyszło ponad trzy tysiące ludzi. Zbierali się już od nocy, przy blasku pochodni, aby nie znaleźć się za daleko i nie ryzykować, że nic nie usłyszą. Ale nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś nie usłyszał, nieważne jak daleko by stał. Wiem o tym. Sklepy w tym dniu zamknięto; zresztą nikt by do nich nie przyszedł. Ale handlarze nie dlatego chętnie zamykali swoje sklepy. Chcieli po prostu dołączyć do tłumu. Bóg, którego nikt nie przewyższy w hojności, zwróci im po trzykroć.

Trzeba było otoczyć mnie służbą porządkową, ponieważ kiedy schodziłem, aby odejść, wszyscy chcieli zbliżyć się do mnie, porozmawiać ze mną, dotknąć mnie, poprosić o błogosławieństwo, może nawet urwać kawałek habitu. Ta wielka popularność nie cieszyła mnie, dzięki Bogu, chociaż wzruszała, ponieważ pragnęli Chrystusa, nie mnie. Chrystusa, którego kobieta od lat cierpiąca na krwotok, próbowała dotknąć z ukrycia, pewna, że potężna moc pochodząca od Niego uzdrowi ją. Ona, nieczysta z powodu utraty krwi, nie zawahała się sprzeciwić prawu, które nakazywało ukamienować ją, gdyby została przyłapana choćby na muśnięciu rabbiego. I z nakazu Chrystusa zgodziła się ujawnić swój podstęp, tam, na oczach wszystkich, wiedząc, że to, co uczyniła, było karane śmiercią. Pan posłużył się nią, aby dać lekcję uczonym i pokazać, że wiara jest ponad prawem. Ci padewczycy, którzy naciskali mnie z każdej strony pokazywali tym samym swe nędzne niedociągnięcia, pokazywali, że potrzebują uzdrowienia i ratunku. Szukali uzdrawiającej mocy Boga w Bożym człowieku. To był ten, który dopiero co skończył do nich przemawiać i oni dobrze wiedzieli, że w to, co powiedziałem, uwierzyłem jako pierwszy.

U stóp ambon, z których przemawiałem, piętrzyły się przeróżne sprawy: skradzione i zwrócone towary, zrabowane i oddane torby z pieniędzmi, weksle na odpuszczone długi. Wielu podchodziło do mnie, wyrażając na głos skruchę i zaświadczając wobec wszystkich, że jakaś niepohamowana siła pchnęła ich, by przyszli na moje kazanie. Niektórzy przybywali z daleka – przez wiele dni kołatał im w głowie jakiś głos, nakazujący, by szli do Padwy do brata Antoniego. Odsyłałem ich, aby poszli się wyspowiadać i nadszedł moment, kiedy biskup musiał przywołać księży z innych

miast, aby sprostać zapotrzebowaniu na spowiedź.

Zasiadałem w miejscu pojednania wczesnym świtem i pozostawałem tam do zmierzchu albo dłużej. Było to zadanie, które należało wykonać i trzeba było kłaść na nie szczególny nacisk, ponieważ na tym polu heretycy zasiali bardzo dużo kąkolu. Oprócz katarów wiele zła uczynili także naśladowcy Piotra Waldo z Lyonu. W odróżnieniu od tych pierwszych, zawsze pozostawali oni chrześcijanami, lecz ich sprzeciw wobec kleru i wszystkiego, co się z nim wiązało, wywodził się z obcych religii. Ponieważ jako osobom świeckim (a więc pozbawionym odpowiedniego przygotowania) zabroniono im głoszenia nauk, zbuntowali się i kontynuowali swoje dzieło, gardząc wszelkimi napomnieniami. Doszło do tego, że nawet największe nieuki były przekonane, że są w stanie głosić kazania i nauczać innych o planach Bożych. Uczestnicząc w prawdziwych kazaniach, podsłuchiwali jakieś ogólniki, które powtarzali na swój użytek. W końcu jedyną rzeczą, w której stali się naprawdę dobrzy, było występowanie przeciwko Kościołowi i księżom. Głosili, że wystarczy świętość życia, aby się zbawić. I tak, krok po kroku, ostatecznie odrzucali wszelkie pośrednictwo Kościoła. Już sam fakt, że twierdzili, iż niczym nie różnią się od księży, czynił ich niebezpiecznymi i to złe nasienie rozpowszechniało się, jak to zwykle bywa, wśród ludzi słabej wiary. Tak, ponieważ ludzie widzą w księdzu tylko drugiego człowieka, nawet jeśli jest ubrany inaczej niż oni. Często, jak trzeba dodać, znają jego ludzkie niedoskonałości i trzeba wielkiej siły wyobraźni, by dostrzec w nim uświęcającą moc Boga. Wypadło na mnie, bym stał się przykładem ze względu na autorytet moralny, jaki zyskałem sobie wśród ludu.

Najtrudniejszą sprawą było przekonanie ludzi, że spowiadają się nie przed człowiekiem, lecz przed Chrystusem. I wszystko było dobrze, dopóki spowiadał Antoni. Kiedy zjawiali się inni księża, znowu wracaliśmy do punktu wyjścia. A ja od nowa powtarzałem to samo. Przede wszystkim starałem się przekonać, że spowiedź jest nie tyle końcem, co początkiem: z tą samą łatwością, z jaką się spowiadasz, musisz poprawić się w tym, z czego się spowiadasz, gdyż wielu jest takich, którzy się spowiadają, ale nigdy się nie zmieniają. Są też tacy, którzy coś ukrywają, bo się wstydzą – i tych jest większość. Musiałem zatem nieustannie grozić wiecznym potępieniem i przypominać, że bardziej trzeba żałować popełnionego grzechu niż utraty wszystkich bogactw tego świata, gdyż stracić łaskę Jezusa Chrystusa to więcej niż stracić najcenniejszy, najdroższy, najwartościowszy skarb.

Lecz była to często syzyfowa praca.

Oto epizod, który poruszył mnie najbardziej: do mojego trybunału pokuty przybyło dwunastu mężczyzn, o których dużo słyszałem; byli to bandyci najgorszego rodzaju, skazani na wygnanie i winni strasznych przestępstw. Ich przywódca powiedział mi, że przyszli wysłuchać mojego kazania zaciekawieni tym, co się mówiło na mój temat. Przybyli przebrani za wieśniaków, z kapturami zaciągniętymi na oczy, gdyż groził im stryczek. Byli jednak nierozważni, bo już wcześniej – by wykazać się swym sprytem i przebiegłością – wielokrotnie robili rzeczy o wiele bardziej niebezpieczne. Powiedzieli, że kazanie odebrało im mowę i poczuli się zagubieni jak dzieci. Chcieli pojednać się z Bogiem i błagać Go o przebaczenie. Byli nawet gotowi oddać się w ręce sprawiedliwości, gdybym tego od nich zażądał. W obliczu takiej skruchy nie mogłem

postąpić inaczej, jak tylko udzielić im rozgrzeszenia, ale pod pewnym warunkiem. A mianowicie: pod groźbą gniewu Bożego nie wolno im dopuścić się już żadnego, choćby jednego jedynego, występku. Musieli też dwanaście razy – a więc tyle, ilu ich było – udać się z pielgrzymką do grobu Apostołów. Tylko wtedy, gdy odbędą pokutę, zapłacą odpowiednią cenę i będą mogli być pewni, że otrzymali przebaczenie. Wiem, że rozpoczęli pielgrzymowanie i wytrwają w tym. Niektórzy z nich zostaną wezwani wcześniej, tylko przywódca odbędzie dwanaście pielgrzymek. Ale oddałem ich wszystkich pod opiekę Dobrego Łotra, któremu udało się ukraść nawet miejsce w niebie.

Bonakurcjusz z Imoli do biskupa Jacopo

Pozdrawiam.

Jako że poprosiłeś mnie, abym informował Cię o wszystkim, co dotyczy naszego ukochanego brata Antoniego, wiedz, że czuje się on dobrze i że nasz zakon wielce się raduje na myśl, że może gościć tego błogosławionego mnicha. Boża ręka czuwa nad nim, a więc również nad nami.

Ale przejdźmy do faktów. Pewnego dnia zjawił się u nas dzielny mężczyzna ze swoją czteroletnią córką na rękach; stworzenie to było całe pokręcone, a na dodatek, dotknięte epilepsją. Mówię „było”*, gdyż ojciec chciał, aby brat Antoni położył na nim swoje dłonie. Wyobraź sobie resztę.*

Następnego dnia przyszła do mnie do spowiedzi pewna młoda kobieta, nasza dobrodziejka, i opowiedziała mi, przysięgając na wszystkie świętości, że udała się na ostatnie kazanie, jakie brat Antoni wygłosił na placu. W wielkim pośpiechu poślizgnęła się i upadła do wielkiej błotnistej kałuży, po czym podniosła się zupełnie sucha i czysta. A dama ta, aby uszanować kaznodzieję, założyła nową, bardzo kosztowną suknię, którą dopiero co podarował jej mąż. Nie jestem w stanie Ci opisać jak bardzo to przeżyła.

Kiedy ta wyszła, przyszła do mnie inna kobieta, z malutkim dzieckiem. Powiedziała, że urodziło się bez czucia, ze sztywnymi kończynami. Czekała z maleństwem w ukryciu na ścieżce we wsi, gdyż wiedziała, że Antoni i brat, który mu towarzyszył, wracając z miejsc, gdzie święty przemawiał, obierali boczne, kręte drogi. Robili tak, by uniknąć wszystkich tych, którzy chcieliby podziękować, ucałować stopy, dać różne przedmioty do błogosławieństwa, a może urwać nawet kawałek szaty jako relikwię. Kobieta szła za nimi przez jakiś czas, następnie wyszła przed nich z dzieckiem. Antoni napomniał ją, gdyż było to postępowanie niesprawiedliwe wobec innych i z tego względu – nieuczciwe. Lecz desperacja tej matki wzruszyła jego towarzysza, który wstawił się za nią. I tak Antoni raczył pobłogosławić biedną kalekę znakiem krzyża. Cud. Brat napomniał kobietę, aby milczała. Jednak ona przyszła wyjawić mi to w konfesjonale. Ja też nie wyjawiam sekretu, ponieważ nie podaję jej imienia. Tyle tylko, że dobrze znałem ją oraz jej nieszczęście. Kiedy zobaczyłem więc chłopczyka biegającego i skaczącego, jak mogłem nie spytać jej, kiedy i jak to się stało?

Jednak wydarzenie, które odbiło się największym echem, zachowałem na sam koniec. Oto ono: wczoraj w nocy usłyszeliśmy ryk dochodzący z celi brata Antoniego. Natychmiast pobiegliśmy tam, zapukaliśmy do drzwi i wołaliśmy go, ale nikt nie otwierał ani nie odpowiadał. Zmartwiony, przystawiłem ucho do drzwi i usłyszałem dziwne rzężenie. Instynktownie zniżyłem się, żeby podejrzeć przez dziurkę od klucza. Pewnie

zastanawiasz się, czemu wahałem się, aby nakazać wyważenie drzwi. Odpowiem Ci, że obawiałem się, iż mogę się mylić: to, co zdawało mi się rzężeniem mogło z całym powodzeniem okazać się chrapaniem Antoniego. Nasz ukochany brat nie oszczędza się i nie chciałem zakłócać tych kilku godzin, jakie udało mu się przeznaczyć na sen, nawet jeśli kierowałem się słuszną intencją.

Jednakże naprawdę było to rzężenie. Dostałem gęsiej skórki, kiedy zobaczyłem monstrualnych rozmiarów stwora, który jedną ręką ściskał szyję Antoniego, unosząc go nad ziemią. Doskonale słyszałem, jak Antoni wyszeptał przez zaciśnięte zęby imię Najświętszej Panienki. Oślepiające światło rozbłysło w pomieszczeniu i wszystko się skończyło. Wszystko trwało nie dłużej niż „fiat" Maryi i ustąpiło miejsca jasności słodkiej i łagodnej, która przeniknęła przez szpary w drzwiach. Wszyscy to widzieli i byli przyjemnie zadziwieni. Wyznam Ci, że nie oparłem się pokusie, aby zapalić świecę. Pozostali poszli w moje ślady i mogliśmy cieszyć się niezwykłym spektaklem świetlnych snopów wydostających się z nad i z pod drzwi, przez dziurkę od klucza, przez szczeliny w ścianie przy zawiasach, rzucając swój cudowny blask w ciemności korytarza. Kilku nowicjuszy, tłumiąc wielką radość, zaczęło bawić się, łapiąc promienie na ubraniach, rękach, twarzach. Lecz ja jednym gestem przywołałem ich do porządku i nie przerywając największej ciszy odprowadziłem wszystkich do snu. Zakładając, że uda im się, podobnie jak i mnie zresztą, ponownie zasnąć.

I to wszystko, jak dotąd. Jeśli wydarzy się coś jeszcze – spodziewam się, że szybko, wiedząc z kim mamy do czynienia – nie wątp, iż zadbam o to, byś mógł w tym uczestniczyć. Bądź zdrów.

Bartolomeo z Pizy do Marka z Lizbony

Pozdrawiam.

Kiedy usłyszałem świadectwa i dowiedziałem się od naszego gwardiana, że mam zwrócić się do Ciebie z odpowiedzią, w związku z powyższym pozwól, że podsumuję nadzwyczajne fakty dotyczące brata Antoniego, aby zweryfikować czy Twoja wersja pokrywa się z moją, czy też mnie lub Tobie umknęły jakieś szczegóły. Niniejszym przechodzę do sprawy. Ty, kiedy przeczytasz moje sprawozdanie, uczyń mi przysługę, odpowiadając zwyczajnym sic!*, jeśli się zgadzasz, lub poinformuj mnie, czego brakuje albo co jest nieprecyzyjne.*

I tak: w Twoim mieście trwała odwieczna nienawiść między dwoma rodzinami, które nie szczędziły sobie nawzajem afrontów, intryg, złośliwości, odwetów i wendety. Jeden z ojców, aby zmyć zniewagę, zdradziecko zaatakował syna rywala i w trakcie bójki zabił go. Ponieważ wszystko stało się w nocy z dala od wścibskich oczu, to z wielkim prawdopodobieństwem należy stwierdzić, że zabójstwo nie było zamiarem agresora. Ten, wiedząc, że będzie głównym podejrzanym, jeszcze tej samej nocy udał się do ogrodu pewnego patrycjusza, by tam zakopać swą ofiarę. Chodziło o dom rodzinny Bulhões, w którym nadal żyją rodzice z braćmi i siostrami brata Antoniego. Zabójca nie zamierzał zrzucić na nich winy; myślał tylko, że nikt nie będzie szukał zwłok właśnie tam. Ale stało się tak, że świadkowie zeznali, że widzieli zamordowanego młodzieńca wieczorem w dniu jego zaginięcia właśnie przed tym domem. Urzędnik badający zdarzenie poprosił Marcina de Bulhões, gospodarza domu i ojca Antoniego, o zgodę na przeprowadzenie inspekcji

i pozwolenie takie otrzymał bez jakichkolwiek podejrzeń. Jednakże odkryto ślady w postaci grud niedawno rozkopanej ziemi i po sprawdzeniu tego miejsca znaleziono zwłoki. Wtedy przypomniano sobie o starej zadrze między Marcinem a ojcem zamordowanego, która miała miejsce, kiedy król był jeszcze dzieckiem i trwała tak krótko, że wszyscy uważali ją za niebyłą. Naturalnie, dochodzenie wszczęte było również przeciwko prawdziwemu winowajcy, gdyż nienawiść między jego rodziną a rodziną zabitego była znana w całej Lizbonie. Ale, jak nie trudno się domyślić, znalazły się dziesiątki opłaconych świadków, gotowych poświadczyć, że tej nocy zabójca był z nimi. Marcin z synami zostali aresztowani i zatrzymani do czasu zebrania się sądu.

I teraz nadszedł moment, w którym musimy bardzo uważać na szczegóły, gdyż nasuwają się dwa pytania. Pierwsze: skąd brat Antoni mógł wiedzieć, co działo się wówczas w jego rodzinie? Drugie: w jaki sposób dotarł do Lizbony, aby wziąć udział w procesie i być przez cały dzień ze swoją rodziną, skoro następnego ranka był już z powrotem w klasztorze w Padwie? Pomiędzy nami są setki mil i człowiekowi na koniu podróż zajęłaby wiele tygodni. Ponadto Antoni zawsze porusza się pieszo. Mało tego, nawet kiedy przydarzyło mu się kiedyś odstąpić od tej reguły, nigdy nie pozwoliłby sobie na to, nie pytając wcześniej o zgodę przełożonego. A tym razem o pozwolenie takowe nie prosił. Z całą pewnością wiemy, że poprosił gwardiana, by mógł się oddalić na dwie noce i jeden dzień, ponieważ rodzina potrzebowała jego pomocy. Z niemniejszą pewnością wiemy również, że dwa ranki później był widziany przez wszystkich współbraci, jak wchodził z powrotem do klasztoru. Z drugiej strony, mówią mi, iż Ty zapewniasz, że wszyscy w Lizbonie wiedzą o niespodziewanym pojawieniu się brata Antoniego na sali rozpraw. Nie może być jakiejkolwiek wątpliwości co do tego, od chwili, kiedy brat uczynił niezwykły cud, cud, który wszyscy obecni widzieli i który, co było do przewidzenia, odbił się szerokim echem w mieście.

Jego sława była już od dawna wielka i sędziowie nie czynili najmniejszych problemów, aby wyrazić zgodę na otworzenie wieka trumny. Zabalsamowane zwłoki istotnie przechowywane były w przyległej kaplicy do dyspozycji specjalistów i chirurgów sędziowskich. Antoni w imię Boga nakazał zmarłemu powiedzieć, kim był jego zabójca. I zmarły powiedział.

Potwierdzasz? Oczekuję wieści od Ciebie. Pozdrawiam.

Marek z Lizbony do Bartolomea z Pizy

Życzę Ci zdrowia.

Nie wiem, od kogo słyszałeś historię, o której mi napisałeś, niemniej jednak mogę Cię zapewnić, że sprawy miały się zgoła inaczej. Nie miało miejsca żadne zabójstwo ani formalne oskarżenie w takowej sprawie wobec rodziny Bulhões. Zdarzył się raczej wypadek, poważny to prawda, ale wszystko działo się za zamkniętymi drzwiami i w ścisłym gronie rady królewskiej.

Marcin Bulhões jest wysokim urzędnikiem królewskim. Jako takowy przez pewien czas musiał zarządzać olbrzymią sumą pieniędzy w związku z jakimś przedsięwzięciem, o którym niewiele wiem. On nierozważnie przekazał je kilku funkcjonariuszom wysokiej rangi, którym ufał, gdyż byli nominowani przez samego króla. A jednak pieniądze te zniknęły. Kiedy sprawa wyszła na jaw, król poprosił Bulhõesa o przedstawienie

rachunku wydatków, on zaś wskazał nazwiska tych, którzy wzięli pieniądze. Ci, poproszeni o odpowiedź, wszystkiemu zaprzeczyli. Tak, ponieważ Bulhões był tak naiwny, że nie przyszło mu do głowy, by wziąć poświadczenie pisemne.

Antoni pojawił się w środku burzliwego posiedzenia, w obecności króla. Otrzymawszy pozwolenie, opowiedział ze wszystkimi szczegółami, jak naprawdę potoczyły się wydarzenia i w imię Boga nakazał tym złodziejom powiedzieć prawdę przed obliczem króla. Jako że wszyscy znali sławę Antoniego, jaką zyskał we Włoszech i we Francji, łotry przestraszyli się i wyznali, że uknuli ten spisek, by zdyskredytować Bulhõesa, żeby popadł on w niełaskę. Natychmiast oddali pieniądze, co zapobiegło utracie przez Bulhõesa królewskiej łaski.

Takie są fakty. Pozdrawiam Cię.

Bywały dni, że spowiadałem aż do nocy. Od świtu. Bez jedzenia, a czasami nawet bez picia. Kiedy potrzeby cielesne zaczynały mnie nękać, spoglądałem na kolejkę tych, którzy oczekiwali na spowiedź: wielu pościło od wieczora z obawy, że stracą miejsce, inni siadali na podłodze ze zmęczenia. Kiedy widzieli, że wstawałem i odchodziłem, strach, który malował się na ich twarzach, a czasami nawet rozpacz, ściskały moje serce. Były tam kobiety, które zostawiły małe dzieci same w domu, inne lękały się gniewu męża w przypadku spóźnienia, jeszcze inne przyszły w tajemnicy przed mężem czy ojcem niewierzącym i srogim. Tak więc wielokrotnie zaciskałem zęby i zostawałem na swoim miejscu. Nieruchomy, w pozycji siedzącej, aż zaczynały boleć mnie plecy i kości, stawy zaczynały skrzypieć, a pośladki palić. Zimą stopy marzły mi aż do bólu; czasami kładłem się do łóżka tak zdrętwiały, że nie mogłem zasnąć. Latem, zduszony w niewielkim konfesjonale, w którym siedziałem ściśnięty i otoczony przez tłum, musiałem ciągle ścierać pot bezustannie spływający mi z czoła do oczu. Z każdą porą roku puchlina pożerała mnie bardziej, a ból doprowadziłby mnie na skraj ludzkiej wytrzymałości, gdyby Bóg nie przyjął ofiary, jaką mu złożyłem i nieustannie nie trzymał swojej dłoni nade mną.

To było konieczne, to wszystko było konieczne, abym nie walczył ze zniecierpliwieniem, zimnem i gorącem, głodem i snem, zmęczeniem i zdrętwieniem członków, nudą i bezczynnością, chorobą i cuchnącymi oddechami blisko mojej twarzy, znużeniem wywołanym przez gaduły i nieudaczników, krętaczy i nieśmiałych, głupków i tych, którzy rozgadują się o winach innych. Nie, ja walczyłem z demonami, które trzymały ich wszystkich przytwierdzonych do ich własnego punktu widzenia, do ich wad i grzechów; walczyłem, by oczyścić drogę do ich serc dla Łaski. Aby tego dokonać, musiałem pomóc Chrystusowi nieść krzyż przez kawałek Kalwarii.

Kiedy wreszcie unosiłem dłoń, by pobłogosławić grzesznika, ciężar jego win spadał na mnie i odczuwałem go aż w moich wnętrznościach, ale jednocześnie przytłaczające uczucie ulgi zalewało mą duszę i z niego czerpałem siłę, by podjąć walkę od nowa, rozpoczynając kolejną spowiedź.

Biskup Jacopo do przeora Gualtiero

Pokój i zdrowie!

Proszę Cię, byś przysłał mi ilu tylko możesz spośród swoich mnichów, którzy są także kapłanami. Tutaj brat Antoni uruchomił coś w rodzaju lawiny spowiedzi i muszę przyznać, że czegoś podobnego nigdy nie widziałem. Wyjaśnię to dokładniej: nie

spotkałem dotychczas nikogo, kto używałby konfesjonału jako narzędzia masowej misji. Jego strategia wydaje mi się następująca: najpierw przemierza wszystkie dzielnice, głosząc kazania skierowane do jak najszerszej rzeszy ludzi, potem udoskonala to, co powiedział do tłumów, przechodząc w szczegółach ad personam*, zgłębiając, poprawiając, dopasowując, sprawdzając to, co zasiał we wszystkich i w każdym z osobna.*

Powiedziałem, że coś podobnego nie zdarzyło się do tej pory, również z innego powodu: niezmierne tłumy gromadzą się na jego kazaniach i ta sama liczba skruszonych przybywa następnie do trybunału pokuty. Teraz wystarczy nawet jedno kazanie, by zgromadzić tysiące osób. Jednak w kwestii spowiedzi zaczynają się problemy. Sam Antoni nie wystarcza, jak sam rozumiesz, tym bardziej, że według niego chrześcijanie powinni przywyknąć do częstej spowiedzi. Dodaj jeszcze, co następuje: jest wielu kapłanów, którzy przychodzą do mnie i opowiadają o zdarzeniach, które byłyby zadziwiające, gdybyśmy już do zdziwienia nie przywykli, od kiedy Antoni jest pośród nas. Przychodzą do nich kobiety i mężczyźni, którzy mówią, że śnił im się Antoni, nakazując im, by udali się do owego księdza i wyznali ten czy tamten grzech. Wspomniany grzech czy grzechy zostają opisane w szczegółach dotyczących zarówno czasu, jak i okoliczności. Podsumowując, zdaje się wręcz, że Antoni wzywa osobiście nawet tych, którzy z nieprzymuszonej woli nie poszliby się wyspowiadać. Rozumiesz więc, jak bardzo potrzebuję kapłanów, zważywszy, że ci, których mam ledwie wystarczają dla niewielkiej cząstki spośród zebranych. Pospiesz mi z pomocą w tej potrzebie i wiedz, że prośby tego rodzaju kieruję do wszystkich okolicznych diecezji.

Pokój i zdrowie!

Pan jako Dobry Pasterz nieustannie dawał mi odczuć swoje wsparcie; czasami dawał mi satysfakcję, pozwalając leżeć na zielonych pastwiskach i prowadząc nad wody, gdzie mogłem odpocząć[19], a czasami popędzając mnie kijkiem. Gorzki smak Bożego kija poznałem wówczas, gdy straciłem cierpliwość dla Leonarda, młodzieńca, który po raz wtóry przyszedł wyznać brzydki grzech. Miał bardzo zły nawyk: otóż ilekroć wpadał w złość, podnosił rękę na matkę. Mówił, że to nie jego wina, że traci rozum i rzuca przedmiotami, przewraca meble, bije i wrzeszczy. Kiedy wściekłość mijała, trwa w oszołomieniu przez kilka godzin, tak jakby to nie on, ale ktoś inny stracił panowanie nad sobą. Z tą słabością nie potrafił sobie poradzić i za każdym razem przychodził się wyspowiadać. Owszem, za każdym razem żałował, ale żal trwał tylko do następnego razu.

Kiedy przyszedł po raz kolejny, ja – nie wiedząc już, co zrobić, żeby wpłynąć na niego, by bardziej zaangażował się w pracę nad sobą – podniosłem głos. Potraktował tę biedną kobietę, która była jego matką kopniakiem. Niewiele brakowało, a zraniłby ją poważnie, nie mówiąc już o upokorzeniu. Mając nadzieję, że uda mi się nim porządnie wstrząsnąć, skoro wielokrotne łagodne napomnienia i prośby nie przyniosły efektu, zacząłem grozić mu karą wieczną. Potrząsając go za ramię, przypomniałem mu, co mówi Ewangelia o członkach, które są powodem grzechu. Jego przeklęte stopy zaprowadzą go do piekła, gdzie kończą ci wszyscy, którzy łamią przykazanie „czcij ojca swego i matkę swoją". Chodziło mi dokładnie o ten cytat „I jeśli prawa twoja ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła"[20]. Przytoczyłem mu go

dosadnie prosto w twarz z największą surowością, na jaką mogłem się zdobyć i puściłem, nakazując, by nie pokazywał się więcej, dopóki definitywnie nie pozbędzie się tego swojego przeklętego nawyku.

Nie mogłem przewidzieć tego, co się wydarzyło. Bóg dopuścił, by bezgraniczny lęk przeniknął duszę tego chłopca. Uczynił to dlatego, aby nauczyć mnie, żebym zawsze zwracał się do Niego zanim zrobię coś po swojemu. Długie doświadczenie spowiednika sprawiło, że poczułem się wspaniały i pewny swoich zdolności rozpoznawania człowieka. Szybkie i brutalne metody czasami przynosiły owoce, oczywiście, ale jednak nie zawsze się sprawdzały. Powinienem był prosić Ducha Świętego o pomoc i radę. W każdym przypadku, za każdym razem. Bóg nie stworzył wszystkich ludzi takimi samymi; jest to prawda tak oczywista, że się o niej zapomina. Nie miałem dla siebie żadnego wytłumaczenia: wybrałem drogę doskonałości i nie mogłem pozwolić sobie na uchybienia; zostałem powołany, aby być przewodnikiem dla innych i nie mogłem pozwolić sobie na to, aby być jednookim lub ślepym jak oni; wzniosłem swoje dzieło na skale Bożej i nie mogłem nawet na chwilę ulec pokusie, by uciec się do moich ludzkich możliwości.

Aby przywołać mnie do porządku, Bóg dał mi nieźle po głowie: ów nieszczęśnik tak bardzo przejął się moimi słowami o tym, że może spotkać go zasłużona kara – powiedział mu to przecież sam znany Antoni, nie jakiś tam ksiądz – iż odciął sobie stopę. Dosłownie: pobiegł do domu, wziął siekierę i w desperacji okaleczył się. To była osoba impulsywna, skłonna do nagłej utraty kontroli i przejścia w przeciągu paru chwil ze stanu euforii do najgłębszego smutku. Wiedziałem o tym i powinienem był to przewidzieć, nie ma więc najmniejszego usprawiedliwienia mojej winy.

Matka, usłyszawszy jego przeraźliwe krzyki, nadbiegła i znalazła go w kałuży krwi. Krótko mówiąc, powód krzyku był przeraźliwie jasny, tak jak jasne stało się, że Leonardo umrze z wykrwawienia, jeśli przerażająca rana nie zostanie natychmiast opatrzona. Związawszy mocno nogę chłopca i posławszy po medyka, kobieta pognała do klasztoru, do mnie, na wpół oszalała ze złości i rozpaczy. Kiedy zrozumiałem, co się stało, poczułem, jakbym umarł w środku i zacząłem błagać Pana, aby poniechał ukarania mnie ponad miarę. Zdałem sobie sprawę, jak wielki błąd popełniłem i ścierpnąłem w obliczu Boskiej nagany. Kiedy biegłem w stronę domu, podążając za wrzeszczącą kobietą, zaklinałem Boga, by oszczędził mi tej próby; i to nie tyle ze względu na mnie, bo w zupełności zasłużyłem na nią przez moje zarozumialstwo, ile przez wzgląd na dusze, które zostały mi powierzone, bowiem wieść o tym rozniosłaby się w okamgnieniu i dzieło całego życia rozpłynęłoby się niczym śnieg na słońcu. Nikt już nie zaufałby Antoniemu.

Całą twarz miałem zalaną gorzkimi łzami, kiedy pochyliłem się nad tą odrąbaną stopą. Krew była wszędzie, Leonard zemdlał. Medyk odwinął bandaże i przymierzał się, by przyłożyć rozżarzone żelazo. Lecz wszyscy zamarli w bezruchu, spoglądając na mnie. Zrobili mi miejsce, kiedy zobaczyli, że zbliżałem się do kikuta. Tylko, że tam nie działałem już ja, lecz Duch Święty, który utulił moje serce i od tej pory kierował moimi ruchami. Złączyłem stopę odrąbaną od kończyny i pobłogosławiłem znakiem krzyża. Potem wstałem i zawołałem Leonarda. Natychmiast wróciła mu przytomność i uśmiechnął się do mnie. Zachowywał się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Nie została

nawet blizna. Chłopak, pogodny i spokojny, wstał i podszedł do matki. Wszyscy powoli uklękli i patrzyli w moją stronę. Lecz ja odszedłem najszybciej, jak tylko potrafiłem. Musiałem pobiec przed Najświętszego, zanim radość rozerwałaby mi pierś.

[17] Colomba – gołębica [przyp. tłum.].

[18] Zob. Ps 127,1 [przyp. tłum.].

[19] Por. Ps 23,1-2 [przyp. red.].

[20] Mt 5,30 [przyp. red.].

10.

Ezzelino da Romano nosił króciutko przystrzyżone tych parę włosków, które mu zostały, pomimo że był w moim wieku. Brodę miał natomiast gęstą, czarną i kręconą, co sprawiało, że wyglądał na jeszcze bardziej chmurnego. Zmarszczki mówiły, że ta twarz nigdy nie rozjaśniła się w uśmiechu, a pionowa bruzda pomiędzy brwiami mówiła o nocach nieprzespanych z powodu lęku. Ten mężczyzna dorastał w niepewności i podejrzliwości.

Pierwszy raz zobaczyłem go w Weronie. Był przekonany, że wszystkie głosy, jakie go dobiegały, były przerażająco prawdziwe. Nigdy nie miał dość ani władzy, ani pieniędzy. Wyczuwałem, w jego przeszłości, że jako dziecko nie doświadczył nigdy miłości, więc jako dorosły potrafił dowartościować się tylko w jeden sposób – chciał, by się go bano. I świetnie mu się to udawało, zważywszy, że znaleźli się ludzie gotowi zdradzić, to, co było im najdroższe właśnie ze strachu przed nim. On o tym wiedział i cieszyło go podsycanie jego smutnej sławy bezwzględnego zabójcy. Giulielmo z Asti pewnego razu powiedział mi, że w swoim mieście i okolicy natknął się wielokrotnie na kalekich i ślepych, którzy prosili o jałmużnę, wzbudzając litość przechodniów opowieściami, że to Ezzelino tak ich urządził. Może nie zawsze była to prawda, ale ludzie w to wierzyli, gdyż metody stosowane przez tego człowieka były powszechnie znane. Zabijał, kiedy uważał to za konieczne, jednak z reguły wolał oślepiać i okaleczać, aby ofiary mogły rozgłaszać o jego okrucieństwach i uprzedzać potencjalnych wrogów. Ronaldino z Padwy opowiedział mi w tajemnicy o podziemnych lochach, w których kobiety były bestialsko gwałcone i o pustych zbiornikach, w których pozostawiano mężczyzn na śmierć z głodu i pragnienia.

Ezzelino, syn Ezzelina, syna Ezzelina. Imię, które jest niczym złowroga wróżba. Germanowie mówią Etzel, po łacinie *Atylla*. W swym rodowodzie, przekazywanym z ojca na syna, Ezzelin był trzecim rządzącym. Pojawił się kiedyś pieśniarz, trubadur Sordello z Goito, o którym nie można było powiedzieć nic złego, ale który był żywo zainteresowany wdziękami panny Cunizzy. Lecz wątpię, by siostrę Ezzelina cieszyły poetyckie względy jakiegoś grajka bez sławy, jednego spośród wielu zamieszkujących słynący z przepychu dwór włoskiego Atylli, który dominował nad Vicenzą, Veroną, Bassano i rzucał złowrogi cień na Padwę. Kobieta, godna siostra tak wielkiej osobistości, mogła co najwyżej gościć śpiewaka w swoim aż nazbyt zatłoczonym łóżku. Zresztą ona nawet nie wiedziała, co to są skrupuły czy przyzwoitość. Widziała swojego męża Rizzardo wtrąconego do jednego z najbardziej obskurnych więzień Ezzelina. Inna kobieta błagałaby brata, wstawiłaby się za swoim mężem, a ta uciekła z jednym ze swoich licznych kochanków. Nędzna rodzina, grzesznicy najgorszego rodzaju, z tej bandy, co grzeszy nie ze słabości, o nie, grzeszy, bo kocha grzech.

I muszę powiedzieć jeszcze to: nie zdziwiłbym się, gdyby Cunizza pewnego pięknego dnia zmęczona męskimi klejnotami wejrzała w siebie i jak marnotrawny młodzieniec z Ewangelii poczułaby tęsknotę za domem Ojca. Wielokrotnie widziałem jak wielcy grzesznicy zmieniali kurs. Niektórzy mają skrajne osobowości. Są to natury wspaniałe, obdarzone otwartym sercem, niezdolne do półśrodków, wielcy w czynieniu

zła i odwrotnie, po nawróceni wielcy w czynieniu dobra. Z całą pewnością o tym chce nam powiedzieć Ewangelia, kiedy potępia letnich i zapowiada, że będą oni „wyrzuceni z ust". *Quia tepidus es, nec frigidus nec calidus, incipiam te evomere ex ore meo*[21] – mówi Pan. Często człowiek nie popełnia grzechów ciężkich, gdyż jest czymś ograniczony i brak mu odwagi. Zadawala się grzeszkami, w których się tarza, usprawiedliwiając się, że to nic poważnego. Żeby oszukiwać w drobnych sumkach, nie trzeba tak wielkiej odwagi, jak wtedy, gdy trzeba poderżnąć ofierze gardło, patrząc jej prosto w oczy. Ale właśnie to wielkość grzechu, świadczy o jego wadze w oczach tego, kto go popełnia. Kto naprawdę kocha grzech, ma pełną świadomość tego, co czyni, w przeciwieństwie do nieszczęśnika, który nigdy nie popełniłby wielkiego grzechu, gdyż nie miałby takiej odwagi. Ten drugi spędza życie w kloace grzeszków, od których nigdy się nie uwalnia, bo jedyną rzeczą, jaka go interesuje jest żyć nie najgorzej, to jest grzeszyć, ale nie za bardzo, i czcić Boga, również nie za bardzo. Wszystko można powiedzieć o rodzie Ezzelinich, ale nie to, że jego członkowie byli miernotami. Może jakaś schorowana zakonnica gdzieś w jakimś nieznanym klasztorze zechce ofiarować Bogu swoje cierpienie za nawrócenie grzeszników. Kto wie, może Łaska spłynie właśnie na Marchię.

Ezzelin III po zwycięskiej wyprawie na wrogów imperium dla wymiernych korzyści porzucił strój wojskowy i został nawet mężem zaufania cesarza Fryderyka II we Włoszech. Od cesarza, który obiecał mu rękę swej córki Selvaggii, nauczył się bezbożności i całkowitego braku skrupułów. Tak jak jego pan i władca nie bał się ekskomuniki, a nawet czynił sobie z niej żarty; tak jak on walczył z Kościołem i każdą władzą, która chciałaby mu przeszkodzić czy chociażby w najmniejszym stopniu podważyć jego potęgę. Dlatego też – jak wszyscy z ugrupowania imperatora – sprzyjał heretykom, co nie oznaczało jednak, że zawahałby się skazać ich bez litości na stos, gdyby w swojej nienawiści przekroczyli wąskie granice, jakie zostały im wyznaczone i zaatakowali kogoś innego niż księży. Jak ci wszyscy, którzy gardzą Bogiem i Jego przykazaniami, znalazł się w końcu w sytuacji, w której przyszłość stawała się coraz mniej pewna, a on desperacko poszukując otuchy, otaczał się magami i astrologami, którzy gwiazdami mieli zapełnić jego puste niebo. Chcąc powiększyć swoje dominium, bezustannie wszczynał wojny, aż w końcu pod jego rządami znalazła się cała Marchia Treviso, a wiele autonomicznych miasteczek żyło w trwodze przed grożącą im z jego strony utratą wolności.

Oto jak doszło do mojego spotkania twarzą w twarz z tym diabłem. W Weronie partia wroga stronnikom Ezzelina zjednoczyła się z wojskami przeciwnej frakcji, lecz wyszła na tym gorzej niż się spodziewała. W starciu wielu zostało zabitych i wielu dostało się do niewoli. W ręce Ezzelina dostał się też przywódca gwelfów, Ryszard Sanbonifacio. W owych czasach spór między ugrupowaniem wiernym papieżowi a stronnictwem zwolenników cesarza nie tylko podzielił poszczególne miasta między sobą, ale również poróżnił je wewnętrznie. Padwa była wroga wobec Ezzelina, dlatego tu schronienia i ratunku szukali ocaleli zwolennicy Ryszarda. Padewczycy zorganizowali udaną ekspedycję karną na Weronę, podczas której uwolniono Sanbonifacia i jego ludzi. Ponieważ Ezzelin zbierał oddziały, by ruszyć z odwetem, mieszkańcy Padwy przyszli do mnie z prośbą o wstawiennictwo u okrutnego gibelina[22]. Chcieli, bym poprosił go

o uwolnienie więźniów za sowity okup. Byli pewni, że przesądny tyran nie odmówi sławnemu Antoniemu, cudotwórcy. Mało tego, liczyli, że na znak skruchy Ezzelin posypie głowę popiołem, ukorzy się i zaprzestanie okrucieństw, oszczędzając tym samym kolejnych pogrzebów i nieszczęść, a być może wynagrodzi za te poprzednie. Dawniej przede mną – narzędziem Boga wszechmogącego – miękły serca najstraszniejszych bandytów i wiele dobra z tego wyniknęło. Jak wielkie dobro miałoby wypłynąć z nawrócenia tego okrutnego władcy?

Trudno jest wyjaśnić niektóre sprawy komuś, kto nie ma za sobą wielu lat ascezy i ciągłej łączności z Duchem Świętym. Padewczycy nie uwierzyliby mi, gdybym powiedział im, że nawet Antoni nie może nawrócić kogoś, kto nie chce zostać nawrócony. Nawet gdyby Bóg dokonał niezwykłego cudu na oczach Ezzelina, on pozostałby niewzruszony. Mało tego, jeszcze bardziej zamknąłby się w swojej pysze jak w pancerzu chroniącym go przed światem, który od zawsze uważał za wrogi sobie. Kto ma takie usposobienie, mierzy wszystko swoją miarką, jedyną, jaką zna: atakuje z obawy przed atakiem, zabija z obawy, że sam zostanie zabity, terroryzuje, bo sam żyje w strachu. Oczywiście, Bóg może wszystko. Bóg może sprawić, że nie będzie trzęsień ziemi, nie będzie klęsk, że niegodziwcy nie będą się rodzić. On mógł nawet uchronić Adama i Ewę przed pokusą i upadkiem, który dał początek wszystkim nieszczęściom. Mógł nawet niczego nie stworzyć, by oszczędzić stworzeniu całego bólu, który miał go dotknąć i który oczywiście przewidział w najmniejszym szczególe. Ale zdecydował, że pozwoli, aby wszystko to się dokonało, aby ludzie mogli stać się tacy jak On. Dlaczego? To pytanie nad pytaniami, na które nawet Antoni nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Antoni dostrzegł jedynie cud totalnej miłości, który kryje się za obrazem Stwórcy i to mu wystarczyło, aby zapłonąć z miłości. Antoni może jedynie poświadczyć całym swym jestestwem o Jego absolutnej dobroci, ale nie może tego wytłumaczyć. Może także, czyniąc cuda, dać dowód tego wszystkiego, czego jest pewien.

Tak, Bóg co jakiś czas czyni cuda, aby podtrzymać naszą wiarę, by przypomnieć naszej upadłej naturze, że prawdą jest to, co On powiedział. Ale cuda są tylko pomocą, a nie rozwiązaniem. Szczęście będzie w Królestwie niebieskim, gdzie otarta zostanie każda łza i nie będzie już cierpienia[23]. Tutaj, na tym ziemskim wygnaniu, są tacy, którzy jak Epulon wybrali rozkoszowanie się światem w pogardzie nieba oraz tacy, którzy jak ja postawili wszystko na odwrotną kartę. I nic nie zmieni mojego pragnienia, gdyż mam ten świat za nic, a życie wieczne jest dla mnie wszystkim. Ezzelin postawił swoje życie na drugiej szali i nikt, nawet Antoni, nie może go skłonić go do zmiany decyzji. Franciszkowi, mojemu ojcu i mistrzowi, nie udało się ani na jotę zmienić przekonań sułtana. A czyż uczeń może być lepszy od mistrza?

Jednakże z twarzy tych, którzy przyszli prosić mnie o interwencje, wyczytałem coś, co mnie zasmuciło. Moje wahanie zostało odebrane jako strach. Wszyscy bali się Ezzelina, a ten, kto się boi, z powodu dumy myśli, że tak samo boją się inni. Nie mogłem pozwolić, aby ta wątpliwość wkradła się w ludzkie serca; zbyt wiele dusz pokładało we mnie ufność. Mógłbym oczywiście próbować tłumaczyć, że Ezzelin nie może zrobić mi nic złego, bo nawet gdyby odebrał mi życie, to tylko wyświadczyłby mi przysługę. Czyż nie uczyniłem ku temu pierwszego kroku, kiedy w poszukiwaniu męczeństwa

wyjechałem do Afryki? Ale nie zrozumieliby tego. Ruszyłem więc z Bogiem.

Ezzelin był potężnym mężczyzną: wysoki i dobrze zbudowany jak mało kto. Mógłby skręcić mi kark swoją jedną tylko potężną ręką. Także jego ponury i władczy głos wzbudzał strach. Przyjął mnie siedząc na krześle podobnym do tronu, otoczony dworem i psami, w sali tak ogromniej jak cały mój klasztor. Nie poprosił, bym usiadł. Gdy tylko doprowadzono mnie przed jego oblicze, od razu zapytał, czego chcę. Naturalnie, dobrze wiedział, z czym przyszedłem, bowiem nikt nie śmiał stanąć przed jego obliczem bez wcześniejszych skomplikowanych zabiegów poselskich. Wiedział dobrze również, kim jestem.

W imię Boga poprosiłem go o uwolnienie więźniów. Zapewniłem, że jeśli uczyni ten gest miłosierdzia, Pan również będzie miłosierny dla niego.

Długo głaskał swoją brodę, obserwując mnie bacznie w milczeniu. Potem powiedział, że nie boi się nikogo, że nie boi się cudów, które – jak mówią – potrafię czynić, że nie boi się nawet Boga. Wypowiadając to, wskazał na mnie palcem. Potem zapytał, czy ja się go boję, wiedząc, co on może mi uczynić. Odpowiedziałem radośnie, że nie. A on się uśmiechnął, co znaczyło, że takiej odpowiedzi się spodziewał.

Trwaliśmy dalej w ciszy, jeden naprzeciw drugiego, podczas gdy wszyscy zebrani wstrzymali oddech. Potem Ezzelin wstał i powiedział, abym wracał do domu. Powiedział także, abym powtórzył mieszkańcom Padwy, że daruje mi życie i to wszystko, czego mogą od niego oczekiwać. Na koniec powiedział, że Padwa będzie miała go za władcę albo po dobroci, albo siłą. Na jego skinienie dwóch zbójów stanęło obok mnie i odeskortowało aż do bram miasta.

Sordello do Albertyna Mussato

Pozdrawiam.

Proszę Cię, byś zniszczył ten list, tak jak poprzednie, gdy tylko go przeczytasz. Jestem już przekonany, że Ezzelin wcześniej czy później zawładnie Padwą i gdyby dowiedział się, że jestem w kontakcie z Padewczykiem, kazałby mnie wbić na pal. Ponieważ w Twoim liście, który otrzymałem jak zwykle przez gołębia, prosisz, abym przekazał Ci ze szczegółami rozmowę między Waszym bratem a moim panem, napiszę Ci tylko to, czego z całą pewnością Antoni nie powiedział Wam, gdyż żywię przekonanie, że ograniczył się on jedynie do przekazania efektu misji dyplomatycznej.

Podczas całej rozmowy mnich trzymał ręce wsunięte w rękawy i zachowywał pogodną twarz. Jednak jego oczy wpatrzone były w oczy mego pana. Nigdy nie widziałem Ezzelina niezdolnego, by wytrzymać czyjś wzrok; jeśli już to sytuacja była odwrotna. Jednak tym razem był, o tak, ciągle wyniosły i arogancki, jak zwykle, niemniej ani raz nie spojrzał mnichowi prosto w źrenice. W pewnym momencie utwierdziłem się wręcz w przekonaniu, że z ledwością kierował swe oczy w oczy rozmówcy. Był to jednak wysiłek bez rezultatu. Nawet jeśli mu się udało, to trwało to tylko chwilę. Był zdenerwowany, niespokojny, nieswój. Ja, który dobrze go znam, nigdy nie widziałem go w takim stanie. Kiedy brat wspomniał o miłosierdziu, które Bóg zachowa dla miłosiernych, Ezzelin zasępił się i wtedy zadrżałem o życie franciszkanina. Przestał miętosić swoją brodę, chwycił za oparcia fotela i uniósł głowę w stronę twarzy mnicha. Wszyscy myśleli, że wreszcie zmiażdży go wzrokiem, lecz ja, jako że stałem blisko, widziałem, że Ezzelin

trzymał wzrok nieruchomo tuż nad ramionami Antoniego. Nie był w stanie spojrzeć mu w oczy, a zapewniam Cię, że to nie leży w jego naturze.

Powiedział, że pokonał wielu ludzi własnymi rękami i niektórzy z nich wzywali z desperacją Boga, Najświętszą Panienkę, Michała Archanioła i wszystkich świętych. Ale nikt nie przybył, by ich uratować, ani Chrystus ani Matka Boża, ani święci, ani aniołowie. Powiedział, że światem rządzą siła i strach i że jeśli jest Bóg, to taki świat jest jego zasługą. Potem wygłosił te bzdury na temat księży, o papieżu, który się wtrąca do polityki, o chciwości biskupów i rozwiązłości mnichów. Przyznał, że być może, ten brat, który stoi przed nim jest wyjątkiem, lecz dodał, że nie może sobie pozwolić, aby ludzie mówili dookoła, że wystarczył jeden franciszkański habit, aby on zmienił swoje zamiary. Nie widział żadnych korzyści w spełnieniu prośby Antoniego: gdyby uwolnił ludzi, których więził, brat zyskałby wielką chwałę, on natomiast miałby znowu śmiertelnych wrogów wokół siebie. Tak więc, niech odejdzie w pokoju i cieszy się, że może zachować życie, gdyż nikt nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek ośmielił się sprzeciwić Ezzelinowi w jego własnym domu i wyszedł z niego na własnych nogach. I niech wraca, by powiedzieć mieszkańcom Padwy, żeby zapamiętali jedno: swój chrzest bojowy przeszedł na otwartym polu w wieku siedemnastu lat właśnie przeciwko nim; od tamtej pory Padwa nigdy nie przestała drżeć z obawy przed nim. Rachunek nadal był otwarty i w końcu należy go rozliczyć raz a dobrze.

I stało się coś, co zmroziło wszystkich: Antoni, który pozwolił mu przemawiać, nie przerywając ani razu, odpowiedział, że rachunek rozliczy z nim Bóg. I dodał: „Strzeż się".

Ezzelin zerwał się na równe nogi i nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widział dziksza twarz. Byłem pewien, że rzuci się na Antoniego i poderżnie mu gardło, ale zatrzymał się i wybuchnął śmiechem. Prawdę mówiąc był to raczej tępy bełkot niż śmiech i świadczył o tym, że Ezzelin był przestraszony i wstrząśnięty. Śmiejąc się ciągle, a jednak śmiertelnie blady, odpowiedział że dużo już usłyszał mnisich złorzeczeń, a także ekskomunik najwyższej rangi, a mimo tego, jak można zauważyć, ciągle pozostaje na swoim miejscu. I jedyna rzecz, o jaką prosi los to to, aby mógł zginąć z mieczem w dłoni. Antoni milczał, ale potwierdził skinieniem powiek i wszyscy byliśmy pewni, że Ezzelin zostanie wysłuchany.

Kiedy odszedł, mój pan klasnął w dłonie, wzywając muzyków i zachęcając do wesołości. Ale, wierz mi, nikt nie miał najmniejszej ochoty świętować. I było to rzeczywiście szczególne przyjęcie, a Ezzelin co jakiś czas zamyślał się nad swoim kielichem i trzeba było przywoływać go przynajmniej trzy razy, by wyrwać go z zamyślenia. Pozdrawiam Cię teraz i jeszcze raz przypominam, byś ten list spalił.

Albertyn do Sordello

Życzę Ci zdrowia.

Posłuchaj, co mi przekazano. Twój pan przesłał kilka darów bratu Antoniemu, a ten je odrzucił rozgniewany, gdyż – zdaje się, że tak powiedział – były to owoce napadu i niesprawiedliwości. Znając Twojego pana, tego rodzaju afront powinien być spłukany krwią. Jednakże posłańcy odeszli całkiem usatysfakcjonowani. To bardzo dziwne. Chyba że sprawy miały się inaczej niż przypuszczam: Ezzelin chciał przeprowadzić próbę, aby zobaczyć, czy Antoni jest naprawdę Bożym człowiekiem. Specjalnie posłał te podarki, te,

a nie inne. Ponieważ brat domyślił się ich pochodzenia, Ezzelin miał pewność, że Antoniego lepiej zostawić w spokoju. Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz.

Miej się dobrze.

Tiso, hrabia Camposampiero, do Rolandino

Pozdrawiam.

Wiedz, że o tym, co chcę Ci powiedzieć, będziesz musiał milczeć, tak długo, aż nie pozwolę Ci mówić. Łączy nas długa przyjaźń i nie zwykliśmy mieć przed sobą tajemnic. Łączy nas jeszcze inne braterstwo, wywodzące się z faktu, że wybraliśmy na naszego ojca Antoniego. I tylko z tego względu ośmielam się sprzeciwić jego pragnieniu, by milczeć o tym, co widziałem. Z drugiej strony, Ty wyjawiłeś mi, że zapisujesz wszystko, co dotyczy naszego ukochanego ojca i że czynisz to po kryjomu, z obawy, że on może Ci tego zabronić. Lecz zapytuję się, czy jest możliwe, aby cokolwiek przed nim ukryć. Niemniej jednak przepisz również to dla przyszłej pamięci i zachowaj dla tych, którzy przyjdą po nas i będą nam zazdrościć, że mieliśmy wielką i niezasłużoną łaskę, by żyć w czasach Antoniego i dobrze się z nim znaliśmy.

Wiesz dobrze, że oficjalnym miejscem zamieszkania Antoniego, nazwijmy to tak, jest klasztor Najświętszej Maryi Panny założony przez niego samego. Wiesz również, że początkowo przebywał on w Arcelli, gdzie również potem często się udawał. I wiesz również, że oddałem mu do dyspozycji dom i malutki kościółek, który należał do mojego kapelana i z którego zrobił on coś w rodzaju pustelni dla siebie i swoich braci. Jednak nie wiesz, że jest przejście między tym budynkiem a moim dworem. Moi przodkowie korzystali z niego w burzliwych czasach, kiedy nagle trzeba było uciekać do świętego miejsca, by móc tam pozostać pod prawem azylu. Ja używam go czasami, gdy chodzę śpiewać psalmy z braćmi. Sam Antoni przemierza go w przeciwnym kierunku, kiedy odczuwa potrzebę, by schronić się przed publicznością, a nawet przed swoimi ludźmi. W moim domu jeden osobny pokój jest zawsze do jego dyspozycji, wiemy o nim tylko ja i on. Może tam w spokoju czytać, pisać, studiować, modlić się, a nawet spać. Dobrze więc, wczoraj w nocy przechodząc koło tego pokoju, zobaczyłem prześwitujące pod drzwiami światło. Nie chcąc przeszkadzać, pochyliłem się do dziurki od klucza, żeby podejrzeć, co tam się dzieje. I zobaczyłem – proszę, uwierz mi na słowo – rozradowanego Antoniego z malutkim Dzieckiem na rękach. Jego twarz promieniała szczęściem, a Niemowlę uśmiechało się do niego, machając pulchnymi rączkami. Ale, i to rzecz najdziwniejsza, w pokoju nie było zapalone żadne światło; światło rozchodziło się od Dzieciątka: to Ono dawało światło. Przyjacielu mój, to był Jezus i to jest pewne jak śmierć.

Byłem zadziwiony i tak podekscytowany, że nie mogłem przestać podpatrywać. Mało tego, upadłem na kolana przed drzwiami, ciągle z okiem przyklejonym do dziurki. I tu zdarzył się kolejny cud. Dziecko, nadal nie przestając się uśmiechać, odwróciło się w stronę drzwi i wskazało paluszkiem na zamek. Także Antoni spojrzał w moją stronę i też się uśmiechnął. Ja, zmieszany i zakłopotany, oderwałem twarz od drzwi i pozostałem tak, na kolanach i z otwartymi ustami. Niemal natychmiast drzwi się otworzyły i zobaczyłem Antoniego, samego, w półcieniu, ponieważ światło zniknęło. Nie wiedziałem, co powiedzieć, i Ty też na moim miejscu byłbyś zdziwiony i przerażony, jak ja. Antoni z łagodnością poprosił mnie, abym nie mówił nikomu o tym, co widziałem. Przynajmniej –

dodał – dopóki on będzie żył na tym świecie. Potem pożegnał się ze mną grzecznie i uprzejmie.

Wierzę, że nie łamię nakazu milczenia, jeśli mówię Ci o tym wszystkim. Zresztą, nie jestem już taki młody, abym mógł mieć pewność, że go przeżyję. Może dokonuję nadużycia, ale w dobrej wierze. Jak tylko przeczytasz te słowa, mój dobry Przyjacielu, wyświadcz mi przysługę, o jaką Cię proszę, wypełniając moje pragnienie: połóż swoją dłoń na Ewangelii i przysięgnij, że ten sekret pozostanie sekretem aż do śmierci Antoniego. Gdyby przyszło mi umrzeć pierwszemu, zgodnie z tą samą przysięgą przekaż go komuś zaufanemu. Miej się dobrze.

Głosiłem kazania podczas Wielkiego Postu Roku Pańskiego 1231 w Padwie, wiedząc, że to ostatni raz. Mój czas dobiegał końca; i nogi, i pierś coraz mniej były mi posłuszne. Uczyniłem więc coś, czego nikt wcześniej nie dokonał: głosiłem kazania codziennie przez czterdzieści dni Wielkiego Postu.

Chciałem jeszcze przed sianokosami zdążyć z kazaniami również do okolicznych wiosek, lecz każdego dnia, coraz bliżej lata, upał stawał się coraz dotkliwszy i sprawiał, że coraz trudniejszy do zniesienia był mój ból. Brakowało mi tchu, czułem pieczenie w płucach i gardle, miałem coraz krótszy oddech – czego każdy kaznodzieja boi się najbardziej. Swojego czasu nauczyłem się pracować oddechem tak, aby również ci, którzy stali z dala od ambony mogli usłyszeć mój głos. Ale nie można bezkarnie przemawiać pełnym głosem przez wiele godzin, niemal każdego dnia przez wiele lat. Do tego trzeba było występować nie tylko w kościele, gdzie budowniczy dobrze obliczyli rezonans akustyczny ścian i sufitu, lecz na otwartej przestrzeni, przed tysiącami słuchaczy. Byłem już wtedy wrakiem, który nie znajdował odpoczynku nawet w nocy, zmuszony bezustannie zmieniać pozycję z powodu bólu i duszności.

Na koniec dnia byłem tak wyczerpany i wycieńczony, że zwierzchnicy bez najmniejszego trudu wyrażali zgodę, kiedy prosiłem, bym mógł udać się na jakiś czas do wsi, do pustelni Camposampiero, gdzie jest przyjemniejszy klimat. Myśleli, że tam będę mógł nabrać sił po tak dużym wysiłku, a potem wrócić z nowym zapałem do głoszenia kazań.

Tymczasem ja myślałem o śmierci. Musiałem być ostrożny w tym, co mówiłem: teraz, kiedy wszyscy byli przyzwyczajeni brać za czyste złoto wszystko to, co wychodziło z moich ust, dołożyliby wszelkich starań, by przygotować dla mnie nie wiadomo co, gdyby tylko znali moje myśli. Jednak nie. To ja chciałem decydować o moim odejściu, z dala od zgiełku świata.

Śmierć jest najważniejszym momentem w życiu. Człowiek ma pełne prawo dostosować się i przygotować do niej według własnego uznania. Ponadto człowiek Boży, kiedy zrobi wszystko, co miał zrobić, musi mieć wokół siebie ciszę, by w niej oczekiwać, aż jego Stwórca przyjdzie i zabierze go do siebie. Należy współczuć tym, którzy czując zbliżający się kres życia, zaczynają udzielać wskazówek dotyczących ciała i pochówku, przekazując swą ostatnią wolę tym, którzy pozostaną wśród żywych. I tak utrwala się egoizm: bo jaką winę ponoszą najbliżsi, którzy tylko przez to, że kogoś kochali w obliczu jego śmierci zostają obarczeni zadaniami tak absurdalnymi i dla umierającego zupełnie nieużytecznymi. Głupcze, kiedy już cię nie będzie, jaką korzyść będziesz miał z tego, że

twoje zwłoki będą spoczywały w tym czy w innym miejscu, w ziemi czy w mauzoleum, z takim czy innym epitafium, z kwiatami czy bez? Są nawet tacy, którzy na pogrzebie chcą mieć muzykę i dyktują odpowiednie zalecenia, wybierając kolor i rodzaj materiału do przystrojenia trumny. Szaleńcze, będą ci towarzyszyły w tej chwili tylko dobre dzieła, których dokonałeś za życia, przyozdobi cię tylko dobry przykład, jaki dałeś; tylko łzy, które otarłeś lub oszczędziłeś innym zaśpiewają ci *miserere*.

Odprowadzili mnie brat Łukasz i brat Ruggero, dobrzy przyjaciele i uczniowie. Camposampiero leży w odległości kilku godzin marszu, ale potrzebowałem dwóch ludzi, by mnie podtrzymywali. Musieli coś podejrzewać, kiedy poprosiłem ich, by zatrzymali się na chwilę na wzgórzu. Odwróciłem się w stronę miasta i pobłogosławiłem je. Zobaczyłem, że oczy im się zaszkliły, ale nie otworzyli ust.

Zastaliśmy dobrego Tiso i naszych współbraci w wielkim oczekiwaniu. Biedni przyjaciele przygotowali wystawne przyjęcie, najlepszą celę, zebrał się też cały dwór hrabiego. Lecz ja chciałem przygotować sobie coś zupełnie innego. Wiedziałem, że dla nich każde moje pragnienie było rozkazem, który wykonają natychmiast i bez wahania. Ten jeden raz skorzystałem z tego. Wskazałem wielkie drzewo, orzecha, i powiedziałem, że chciałbym mieć dom właśnie tam, na wierzchołku, i pragnąłem mieć go natychmiast. Drzewo to rozchylało się szeroko silnymi i prostymi gałęziami, przypominającymi koronę. Albo barierki w szerokiej celi.

Spojrzeli po sobie zaskoczeni. Wzruszający był to widok, kiedy rzucili się, by spełnić moją prośbę. Sam Tiso wspiął się na pień, każąc swym bliskim przynieść siekierę. Zanim się ściemniło, wszystko było gotowe, włącznie ze schodami. Kiedy pomagali mi wejść na górę, wypowiedziałem swój ostatni kaprys: chciałem, by u stóp orzecha stanęły kolejne dwie chatki dla moich towarzyszy. Te również zostały wykonane w okamgnieniu. Pracowali przy świetle pochodni i zajęło im to trzy godziny.

Były to ostatnie dni, jakie mi zostały i to, co nazwałem „kaprysem" nie było niczym innym jak ostatecznym pragnieniem ukrycia się gdzieś, by się przygotować. Nóg już nie czułem, dlatego musiałem pozwolić Ruggero i Łukaszowi zamieszkać blisko mnie. Moje drzewo znajdowało się w samym środku lasu, około piętnastu mil od miasta.

„Ukryć się" to – muszę przyznać – nie najlepsze słowo. I czy znajdę odwagę, by zamilknąć teraz, kiedy zbliżam się do końca? Muszę być uczciwy wobec samego siebie i przyznać, że to, czego tak naprawdę teraz chciałem, to miejsce przestronne, spokojne i odległe, miejsce zanurzone w naturze, gdyż natura mówi o Bogu tak, jak dzieło człowieka mówi o nim samym. Na tym orzechu i u jego stóp ludzką ręką zrobione były jedynie te trzy chatki, a to niewiele, by zaburzyć spektakl ciszy i wiatru między liśćmi. To właśnie tam chciałem pożegnać się z moimi wiernymi i przekazać im ostatnie wskazówki zanim ich opuszczę.

Istotnie, wiedziałem, że znajdą mnie nawet tam; ale muszę przyznać że ze względu na mój ból i zmęczenie miałem nadzieję, iż stanie się to możliwie jak najpóźniej. Jednakże stało się to niemal natychmiast. Pewnego ranka obudziłem się i wyglądając między gałęziami zauważyłem, że orzech był otoczony. Przybyło około dwustu osób. Łukasz i Rugger stali w pierwszym rzędzie. Zobaczywszy, że wyglądam z góry, rozłożyli ręce, a na ich twarzach widać było bezradność. Łotry, mili i fałszywi jak eliksir

szarlatanów. W rzeczywistości nawet oni tęsknili za moją obecnością, dobrze wiedząc, że nie będę miał serca odesłać tych wszystkich, nie powiedziawszy do nich paru dobrych słów. Nawet mój Pan poczuł się zmęczony, kiedy wysiadając na brzegu jeziora, zastał tłum czekających na Niego ludzi, którzy odbyli daleką podróż, by móc posłuchać Jego słów. Tylko On miał słowa życia wiecznego i oni o tym wiedzieli. Wiedział to, naturalnie, również On, dlatego wzruszył się, widząc te „owce bez pasterza" i pomimo zmęczenia i potrzeby odpoczynku, rozpoczął nauczanie od nowa. A kimże ja byłem w porównaniu do mojego Pana? On szedł na śmierć na krzyżu, ja tylko na tę naturalną. On miał zostać przybity gwoździami i przekłuty, ja miałem tylko chore nogi. On tego dnia był straszliwie zmęczony, ja dopiero co się obudziłem.

Następnego dnia było tak samo. Z małą różnicą: ludzi było dwa razy więcej. I tak od tamtej pory każdego dnia zbierały się coraz większe tłumy. Aż doszło do tego, że nie wystarczało już miejsca dookoła mojego drzewa i mogłem zobaczyć gałęzie w lesie oblepione ludźmi jak drzewa migdałowe podczas święta Calendimaggio[24]. Nawet ścieżki okazały się w końcu za wąskie i ludzie zaczęli ciągnąć przez uprawne pola i winnice.

Pewnego ranka zobaczyłem człowieka, który przepychał się łokciami, żeby z bliska móc słyszeć mój głos. W oczach miał wielkie łzy, a wyraz jego twarzy zdradzał jednocześnie wściekłość i smutek. Natychmiast zwróciłem się do niego, wołając, aby się nie martwił. Zatrzymał się i zaczął rozglądać się dookoła, a wszyscy zwrócili się w jego stronę. Powiedziałem, że tak, mówię właśnie do niego: nie musi martwić się o swoje zadeptane łany, gdyż Pan Żniwa zabezpieczy go. Jak piękne są kroki tych, którzy niosą Dobrą Nowinę – mówi Pismo. Równie piękne są kroki tych, którzy idą jej słuchać. Niech zaufa słowu Antoniego i następnego dnia pójdzie na swoje pole z kosiarzami, tak jak się umówił.

Biedny człowiek, był zagubiony i bliski płaczu: zastał wszystkie kłosy zgniecione, a ziarna rozsypane na ziemi. Tysiące spieszących się ludzi potrafi dokonać większego zniszczenia niż stado wróbli, które niegdyś doprowadziło do rozpaczy mojego ojca. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie żadnego głosu. Rozpogodził się dopiero, gdy pobłogosławiłem go znakiem krzyża. Ktoś inny być może natychmiast uciekłby stamtąd, ale on tego nie zrobił. Zdjął kapelusz, przeżegnał się powoli i usiadł na ziemi, by jak pozostali wysłuchać kazania.

Wrócił po dwóch dniach. Z łatwością rozpoznałem go w tłumie. Z promienną twarzą wymachiwał kapeluszem, starając się przyciągnąć moją uwagę. Uśmiechnąłem się do niego i dałem znak. Posłał dwa pocałunki – jeden dla mnie, a drugi do nieba.

Był to ostatni raz, kiedy Pan zechciał potwierdzić moje słowa cudem.

Co do reszty, jest tutaj: schematy kazań, które przygotowałem jako podręcznik dla kaznodziejów, którzy przyjdą po mnie. Nie są one jednak skończone. Mogłem napisać kazania na wszystkie niedziele i święta, ale zatrzymałem się na dniu świętych Piotra i Pawła. Kto wie, może to coś znaczy, może to jakiś symbol? Być może symbolem jest także to, że wszystkich kazań jest siedemdziesiąt siedem, jako że cyfra siedem jest liczbą Chrystusa. Wypełniłem je, na ile umiałem, cytatami z Biblii, aby ci, którzy w przyszłości będą z nich korzystać nie musieli tracić czasu na szukanie odnośników, bowiem nie wszyscy mają pamięć Antoniego. Zawsze zaczynałem od Starego Testamentu, który jest

niczym łuk naciągnięty przez cięciwę – Nowy Testament, by wypełniona Pismami strzała mądrości trafiła prosto do celu. Stary i Nowy Testament to dwie piersi, z których wypływa mleko, by wykarmić lud Boży. To mleko w zależności od tego, jak się je przygotuje daje serwatkę, ser lub masło. Serwatka, najuboższa w składniki, może oznaczać sens rozumiany dosłownie; ser, który ma najwięcej substancji, odżywia wiarę, gdyż zawiera sens alegoryczny; masło, najbardziej odżywcze, jest moralnością, od której zależy zachowanie człowieka i budowanie całego jego istnienia.

Lecz praca zdaje się znowu wymykać mi spod kontroli. Muszę powtórzyć sam sobie to, co zawsze mówiłem innym: podążaj nagi za Chrystusem nagim, wiszącym na krzyżu; podążaj, wolny od rzeczy. Chrystus uwalnia od wszystkiego, nawet od życia ziemskiego.

A teraz pozwól, Panie, aby sługa Twój odszedł w pokoju. A nawet, by poszedł do Ciebie. Jestem już bardzo zmęczony, Panie mój.

Oddałem Ci moje życie i uczyniłeś z nim to, co chciałeś. Wytrzepałeś mnie niczym starą szmatę, nie dbając o moją ludzką wrażliwość. Przeciągnąłeś mnie przez wodę i ogień, wiele, wiele razy, tak, jak powiedziałeś, że to zrobisz i jak zawsze robiłeś ze swoimi sługami. Skruszyłeś mnie, wycisnąłeś, wytrząsnąłeś i dałeś do spożycia Wrogowi na przestrzeni czasu, jaki ustaliłeś. Słyszałeś mnie krzyczącego z przerażenia i pozostałeś głuchy na moje wezwania. Porzuciłeś mnie i przygarnąłeś, zraniłeś mnie i uzdrowiłeś, uśmierciłeś i wskrzesiłeś. Przycisnąłeś mnie do serca, kiedy Cię nie szukałem i odwiedziłeś, kiedy nie miałem nadziei, że Cię jeszcze zobaczę. Zostawiłeś mnie, bym błądził po omacku w ciemności i samotności, w trwodze i rozpaczy. Zabierałeś mnie do raju, a potem znów strącałeś w ciemności, wiele razy. Próbowałeś i nadwyrężałeś granice mojej wytrzymałości i pozwoliłeś, bym był o krok od bluźnierstwa, rozdarłeś mi serce i czekałeś, aż wypłaczę wszystkie swoje łzy. Rozdarłeś mi pierś i wszedłeś w nią, powiększając moją duszę ponad wszelką ludzką wytrzymałość. Każdego dnia grzebałeś mnie i każdego kolejnego – przywracałeś do życia.

Kimże jestem teraz, Panie, i kimże się stałem? Dlaczego ja, w całej człowieczej mądrości, jaką posiadłem nie jestem w stanie powiedzieć Ci nic innego, tylko „zlituj się”?

Dlaczego, gdy ktoś pragnie Cię naśladować przygniatasz go aż do unicestwienia? Dlaczego krzyż? Dlaczego nigdy nie odpowiedziałeś na te „dlaczego”? Dlaczego nie mieliby mieć racji ci katarzy, przeciw którym walczyłem całe życie? Czyż nie byłoby lepiej, gdybym nie narodził się wcale? Dlaczego stworzyłeś nas, choć wiedziałeś, że wielu z nas nie podoła w obliczu krzyża? Dlaczego stworzyłeś nas wolnymi, ale nie spytałeś nas o zgodę, by nas stworzyć? Dlaczego jesteśmy wolni tylko po to, by przyjąć krzyż albo go połamać i odrzucić? Dlaczego chcesz być kochany przez cierpienie? Dlaczego nakazujesz, byśmy Cię prosili o to, czego potrzebujemy, a zezwalasz tylko na to, co Ty chcesz? Dlaczego istnieją: zło, ból, niesprawiedliwość, zatracenie niektórych? Dlaczego tylko jeden Franciszek i tylko jeden Antoni, a nie ma ich więcej? Dlaczego niektórzy próbują być Franciszkiem lub Antonim, lecz Ty nie pozwalasz, by się nimi stali? Dlaczego jednych powołujesz na pasterzy, a innych na owce i kozły? Dlaczego historia ludzkości jest tragedią? Dlaczego odmawiałeś mi wszelkiej pociechy i domagałeś się, bym mógł czerpać z niej tylko według Twojego upodobania? Dlaczego w tym

momencie ludzkość wydaje mi się stołem pełnym karaluchów, a Ty chłopcem, który bawi się ich oglądaniem, popychając co jakiś czas jednego to znów innego, dopóki wszystkie nie będą szły w kierunku zgodnym z jego kaprysem? Dlaczego w tej chwili nie pamiętam już ciszy i radości, których kosztowałem w Twoich ramionach? Dlaczego widzę tylko nierozsądnego Despotę bez serca?

Ojcze, gdzie jesteś? Marcinie de Bulhões, matko, gdzie jesteście? Gdzie jest Franciszek? Gdzie Augustyn? Pomóżcie mi, proszę Was. Zimno mrozi me wnętrzności. Nasza Pani Wniebowzięta, nie opuszczaj mnie w tym padole cierpienia, błagam Cię. Pamiętaj o mnie, pamiętaj o biednym Fernando, który poświęcił się Tobie i złożył swe życie na Twoim ołtarzu. Wy, wszyscy święci, którzy byliście mi drodzy oraz aniołowie, podtrzymujcie mnie, bo czuję, że tonę. I Ty, Panie mój, dla którego ośmieliłem się chodzić po wodzie egzystencji nędznej i złożonej na Twych dłoniach, nie widzisz, że moje nogi pogrążają się w przepaści? Dlaczego mi nie odpowiadasz? Znasz mnie, jestem Fernando, syn Marcina krzyżowca. Miłosierdzia, Jezu, miłosierdzia. Cóż Ci uczyniłem? Dlaczego Cię nie słyszę? Gdzie popełniłem błąd? Kiedy Cię straciłem?

Wierzyć, by pojąć. Wierzyć, by pojąć. Wierzyć, by pojąć. Ojcze Augustynie, pomóż mi. Wierzyć, by pojąć. Aby uwierzyć nawet bez zrozumienia.

O, jesteś ty, jesteś ty, Przeklęty. Obiecałeś, że przybędziesz we właściwym czasie. I oto nadeszła twoja godzina. Tym razem nawet nie zadałeś sobie trudu, aby przybrać jakąkolwiek formę, bo wiesz, że ogarnia mnie zmęczenie i choroba mnie zżarła. Tchórzu, nie mogłeś nie zjawić się teraz, teraz kiedy gasną moje siły i kiedy nie wiem już, co mam robić.

Patrz więc na mnie, patrz dobrze: ten szczątek, który widzisz nie jest trupem Fernanda de Bulhões, syna Marcina. Ja jestem Antoni, Antoni z Padwy, syn Franciszka, syn Boga. A za mną jest cała moc Krzyża Pana mego. Ja jestem Antoni, *fugite partes adversae!*[25]

Panie mój, składam Ci dzięki, że pomimo moich upadków doprowadziłeś mnie aż do właściwego miejsca. Kiedy dowiedziałem się, nie przez moją zasługę i wysiłek, ale na Twoje wezwanie, że Ty jesteś Prawdą, usiłowałem wznieść się do Ciebie przez ćwiczenia, które zalecali wielcy mistrzowie duchowi. Aż do czasu, kiedy dałeś mi zrozumieć, że chodziło tylko o to, aby opanować moją wolę i nauczyć się rezygnować z niej, by zrobić miejsce Twojej. A dokładniej: aby uczynić z woli mojej – Twoją.

Dziękuję więc, że prawie nigdy nie uległeś mojej woli, bo Twoja zawsze okazywała się lepsza. Ukazałeś mi to na wszelkie możliwe sposoby. Zdarzały się chwile, że miałem ochotę roztrzaskać krzyż o ziemię i odesłać go do Właściciela. Kiedy indziej wydawało mi się, że popełniałem błędy we wszystkim, co robiłem, nawet gdy nic nie robiłem. Kilka razy zadowoliłeś mnie, spełniając moje życzenia tylko dlatego, bym uświadomił sobie, że nie byłem w stanie im podołać. Zbyt wiele łask mi okazałeś, z których dopiero później zdałem sobie sprawę. I chciałbym Ci jeszcze powiedzieć o tak wielu sprawach, że wolę nic więcej nie mówić.

A teraz zwracam Ci duszę; wybacz jeśli w stosunku do tego, co mi przekazałeś jest w strzępach. Talenty, które mi podarowałeś, starałem się wykorzystać najlepiej jak potrafiłem, nawet jeśli czasami nie potrafiłem dokładnie rozróżnić, który był ten

właściwy. Dziękuję Ci, że byłeś, kiedy byłem samotny i nagi. Wybacz mi zarzuty, których Ci nie szczędziłem, kiedy wydawało mi się, że tonę, a Ty słodko spałeś na rufie. Przepraszam, że nadawałem tak wielkie znaczenie mojemu życiu, chociaż go nie miało. I przykro mi z powodu tych wszystkich sytuacji, w których mimowolnie obarczyłem innych krzyżami, które ja sam miałem dźwigać. Zbyt wiele razy wszystko było dla mnie nie do zniesienia, zwłaszcza ja sam, i błagałem Cię, byś odebrał mi życie, które było mi ciężarem. Dzięki, że mnie nie wysłuchałeś. W ogólnym rozrachunku w tym momencie widzę tylko łzy. Co do reszty, jeśli było coś dobrego, Ty o tym wiesz.

Matko Boga i nasza, Ty, która jesteś Gwiazdą Morską, która chroniłaś mnie, gdy byłem targany przez wichry na morzu otaczającym Afrykę, świeć nad nami wszystkimi, których targają wiatry na morzu życia; prowadź nas do portu i w ostatniej godzinie broń nas, dodając otuchy swoją obecnością, byśmy mogli uciec z tego więzienia i osiągnąć szczęście wieczne. Pamiętaj, że Syn Twój związał się miłością do nas tak mocno, że zszedł do naszego życia, chociaż mógł zostać w niebie bez nas.

Palce sprawiają mi ból, nie mogę więcej pisać.

Poza tym, nie mam nic więcej do napisania.

[21] A tak, żeś letni, a nie gorący ani zimny, wypluję cię z ust moich.

[22] Gibelini i gwelfowie – stronnictwa polityczne rywalizujące ze sobą we Włoszech między XII a XIII wiekiem, głównie w okresie zmagań cesarza Fryderyka II z papiestwem. Gwelfowie współpracowali z Państwem Kościelnym w walce przeciwko Świętemu Cesarstwu Rzymskiemu, a od XIII wieku byli przeciwnikami władzy cesarskiej we Włoszech.

Gibelini (lub gibelinowie) byli stronnikami władzy cesarskiej we Włoszech [przyp. tłum.].

[23] Zob. Ap 21,4 [przyp. red.].

[24] Święto wiosny obchodzone na początku maja [przyp. tłum.].

[25] uciekajcie, nieprzyjaciele [przyp. red.].

11.

Tomasz z San Vittore, kanonik augustianin i przeor Sant'Andrea w Vercelli, życzy zdrowia Vinoto Padewczykowi.

Przyjacielu mój, piszę do Ciebie, gdyż wiem, że brat Antoni, Tobie i mnie tak drogi, nie żyje. Kiedy list ten dotrze do Ciebie, wieści dotrą również tutaj, ale ja chciałbym dowiedzieć się od Ciebie dokładnie, co tam się działo.

Wiem na pewno, że Antoni wrócił do domu Ojca, ponieważ widziałem go.

Trwałem w mojej celi na modlitwie, kiedy poczułem czyjąś obecność za moimi plecami. Odwróciłem się i to był on. Zanim zdążyłem wyrazić swoje zdziwienie, że widzę go tu bez żadnego uprzedzenia, zwrócił się do mnie tymi słowami: „Zostawiłem osiołka w Padwie i w końcu wracam do ojczyzny". Po czym wyciągnął rękę i dotknął mej szyi. I natychmiast wyszedł przez drzwi. Pobiegłem za nim, ale już go nie znalazłem. Pytałem każdego w klasztorze, jednakże nikt go nie widział. Poszedłem nawet do klasztoru franciszkanów w Vercelli, ale tam również wszyscy rozkładali ręce.

Wróciłem do swojej celi, by pomyśleć o tym dziwnym zdarzeniu i dopiero wtedy, dotarło do mnie coś, czego wielkie poruszenie nie pozwoliło mi dostrzec wcześniej: gardło przestało mnie boleć. Tak, od wielu dni cierpiałem na uciążliwe zapalenie, które sprawiało mi coraz większy ból. Miałem wszelkie powody, by spodziewać się poważnej choroby, której najbardziej obawiają się kaznodzieje. Teraz wszystko zniknęło. Antoni uzdrowił mnie swym dotykiem. Zrozumiawszy, że miałem widzenie i rozważywszy dokładniej jego słowa, pojąłem, że nie miał na myśli swojego powrotu do Portugalii. „Osiołkiem" było jego śmiertelne ciało, które nosiło jego duszę w trakcie ziemskiej podróży. Teraz już go nie potrzebował, gdyż jego wygnanie na tym padole łez dobiegło końca i dotarł do prawdziwej ojczyzny, tej niebiańskiej.

Antoni jako pierwszy w zakonie założonym przez Franciszka studiował teologię. Jak mi się wydaje zgoda została początkowo wydana tylko jemu, a potem bratu Adamowi z Marsh, teraz uznanemu mistrzowi. Ale z nim, jako że jest Anglikiem, miałem kontakt tylko listowny. Antoniego natomiast dobrze znałem. Byłoby dla mnie wielką pociechą móc usłyszeć o jego ostatnich chwilach, o czym w swojej dobroci mógłbyś nam opowiedzieć w najdrobniejszych szczegółach, ku naszemu pokrzepieniu i abyśmy podążali jego śladem. Oczekuję więc z niecierpliwością Twej odpowiedzi i jeszcze raz życzę Ci zdrowia.

Vinoto z Padwy do Tomasza Gallo, przeora w Vercelli

Pozdrawiam.

Z ogromną przyjemnością i z równie wielkim smutkiem spełniam Twe pragnienie poznania wszelkich szczegółów o tym, co w owej godzinie zakomunikowano Ci, nawet jeśli, jak mi się zdaje, już o tym wiedziałeś. Myślałem, że ostatnim cudem Antoniego był ten z zadeptanym zbożem, które następnego dnia znaleziono nietknięte. Jednakże od Ciebie dowiaduję się, że był jeszcze jeden cud. Przyglądając się temu dokładniej, wnioskuję, że prawdziwe cuda powinny dopiero się wydarzyć. Skoro Antoni miał taką moc sprawczą za życia, co będzie się działo teraz, kiedy przebywa wśród świętych? O cudzie na polu wiesz już wszystko, gdyż wieści tego rodzaju rozchodzą się szybko. Tak więc, przejdę od razu do tego, co tak bardzo leży Ci na sercu. Lecz najpierw chciałbym

Ci opowiedzieć o niezwykłych okolicznościach, które poprzedziły przeniesienie się Antoniego do Camposampiero.

W dniu, kiedy prosił o zgodę na opuszczenie klasztoru był już bardzo opuchnięty i otyły z powodu swojej choroby i musiał oczywiście przeczuwać zbliżający się koniec. W tym duchu pisał do ministra prowincjała, brata Alberta z Pizy, i prosił gwardiana, by przesłał do niego ów list. Lecz kiedy poszedł, by wziąć go ze swej celi, odkrył, że list zniknął. Nie mogąc go znaleźć, powiedział gwardianowi, że nie chce pisać drugiego listu, gdyż być może wolą Boga jest, by pozostał tu, na swoim miejscu. Jednak po kilku dniach do gwardiana dotarł list z odpowiedzią od prowincjała; udzielał on w nim swej zgody na przeniesienie Antoniego. Co o tym sądzisz? My jesteśmy przekonani, że to anioł Pański służył za posłańca.

A oto ciąg dalszy. Naturalnie, znając Antoniego trudno wyobrazić sobie, że w odosobnieniu zrezygnuje on z oznak życia wspólnotowego z braćmi. Choć cierpiący, schodził ze swojego drzewa i szedł odprawiać mszę, nabożeństwo i całą resztę. Chociaż bracia musieli już go podtrzymywać, nie chciał nigdy udzielić sobie dyspensy. Aż do dnia, w którym upadł. Wszyscy znajdowali się wtedy w refektarzu i byli świadkami jego omdlenia.

Położyli go i gorliwie się nim zajęli, ale on złapał oddech, jaki jeszcze w nim pozostał, i poprosił, by zaprowadzono go do miasta. Z całą pewnością czuł nadchodzącą śmierć i nie chciał być ciężarem dla kilku braci w Camposampiero. Brat Łukasz i brat Ruggero przyznali, że w klasztorze Matki Bożej w Padwie będzie łatwiej mu pomóc; i tak, wyłożywszy słomą zaprzęgnięty w woły wóz, który wypożyczyli, położyli w nim Antoniego i wyruszyli. Lecz potworny upał i ciągłe wstrząsy z pewnością nie pomogły choremu, a wręcz przeciwnie. Byli już w drodze od dobrych sześciu godzin, kiedy spotkałem ich niedaleko domu, w którym mieszkają bracia, wspierający duchowo ubogie siostry – dom ten nazywają Cella, lecz lud zniekształcił nazwę jako Arcella. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że nasz ukochany ojciec nie dotarłby żywy do Padwy, oddalonej od Camposampiero o cały dzień drogi piechotą. Po doświadczeniu tego, co wydarzyło się w związku ze śmiercią Franciszka miałem również na względzie to, że może lepiej byłoby zapobiec podobnym zdarzeniom w Padwie. Bracia wahali się przez chwilę, gdy sam Antoni przerwał zwłokę: zebrał resztkę sił, by ostatnim tchnieniem powiedzieć, że miałem rację i że byłoby korzystniej zatrzymać się w Arcelli. W tym odległym miejscu będzie czas i sposobność, by przygotować się na późniejszy bieg spraw. Są tam, jak wiesz, bo wspominałem Ci o tym, ubogie siostry, córki siostry Klary, oraz – zgodnie z nakazem reguły – dom dla braci, którzy odprawiają dla nich msze.

Kiedy dotarliśmy do Arcelli, ojciec nasz, już nazbyt wycieńczony podróżą, stracił przytomność. Siostry, zdziwione naszym przybyciem i zasmucone na widok tego, którego przynieśliśmy, natychmiast przygotowały łóżko. Położyliśmy Antoniego i przygotowaliśmy się, by przy nim czuwać. Lecz on otworzył oczy i poprosił o sakramenty. Kiedy przyjął Ciało Chrystusa, twarz jego nabrała kolorów i niemal mieliśmy nadzieję, że wróci do siebie. Zaczął nawet nucić Hymn do Najświętszej Panienki. Jednak po dwóch zwrotkach nagle zamilkł i wzbił wzrok w stronę ściany za naszymi plecami. Zapewniam Cię, że nie pamiętam, abym kiedykolwiek widział na twarzy

człowieka większą radość od tej, jaka malowała się na twarzy Antoniego; aż spytaliśmy go, na co patrzy. Powiedział, że widział swojego Pana. Zapytaliśmy, czy chce, by udzielić mu ostatniego namaszczenia. Odpowiedział, że nie jest to konieczne, ale przydatne i że zgadza się. Wyznam Ci, że nigdy nie pojąłem, co zamierzał dokładnie powiedzieć. Patrząc na pozostałych, zobaczyłem, że oni również nie mieli pojęcia, co miał na myśli. Antoni otworzył ramiona i z siłą, jakiej nie spodziewałbym się u kogoś umierającego, wyrecytował z nami psalmy pokutne, odpowiadając dokładnie na wszystkie zawołania. Potem nagrodził nas promiennym uśmiechem. Było to jego ostatnie pozdrowienie.

Miało to miejsce w piątek 13 czerwca roku 1231. Porównaj tę datę z tą chwilą, kiedy widziałeś Antoniego. Nie jest konieczne, byś przekazał mi potwierdzenie. Jeśli o mnie chodzi, jestem przekonany, że Antoni z Padwy ukazał Ci się dokładnie w tym momencie, ponieważ kochał Cię tak, jak nas kochał.

Być może jesteś ciekaw, co wydarzyło się później, zważywszy, że z całą pewnością w opowieściach o tym pojawi się wiele zniekształceń. Lepiej więc, jeśli usłyszysz to ode mnie.

Minęło trochę czasu zanim doszliśmy do siebie, po tym jak Antoni odszedł uśmiechnięty. Nie myśl, że popadliśmy w ból i płacz, bo tak nie było. Twarz Antoniego była tak pogodna i promienna, że przekazywała bardziej radość niż głęboki smutek. Jego schorowana cera nabrała niebiańskiego różu i każda zmarszczka na twarzy wygładziła się w błogości.

Posłuchaliśmy rady co do potem*, które w tej chwili stało się* teraz*. Uznaliśmy za stosowne uprzedzić braci z* klasztoru Matki *Bożej, gdyż tam przebywał przełożony. Mój drogi, przywykli do cudów, które towarzyszyły Antoniemu wcale nie zdziwiliśmy się, dowiedziawszy się o tym, co już wiedzieliśmy. Mało tego, wiedziała o tym cała Padwa, zważywszy, że w tym samym momencie, kiedy nasz ojciec i brat nas opuścił, chmara dzieci wybiegła z domów, krzycząc na ulicach, że „święty" nie żyje. W ciągu kilku godzin niezmierzony tłum zebrał się wokół Arcelli i to, czego się obawialiśmy, zaczęło zbliżać się w całej swej dramaturgii. Musisz wiedzieć, że Arcella leży w miasteczku nazywanym Capodiponte*[26]*, gdyż znajduje się tam most nazywany Molino i że między mieszkańcami Capodiponte i tymi, którzy przybiegli z Padwy wybuchła zaciekła bójka. Nie trzeba było długo czekać, by ci pierwsi znaleźli się w gorszej sytuacji, gdyż padewczycy bezustannie otrzymywali posiłki. W tumulcie brama została wyrwana. Spokój udało się przywrócić dopiero, gdy wyrażono zgodę na wystawienie ciała błogosławionego.*

Prawdę mówiąc, to biedne siostry nieświadomie wywołały całe to zamieszanie, gdyż pragnęły zatrzymać święte ciało u siebie. A ci z Capodiponte również wyczuli szansę, by Antoni pozostał u nich. Około północy duch w ludziach był tak rozgrzany, że bracia uznali za konieczne zabarykadować się. Tylko że gdy zobaczyli to ludzie zgromadzeni na zewnątrz, wpadli we wściekłość i rzucili się na drzwi; atakowali trzy razy, aż w końcu udało im się przedrzeć. Lecz i tu wydarzył się cud: nikomu nie udało się wejść do środka. Oszołomieni ludzie krążyli dookoła domu, nie mogąc znaleźć wejścia. Bracia znajdujący się wewnątrz, początkowo przerażeni, nie zdawali sobie sprawy z tego cudu i spędzili noc, oczekując, że w każdej chwili ktoś się wedrze, co nie nastąpiło. Poranek zastał niezliczoną ilość ludzi, którzy nadeszli w międzyczasie. Wtedy pozwolono, by

spokojnie pojedynczo przechodzić przed ciałem. Wystarczył widok twarzy Antoniego, by uciszyć tłum. Wszyscy w milczeniu przechodzili przed łóżkiem, ukontentowani, że mogą dotknąć czubkami palców albo chusteczkami, małymi krzyżykami i czymkolwiek, co znaleźli w kieszeniach, te święte zwłoki, które z mijającymi godzinami nie sztywniały, ale pozostawały miękkie, jak u człowieka, który tylko śpi. Ci, którzy z powodu licznego tłumu nie mogli nawet wejść, wrzucali różne przedmioty przez okna, prosząc kogoś, kto był w środku, by, zbliżył je do świętego. Niektórzy przywiązywali swoje rzeczy do gałęzi, które usiłowali wsunąć do wnętrza.

Kiedy już wszystkim udało się opuścić pomieszczenie, bracia ustalili, że z powodu letniego upału złożą ciało do skrzyni, a skrzynię umieszczą pod ziemią, oczywiście niepostrzeżenie. Nigdy by im się to nie udało. Jakaś kobieta zauważyła, że nie ma świętego i zaczęła krzyczeć. Rozwścieczona banda zdewastowała wszystko, zmusiła braci, by zdradzili, gdzie ukryli ciało i rozkopała ogród w poszukiwaniu skrzyni. Wiele cierpliwości i tłumaczenia kosztowało mnichów, by nie dopuścić do otwarcia skrzyni. Niedowiarki chciały bowiem przekonać się, czy święte ciało naprawdę w niej było.

Kiedy wieczorem przybył prowincjał, mieszkańcy Capodiponte wystosowali podpisany przez siebie uroczysty dokument, w którym pod przysięgą zobowiązywali się, że będą bronić, a nawet już bronią tego, co nazywali swoim prawem. Lecz prowincjał odpowiedział, że Antoni należał do jego klasztoru Matki Bożej. Tak powiedział i nie mógł powiedzieć nic innego. I zaczęła się bójka. Na szczęście przybyła również władza cywilna z siłą zbrojną i nakazała baliwowi, aby aresztował tych najbardziej rozzuchwalonych.

Stefan Badoer, arystokrata wenecki i podesta Padwy, już wcześniej uprzedzony przez prowincjała, zatroszczył się, by zyskać jednogłośnie poparcie rady miejskiej. Kiedy przybył z wymaganymi przepustkami, to przede wszystkim zabronił wnoszenia jakiejkolwiek broni do klasztoru Arcella, a następnie kazał otoczyć go strażą.

W międzyczasie biskup zebrał cały kler i wysłuchawszy każdej ze stron, orzekł, że ciało Antoniego ma zostać zwrócone pod prawowitą jurysdykcję prowincjała. Jednakże, aby przenieść ciało świętego do Padwy, trzeba było przejść przez most Molino. Dlatego podesta, chcąc uniknąć niebezpieczeństwa, rozsądnie nakazał, aby zbudowano przejście z łódek i desek, tak, by ominąć dzielnicę Capodiponte. Tylko że to przejście nie wytrzymało dłużej niż godzinę, gdyż mieszkańcy Capodiponte natychmiast je zniszczyli, a cieśli zmusili do ucieczki. Gdy tylko mieszkańcy Padwy dowiedzieli się o tym, zebrali się, grożąc, że już oni im za to zapłacą; tamci zaś przygotowali się do obrony i wszystko źle by się skończyło, gdyby siostry ubogie, zorientowawszy się, że to one były pierwszą przyczyną tego wszystkiego, nie pobiegły zadeklarować biskupowi, że całym sercem oddają się do jego dyspozycji. Podesta ze swej strony nakazał aresztować tych wszystkich, którzy brali udział w rozbiórce kładki i zagroził wygnaniem i konfiskatą każdemu, kto od tej chwili dopuści się buntu. Tylko dzięki temu ciało świętego mogło zostać przeniesione przez most Molino i wniesione do miasta. Przeniesiono Antoniego między dwoma szpalerami zmartwionych mieszkańców Capodiponte, żegnających świętego zapalonymi świecami.

Uroczystości pogrzebowe zostały ustalone na 17 czerwca i jestem pewien, że weźmiesz w nich udział. Lecz mówię Ci od razu, że zaszczyt niesienia trumny został

przyznany najznamienitszym mieszkańcom, co musi mieć ogromne znaczenie, skoro sam podesta Stefan i biskup Jacopo zgodzili się ustąpić im swe miejsca. Wszyscy będą boso. Przybędzie naturalnie całe duchowieństwo i zakonnicy, bractwo, gildie i cała uczelnia. I niezmierzone tłumy. Przybędą również ludzie spoza miasta, to oczywiste. Zdecydujesz, czy będziesz chciał być razem z uczniami i nauczycielami, czy z opatami. Już teraz demontują dach kościoła, gdyż olbrzymie świece woskowe nie zmieszczą się w środku. Niektóre są tak wysokie i wielkie, że będą musiały być przywiezione wozami, a potem wniesione na ramionach przez dwudziestu ludzi. Mówi się, że przyjedzie też jedna z sióstr świętego, która jest mniszką w Lizbonie.

Jestem pewien, że pomimo iż minęła już połowa miesiąca, zastaniesz ciało naszego Antoniego nadal nienaruszone i będziesz miał chęć, podobnie jak ja, zbudzić go ze snu. Tak, dla niego jest to sen sprawiedliwego, który udaje się na wieczny spoczynek, spoczynek, na który nikt bardziej nie zasłużył. Nam pozostał sen, przywilej, dzięki któremu żyliśmy u jego boku.

Powiedziałem spoczynek? Nie, jak znam Antoniego, jego prawdziwa działalność zacznie się dopiero teraz. Bądź zdrów. Czekam na Ciebie.

Riccarda z Mandrusi do swego pana i ukochanego męża Folchetto

Zdrowia i wszystkiego dobrego!

Mój kochany, z oczami pełnymi łez radości informuję Cię, że Twoje wygnanie skończyło się. Jeśli doręczyciel niniejszej wiadomości nie omieszka Cię poinformować, wiedz, że wojna się skończyła i przeklęta banda Ezzelinich została wypędzona z Padwy. Chciałam jako pierwsza donieść Ci, że możesz wrócić w me objęcia i objęcia swych córek.

Kiedy nasz wspólny przyjaciel Tiso powiedział nam, że Padwa padnie, od tamtej pory przez pięć lat niedowierzaliśmy tym słowom, pamiętasz? Ale skoro dowiedzieliśmy się, że przekazał mu to błogosławiony Antoni, byliśmy przygotowani na najgorsze. Ten święty człowiek uratował życie Tobie i najlepszym mieszkańcom Padwy, którzy mieli czas, by uporządkować swoje sprawy i zabezpieczyć rodziny zanim zbiegną. Być może nie wiesz, że brat Łukasz Belludi, godny spadkobierca swego nauczyciela, poszedł zmierzyć się z nowym władcą miasta, Ansedisio Guidotti i zbeształ go za nękanie poddanych. Jednakże wnuk Ezzelina postąpił znacznie gorzej niż tamten tyran za czasów Antoniego. Jako że był bardzo przesądny, nie uczynił nic złego Belludiemu, ale skierował represje na jego krewnych. W tym miejscu, jak wiesz, miarka się przebrała i zwróciliśmy się o pomoc do papieża. Wielu na prośbę Ojca Świętego wzięło krzyż i pod przewodnictwem kardynała Fryderyka Fontany oblężyło Padwę. Tak, to wiesz. Ale nie wiesz tego: brat Łukasz zebrał franciszkanów na modlitwę nad grobem Antoniego, który objawił im się i zapewnił, że miasto zostanie wyzwolone w oktawę jego dnia. Tak się stało i był to prawdziwy cud. Ja sama widząc, ile wojska było na polu, mogę Ci to poświadczyć. Legat papieski, który najlepiej ze wszystkich rozumiał doniosłość tych wydarzeń, zadekretował nawet, że 20 czerwca będzie na zawsze uroczystym świętem. Aby cały świat dowiedział się o tym, o czym wiedzieli padewczycy – że zwycięstwo zostało odniesione tylko dzięki wstawiennictwu błogosławionego Antoniego. Papież podarował też rok i czterdzieści dni odpustu tym wszystkim, którzy przybędą pomodlić się przy grobie naszego błogosławionego w czasie oktawy.

Wracaj więc szybko, mój najdroższy, Twoje miasto świętuje. Pozdrawiam.

Ugo, kardynał Świętego Kościoła Rzymskiego, do brata Jana ze Schio
Pozdrawiam.

Papież nasz pan Grzegorz IX, szczęśliwie panujący, przydzielił zadanie Tobie, biskupowi Padwy i przeorowi benedyktynów Janowi Forzaté: zebrać niezbędne świadectwa do wpisania franciszkanina Antoniego w poczet świętych. Pochwalam przezorność Grzegorza, który wybrał do tego zadania nie któregoś z braci mniejszych, lecz dominikanina i benedyktyna. Muszę powiedzieć, że ja być może nie wyznaczałbym Forzaté, który był wielkim przyjacielem zmarłego Antoniego. Lecz jestem skłonny przyznać, że świadectwo z pierwszej ręki jest lepsze niż świadectwo przekazane za pośrednictwem osób trzecich.

Nie jest Ci obce, że zarówno ja, jak i inni byliśmy przeciwni pośpiechowi, z jakim chciano postępować – nie minął przecież nawet rok od śmierci Antoniego. Oczywiście, dokumentacja, którą przygotowaliście w tak krótkim czasie robi wielkie wrażenie. Wiele jest osób ułomnych, unieruchomionych od urodzenia, osłabionych albo sparaliżowanych, które w dniu pogrzebu Antoniego przez dotyk jego grobu odzyskało doskonałe i całkowite zdrowie na oczach tysięcy przybyłych. Również z innych miejsc dotarły i wciąż docierają wieści o niezwykłych cudach, dziejących się na samo przywołanie imienia Antoniego: ślepi widzą, głusi słyszą, a nawet zmarli zostają wskrzeszeni. Do Ojca Świętego naszego pana dotarł także wiarygodny list, w którym jego legaci, kardynałowie Oddo di Monferrato i Jacopo di Palestrina, potwierdzają świadectwa, które sami widzieli w Padwie. Postulatorem powołanym w tej sprawie przez konsystorz jest Jan kardynał Sabiny, człowiek wielce zdyscyplinowany i zdolny; to on w zeszłym roku doprowadził do podpisania pokoju między Grzegorzem a cesarzem Fryderykiem. Dobrze wiem, że jego opinia z całą pewnością jest sprzyjająca – świadczą o tym akta. Niezwykle przychylny jest, naturalnie, biskup Lizbony, Soeiro II Viegas, którego nazywamy tutaj Sugerio. Dopiero co przyjechał do Rzymu, gdyż nie może się doczekać, kiedy papież nasz pan odczyta ludowi cuda Antoniego i nakaże włączyć go do kanonu świętych.

Lecz ja wciąż myślałem o tym wszystkim na swój sposób. Aż dwa dni temu coś się wydarzyło.

Musisz wiedzieć, że zeszłej nocy miałem dziwny sen. Widziałem siebie samego pośród kardynałów. Byliśmy zebrani wokół papieża, który konsekrował nowy ołtarz i poprosił, aby podać mu relikwię. Ale nikt z nas jej nie miał. Wówczas Grzegorz odwrócił się i zobaczył dopiero co złożone na ziemi zwłoki. Powiedział, że to są relikwie. Spojrzeliśmy wszyscy i ujrzeliśmy ciało mężczyzny, następnie pospiesznie wzięliśmy z niego relikwie. Mało tego, niemal się pobiliśmy, aby je wziąć. I w tym momencie obudziłem się niespokojny, zmieszany i poruszony.

Kiedy następnego ranka wychodziłem z domu, spotkałem delegację mieszkańców Padwy, która oczekiwała na mnie, chcąc dowiedzieć się na temat dalszego postępowania. I wtedy nagle zrozumiałem znaczenie snu. Chciałem, abyś był pierwszym, który się dowie, że nie stawiam już więcej oporu, by włączyć Waszego Antoniego w poczet świętych i obecnie dokładam wszelkich starań, aby ci, którzy wówczas w kolegiacie myśleli tak jak ja, powstrzymali się od stawiania przeszkód. Módl się więc za nami do świętego i bądź mi

zdrów.

Tomasz z Pawii do Jana ze Schio
Pozdrowienia!

Skoro prosisz mnie o szczegóły na temat wszystkiego, co udało mi się dowiedzieć o cudach za pośrednictwem błogosławionego Antoniego, oto kilka z nich. O pozostałych pozwolę sobie zawiadamiać Cię stopniowo, kiedy moi informatorzy przekażą sprawdzone wieści.

Pierwszy dotyczy zacnego rycerza Aleardyna da Salvaterra, zdeklarowanego katara. Podczas podróży z całą swoją rodziną i dworem musiał on zatrzymać się na noc w Padwie, gdzie w karczmie wdał się w żywą dyskusję z kilkoma z obecnych. Nie wierząc w liczne cuda Antoniego, o których mu opowiadano, wpadł w szał i powiedział, że ich Antoni nie jest na tyle dobry, by sprawić, aby kielich, który trzymał w ręku, nie potłukł się. To powiedziawszy, cisnął kielichem z całych sił za drzwi. Kielich ten był cały ze szkła, zaś Aleardyn to silny rycerz. Domyślasz się, co się wydarzyło: kielich nie potłukł się. Rozpadł się natomiast na kawałki kamień, na którym wylądował. Raduj się, gdyż on i cała jego rodzina natychmiast padli na kolana. Aleardyn wyraził życzenie, by wyznać swój błąd nad grobem świętego.

Historia ta w mgnieniu oka obiegła całe miasto i przyczyniła się do innego cudu. Ponieważ następnego dnia nie mówiono o niczym innym, w pobliskiej knajpie kilku pijanych głupków wyśmiewało się z historii z kielichem. Jeden z nich wziął wiązkę uschniętych gałęzi winorośli, które znajdowały się wśród drewna obok kominka i powiedział, że on też chce zobaczyć jakiś cud Antoniego: niech jego kielich napełni się winem wyciśniętym z tej gałęzi. Wszyscy wybałuszyli oczy i zapadła cisza, bo kiedy jeszcze mówił, suche patyki zaczęły pokrywać się liśćmi i winogronami. Zdumiony upuścił kielich i gałęzie. Na ten widok jeden z jego kompanów zebrał wszystko i z wielkim szacunkiem wycisnął grona do kielicha. Kiedy spróbował wyciśniętego z winogron soku, o mało nie zemdlał, gdyż okazało się, że jest to wino. Wszyscy którzy zbliżyli usta do tego kielicha, przysięgali potem, że było to wino i to najlepsze.

Tym, kto dostarczył mi tych faktów jest kleryk Guglielmo, osoba godna zaufania z powodu, o którym Ci powiem. Miał on w zwyczaju naigrywać się z osób, które wysyłałem, by zebrały wiadomości na temat cudów Antoniego i nawet stał się znany ze swego sceptycyzmu. Aż do dnia, w którym jego stopy zostały dotknięte paraliżem. Ból był tak silny, że gotów był zrobić wszystko, by go ukoić. Cokolwiek, gotów był nawet posłać swoją matkę, by modliła się przy grobie Antoniego. Gdy tak się stało, wyzdrowiał natychmiast i od tej pory jest moim głównym informatorem. Jemu również zawdzięczam następujące wieści.

Bracia mniejsi z Monopoli wykonywali pewne prace wokół swego klasztoru. Kiedy jeden z robotników, pewien młodzieniec, zabrał się do kopania rowu, został całkowicie zasypany przez ziemię, która osunęła się na niego niespodziewanie. Kiedy zapadł zmrok i zrobiło się naprawdę późno, jego matka zaczęła przeczuwać jakieś nieszczęście. Poszła go szukać i spotkała małe dziecko, które powiedziało jej, gdzie znajdował się w tym momencie jej syn. Biedna kobieta załamawszy się, nie pomyślała, żeby zapytać dziecko, kim było i skąd wiedziało, to, o czym jej powiedziało. Puściła się biegiem do klasztoru,

żeby zawołać braci. Ci nadbiegli i ujrzawszy, że istotnie na wykopaliskach była zwalona ziemia, zaczęli ją odkopywać. Po godzinie odnaleźli chłopaka. Jeszcze żył. Powiedział, że uratował go błogosławiony Antoni, który przez cały czas trzymał swoją rękę jego na ustach, aby nie dostała się do nich ziemia i nie udusiła go.

Posłuchaj teraz tego. Pewien człowiek dotknięty trądem szedł do błogosławionego prosić go o uzdrowienie. Po drodze natknął się na żołnierza, który chciał go przepędzić, rzucając w niego kamieniami. Trędowaty prosił, by zostawił go w spokoju, gdyż jest pielgrzymem do grobu Antoniego. Ten zaczął się śmiać i powiedział, by szedł sobie, biedny głupiec, że i tak nic nie wskóra. Mało tego, niech poprosi swojego cudotwórcę, by – jeśli może – przeniósł trąd na niego, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Oczywiście, były to jedne z tych słów, które wyrywają się nam z ust w zburzeniu albo w uniesieniu lub też kiedy kimś gardzimy; ale najlepsze jest to, że wszystko potoczyło się właśnie tak: Trędowaty odzyskał zdrowie przy grobie Antoniego i usłyszał głos, który nakazał mu zanieść swoje kule temu, który teraz ich potrzebuje. Istotnie, w drodze powrotnej cudownie uzdrowiony spotkał tego, który naśmiewał się z niego, a teraz siedział we łzach na skraju tej samej drogi, niemal w tym samym miejscu, pokryty ranami. Ujrzawszy uzdrowionego, prosił go o wybaczenie, wstał i ruszył drogą do Padwy. On również odzyskał zdrowie przy grobie Antoniego.

I to już wszystko, jak na razie. Pozdrawiam Cię.

Brat Izydor z Lizbony do brata Eliasza z Asyżu

Pokój i dobro!

Ja i bracia bardzo uradowaliśmy się z Twojego wyboru na ministra generalnego braci mniejszych na kapitule w Rieti. Piszę do Ciebie, by Cię poinformować, że kiedy Ty i papież, nasz pan, udaliście się do katedry w Spoleto, by w dniu Zielonych Świątek uroczyście zaliczyć imię Antoniego z Lizbony w poczet świętych i by odczytać ludowi potwierdzone cuda, wszystkie dzwony naszego miasta rozdzwoniły się same. O tym cudzie zaświadcza cała Lizbona. Wiemy, że wy Włosi nazywacie nowego świętego Antonim z Padwy, lecz dla nas, jak dobrze rozumiesz, pozostanie on na zawsze Antonim z Lizbony. Życzę Ci pokoju i dobra.

Brat Mirabile do zakonnicy Gotardy dei Restituti

Pokój i dobro!

Najdroższa Matko. Dziś, 8 kwietnia roku 1263, miało miejsce cudowne wydarzenie związane ze świętym Antonim, perłą naszego zakonu i szczególnym protektorem miasta, w którym mieszkam już od dwóch lat. Piszę Ci o tym, gdyż znam Cię jako osobę bardzo oddaną naszemu świętemu i zainteresowaną wszystkim, co go dotyczy.

Gdy tylko Antoni przeszedł do chwały nieba, mieszkańcy Padwy chcieli uczcić go, wznosząc olbrzymi kościół nad jego grobem. W tym celu został zatrudniony, jak mi powiedziano, znany architekt Nicola Pisano, który przygotował wielki i wspaniały szkic. Lecz zdobycie miasta przez Ezzelina uniemożliwiło dokończenie dzieła. Dopiero gdy ten zły człowiek został śmiertelnie raniony w bitwie o most na rzece Adda w okolicach Cassano, teraz, po upływie czterech lat, prace mogły zostać kontynuowane. Budowa ruszyła z nowym zapałem i doszliśmy do momentu, kiedy trzeba było położyć fundamenty pod ogromne sklepienie. Okazało się, że trzeba przesunąć grób świętego. Relikwie

przeniesiono podczas uroczystej ceremonii pod przewodnictwem naszego ministra generalnego, Bonawentury z Bagnoregio.

W obecności wszystkich zebranych grób został otwarty i ujrzano święte ciało. Pozostały już tylko same kości, poza głową z ciemną, pomarszczoną skórą i resztką włosów na górze. Lecz minister generalny, tchnięty przeczuciem, postanowił przyjrzeć się jej lepiej. Zdziwiony zauważył, że język pozostał nietknięty. Gdy pokazał ludziom tę relikwię, wybuchły niekończące się brawa. Dla wszystkich jasne było znaczenie tego znaku. Antoni był wielkim mówcą, jednym z największych. Ten język otworzył wiele uszu na słowo Boże, zmiękczył niezliczone serca zatwardziałe przez grzech i otworzył bramy Królestwa niebieskiego dla olbrzymiego stada owiec, które się zagubiły. Bóg, zachowując ten język dla nas, chciał jednocześnie uhonorować Antoniego, swego dobrego i wiernego sługę.

Uściskaj ode mnie mego ojca i mych braci. Pokój i dobro!

Bonagiunta z Cassano do siostry ubogiej Elżbiety

Pokój i dobro!

Dobra Przyjaciółko, jak wiesz byłem pośród tych, którzy mieli zająć się rozbiórką celi błogosławionego Antoniego na drzewie, żeby zapobiec rozebraniu jej przez wiernych na kawałki-relikwie. W jednej z dziur w pniu znalazłem kilka kartek mocno zwiniętych i na wpół nadpalonych. Ponieważ błogosławiony był dla Ciebie ojcem duchowym, pomyślałem, że spytam Cię o radę, zanim zwrócę się do przełożonych. Być może przekraczam jakieś prawo, lecz nie mając polecenia odzyskania, a tylko rozebrania, wystarałem się o zgodę na piśmie, abym mógł pozostać i pokazać wszystkie znalezione rzeczy Tobie, której modlitwie zawdzięczam uzdrowienie fizyczne i utwierdzenie w powołaniu. Byłem Ci to winien z powodu wielkiej wdzięczności, którą żywię do Ciebie i braku możliwości odpłacenia Ci za wielkie dobro, które mi uczyniłaś. Nawet jeśli litery są nieczytelne, bo pismo jest chwiejne i niepewne, możliwe, że chodzi tu o pewnego rodzaju testament świętego.

Istotnie, zaczyna się on tak: „*Ja, Antoni...*”.

[26] Capodiponte – szczyt mostu [przyp. tłum.].

Szczególne podziękowania składam ojcu
Luciano Segafreddo za nieocenioną pomoc
w trakcie gromadzenia materiałów

Bibliografia

Autorzy różni, *Bibliotheca Sanctorum*, Rzym, 1962, hasło „Antonio di Padova".

Autorzy różni, *Enciclopedia cattolica*, Città del Vaticano, 1948, hasło „Antonio di Padova".

Autorzy różni, *Da Lisbona a Padova Antonio popolare e sconosciuto*, numer specjalny „Jesus", marzec 1990 (w szczególności: *Sant'Antonio racconta di Fortunato Pasqualino*).

DELL'ORTO Stefano, *Sant'Antonio di Padova*, San Paolo, Cinisello Balsamo 1996 (nowe wyd. 2002) (Dell'Orto S., *Święty Antoni z Padwy*, wyd. PROMIC).

GAMBOSO Vergilio, *Vita di sant'Antonio*, Messaggero, Padova 1995, (Gamboso V. *Życie świętego Antoniego*, wyd. świętego Antoniego, 2001).

GAMBOSO Vergilio (pod red.), *La vita del Santo raccontata dai contemporanei*, Messaggero, Padova 1995.

GAMBOSO Vergilio (pod red.), *Libro dei miracoli di sant'Antonio*, Messaggero, Padova 1999.

HARDICK Lothar, *Antonio di Padova, maestro del vangelo*, Éditions du Signe, Strasbourg-Padova 1994.

LAZZARIN Piero, PISANELLO Laura (pod red.), *Il mandorlo e la locusta*. *Venti scrittori interpretano i sermoni di sant'Antonio*, Messaggero, Padova 1998.

SALVINI Alfonso, *Sant'Antonio di Padova*, San Paolo, Cinisello Balsamo 1994 (nowe wyd. 1999).

SANT'ANTONIO DA PADOVA, *Insegnamenti e preghiere*, San Paolo, Cinisello Balsamo 2002.

SCANDALETTI Paolo, *Antonio da Padova*, Rusconi, Milano 1994 (nuova ed. Marietti, Milano 2002).

TOLLARDO Giordano (pod red.), *Così parlava sant'Antonio*, Messaggero, Padova 1999.